

Wieś



IWAN BUNIN

Wies

TŁUM. ZOFIA PETERSOWA

I

Pradziada Krasowów, nazywanego przez czeladź Cyganem, rotmistrz Durnowo zaszczył niegdyś chartami: Cygan odbił jemu, swemu panu, kochankę! Durnowo kazał Cygana wyprowadzić na pole za Durnówką¹, posadzić go na pagórku, nadjechał ze sforą i krzyknął: „Bierz go!”. Cygan, siedzący dotąd w odrętwieniu, rzucił się do ucieczki, a przed gończymi uciekać nie należy...

Dziadowi Krasowów za coś tam nadali wolność. Przeniósł się z rodziną do miasta i wkrótce stał się sławny: został słynnym złodziejem. W Czarnej Słobodzie² wynajął chałupkę dla żony, zasadził ją do plecenia koronek na sprzedaż, a sam, z jakimś mieszczańinem Bielokopytowem, pojechał na grabienie cerkwi w guberni. Złapano go po latach dwóch. Ale i w sądzie zachowywał się tak, że przez długi czas powtarzano jego odpowiedzi dawane sędziom: stoi sobie jakoby w pluszowym kaftanie, ze srebrnym zegarkiem w kieszeni, w kozłowych³ butach, i beczelnie ruszając szczękami a błyskając oczami, z największym szacunkiem przyznaje się nawet do najmniejszych sprawek z całej ich niezliczonej liczby.

— Tak jest. Tak jest.

A rodzic Krasowów był drobnym handlarzem. Jeździł po powiecie, mieszkał przez jakiś czas w Durnowce, otworzył nawet szynk i sklepik, ale zbankrutował, rozpił się, wrócił do miasta i wkrótce umarł.

Nasłużwszy się po sklepach, zabrali się do handlu i jego synowie, Tichon i Kuźma, prawie jednolatki⁴. Jadą, bywało, na wozie z rzeźbionym przodem i ze skrzynią na środku pod siedzeniem i przeciągle wrzeszczą:

— Ba-a-a-by, to-o-war! Ba-a-a-by, to-o-war!

A towar to lusterka, mydélka, pierścionki, nici, chustki, igły, obwarzanki; zaś na wozie co gdzie zdobyto: zdechłe koty, jajka, płótno, gałgany...

Ale przejeżdżwszy tak lat kilka, bracia któregoś razu o mało się nawzajem nie pokrajali nożami — mówiono, że z powodu zysków — i rozeszli się, aby do grzechu nie dopuścić. Kuźma poszedł na posadę do hurtownika, a Tichon wynajął zajazd przy szosie do stacji Worgol⁵, wiorst⁶ prawie dziesięć od Durnówki, i otworzył szynk z małym sklepikiem — „Handel różnych towarów, hierbaty, cukru, tytoniu, cygar i jennych”.

Pod czterdziestkę broda jego przypominała srebro z czernią, ale po dawnemu przystojny był, wysoki i postawny; twarz miał surową, smagłą, troszeczkę dziobatą⁷; w ramionach był szeroki a kościsty, w rozmowie — pewny siebie i oschły, w ruchach —

Pies, Okrucieństwo, Pozycja społeczna

Rodzina, Złodziej

Brat, Handel, Interes, Podróż

¹Durnówka (ros. Дурновка) — wieś w rejonie czeremisnowskim obwodu kurskiego w Rosji, należąca do rady wiejskiej okręgu michajłowskiego. [przypis edytorski]

²Czarna Słoboda (ros. Чёрная Слобода) — wieś w rejonie szackim obwodu riazkańskiego w Rosji, ośrodek administracyjny osady wiejskiej Czarnosłobodskoj, przedmieście Szacka, graniczące z miastem od południowego wschodu. [przypis edytorski]

³kozłowy — tu: z kozłej skóry. [przypis edytorski]

⁴jednolatki — rówieśnicy. [przypis edytorski]

⁵Worgol (ros. Воргол) — wieś w rejonie izmańskim obwodu lipieckiego i rada wiejska, położona w pobliżu centrum rejonu. [przypis edytorski]

⁶wiorsta — daw. ros. jednostka długości, równa ok. 1 km (1068,8 m). [przypis edytorski]

⁷dziobaty — tu: ze śladami po zmianach skórnych. [przypis edytorski]

zręczny i prędki. Tylko brwi zaczęły mu się teraz marszczyć częściej, a oczy — błyszczeć jeszcze silniej niż dawniej: interes tego wymagał!

Niez mordowanie gnał w ślad za naczelnikami ziemskiej policji w ową głuchą jesienną porę, kiedy ściąga się podatki i kiedy po wsiach można targować. Niez mordowanie skupował wtedy od ziemian zboże na pniu, dzierżawił od nich i od chłopów ziemię, choćby częściami, a nie pogardzał nawet połową zagonu. Tichon żył długo z kucharką-niemową („niemowa — to przynajmniej niczego nie rozgada”), miał z nią dziecko, które matka we śnie zadusiła na śmierć. Potem ożenił się z podeszlą w latach pokojową starą księżną Szachowej. A ożeniwszy się i wzięwszy posag, „wykończył” potomka zbiedniałego rodu Durnowo, tęgiego, łagodnego, dobrotliwego panicza, łysiego w dwudziestym piątym roku życia, ale mającego przepyszną kasztanową brodę — „postępowca”, jak dowcipkowali ziemianie, robiąc przytyk do jego postępującego paraliżu. A chłopci aż zakrzyknęli z dumy, kiedy Tichon objął majątek rodziny Durnowo — przecież prawie cała Durnowka składa się z Krasowów!

Dziwowali się też, jak on to robi, żeby być jednocześnie wszędzie: i handluje, i kupuje, i prawie co dzień bywa w majątku, i okiem jastrzębia czyha na każdą piędź ziemi... Wykrzykiwali „Och! i „Ach!”, dodając przy tym:

— A przecież z nami, czortami, nic nie można zrobić po dobremu! Ale co z niego za gospodarz! Nie ma sprawiedliwszego!

A i sam Tichon Iljicz przyznawał im rację. W chwilach dobrego humoru pouczał:

— Żyjemy, nie marnotrawimy. A złapiesz się, obłupimy. Ale sprawiedliwie! Jam, bracie, człowiek rosyjski!

W złych chwilach rzucał, błyskając oczami:

— Świnia! Nie ma sprawiedliwszego człowieka ode mnie!

„Świnia, ale nie ja”, myślał chłop, odwracając wzrok od jego spojrzenia i pokornie mamrotał:

— Ach Boże, czyż my nie wiemy?

— Wiesz, a zapomniałeś! Ja nie potrzebuję niczego darmo, ale pamiętaj: swojego nie dam ani szczypty! Ot mam brata: zbrodniarz, pijanica, a i to pomógłbym, jakby przyszedł i pokłonił się. Jak Boga kocham, pomógłbym! Ale rozpuszczać, bracie... Nie, zapamiętaj sobie, nie będę! Jam, bracie, nie bałwan bez mózgu.

A Nastasja Pietrowna, chodząca jak kaczka palcami do siebie i przewalająca się z nogi na nogę z powodu stałych ciąż, kończących się rodzeniem nieżywych dziewczynek, Nastasja Pietrowna, żółta, opuchnięta, z rzadkimi białawymi włosami, potwierdzała, stękając:

— Och, prostakże⁸ z ciebie, prostak, jak się dobrze przypatrzyć! Czego ty się z nim, głupim, męczysz? Czy to kompania dla ciebie? Ty go rozumu uczysz, a dla niego i tego, co ma, za dużo. O, jak to nogi rozstawił, emir bucharski⁹!

Nastasja Pietrowna była „straszną amatorką” świń i ptactwa, więc Tichon Iljicz założył gospodarstwo: prosięta, indyczki, kury i gęsi, bo za stacją był rządowy staw. Ale najwięcej nabrał zamiłowania do gromadzenia zboża. Naokoło jego domu, stojącego jednym bokiem przy szosie, przez całą jesień nie ustawał ciągły jęczący skrzyp kół: tabory skręcały do niego ze wszystkich stron. A na podwórzu nocowali koniarze, kupcy, ptasznicy, handlarze obwarzanków, kosiarze i pątnice. Co chwila zgrzytał blok przy drzwiach — to do karczmy, gdzie sprzedawała Nastasja Pietrowna, to przy wejściu do sklepiku, ciemnego, mocno pachnącego mydłem, śledziami, machorką¹⁰ i naftą. Co chwila rozlegało się w karczmie:

— U-u-u-ch! Ależ mocna twoja wódka, Pietrowno! Do głowy mi uderzyła, żeby przepadła!

— Ale za to w ustach słodko, kochanku!

— Ty do niej chyba tabaki dodajesz?

— Ot, machnął ozorem! Bałwan!

A w sklepiku bywało jeszcze tłumniej.

Sprawiedliwość, Pan

Interes, Handel, Karczma

⁸prostakże — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że; znaczenie: prawdziwy prostak. [przypis edytorski]

⁹emir bucharski — „emir” to tytuł muzułmańskich dostojników państwowych, a „bucharSKI” dotyczy Buchar, historycznego miasta w Uzbekistanie; tu zapewne określenie osoby pysznej, mającej o sobie przesadne wysokie mniemanie. [przypis edytorski]

¹⁰machorka — gatunek tytoniu. [przypis edytorski]

— Iljicz! Odważ mnie chuncik¹¹ szyneczki!
 — W szyneczkę ja się, bracie, tego roku, z łaski Boga, tak zaopatrzyłem, tak zaopatrzyłem!...
 — A po czemu?
 — Taniutko!
 — Gospodarzu! Macie dobry dziegieć¹²?
 — Takiego dziegiu, kochanku, na weselu twojego dziadka nie było!
 — A po czemu?
 I zdawało się, że wśród Krasowów nie ma innych rozmów oprócz wypytywań niż „po czemu szyneczka, tarcice, krupy, dziegieć...”.

Utrata nadziei dochowania się dzieci i likwidacja szynków były wielkimi zdarzeniami. Tichon Iljicz zestarzał się raptownie, gdy nie mogło już być wątpliwości, że nigdy nie będzie ojcem. Zrazu żartował:

— A ja postawię jednak na swoim — mawiał do znajomych — bez dzieci to człowiek nie człowiek. Ot, tak, nieużytek jakiś...

A potem zaczął go nawiedzać strach; bo jakże: jedna zadusiła przez sen, druga rodzi martwe! Ostatnia ciąża Nastasji Pietrowny była ciężkim okresem. Tichon Iljicz złościł się i trapił. Nastasja Pietrowna ukradkiem modliła się, ukradkiem płakała i żał było patrzeć na nią, kiedy cichutko w nocy przy świetle lampki pod obrazami złaziła z pościeli, myśląc, że mąż śpi, z trudem klękała, z szeptem przypadała czołem do podłogi, tęsknie wpatrywała się w ikony i z udręką, jak starcy, dźwigała się z kolan. Dawniej przed zaśnięciem wkładała pantofle, kaftanik, modliła się z roztargnieniem, a pomodliwszy się, lubiła obgadać i skrytykować znajomych. Teraz przed obrazami stała prosta baba w krótkiej bawełnianej spódnicy, w białych wełnianych pończochach, w koszuli niezakrywającej szyi, z nagimi, starczo-pulchnymi rękami. Od dzieciństwa, sam przed sobą nie mając odwagi przyznać się do tego, Tichon Iljicz nie lubił lampek przed ikonami, nie lubił ich cerkiewnego niepewnego migotania. Na całe życie pozostała mu w pamięci owa noc listopadowa, kiedy w maleńkiej kosobokiej¹³ chałupce w Czarnej Słobodzie także paliła się lampka (tak spokojnie, łagodnie i smutno), ledwo ledwo ruszały się cienie od łańcuszków, na których wisiała, w izbie było śmiertelnie cicho, a na ławce, pod świętymi, leżał jego ojciec bez ruchu i z zamkniętymi oczami; wydłużony nos miał wzniesiony wysoko, a duże fioletowo-woskowe ręce złożono mu na piersiach... Obok niego, za okienkiem, zawieszonym czerwonym gałganem, przechodzili rekruci z zadzierzysto-tęsknymi pieśniami, z wrzaskami, z harmoniami, wyjąłymi beładnie jedna przez drugą...

Teraz lampka paliła się stale. I Tichon Iljicz czuł, że Nastasja Pietrowna prowadzi jakies konszachty z nieznanymi mocami.

Obok zajazdu karmili konie wędrowni handlarze z Włodzimierza¹⁴ — i w domu zjawiał się „nowy nadzwyczajny wróżbiarz i czarodziej, przepowiadający przyszłość na zadawane pytania z dodaniem najłatwiejszego sposobu wróżenia z kart, z fasoli i z kawy”. Nastasja Pietrowna wieczorami wkładała okulary, robiła z wosku kulki i rzucała je na kręgi wróżbiarza. A Tichon Iljicz przyglądał się temu z boku. Ale odpowiedzi były wszystkie ordynarne, złowieszcze albo bez sensu.

— Czy mój mąż mnie kocha? — pytała Nastasja Pietrowna.

A wróżbiarz na to:

— Kocha jak psy dziada na wąskiej ulicy.

— Ile będę miała dzieci?

— Los przeznaczył ci śmierć, chwast trzeba wyrwać z pola.

Wtedy Tichon Iljicz mówił:

— Daj no, teraz ja rzucę...

¹¹chuncik — funcik, ok. pół kilo. [przypis edytorski]

¹²dziegieć — gęsta, smolista substancja o charakterystycznym, przykrym zapachu, wytwarzana przez suchą destylację kory i drewna, używana do celów leczniczych oraz do impregnacji materiałów, uszczelniania beczek, jako smar, klej itp. [przypis edytorski]

¹³kosoboki (z ros.) — krzywy, pochylony, przechylony. [przypis edytorski]

¹⁴Włodzimierza (ukr. Володимир) — miasto w zach. części Ukrainy, w obwodzie wołyńskim, usytuowane na płn. krańcu Wyżyny Wołyńskiej nad rzeką Ług, daw. także: Włodzimierz Wołyński. [przypis edytorski]

Dziecko, Nadzieja,
 Rozczarowanie

Strach, Ojciec, Śmierć

I pytał:

— Czy mam podać do sądu pewną wiadomą mi osobę?

Ale i jemu wychodziły same głupstwa:

— Licz zęby w ustach.

Po wróżbiarzu przyszedł Czugunok.

Durnowski chłop Czugunok — niewysoki, tęgi, z niezwykle wysoką i mocną klatką piersiową, z żywymi brązowymi oczami w szerokiej smagłej twarzy — był porządkowy i gospodarny, ale miał dziwactwa: śpiewał pieśni tenorem i to najczęściej z babami i po babsku, był wielkim plotkarzem i żartownisiem, leczył zamawianiami i nalewkami, mógł dzień w dzień „na chybcika” pobiec do miasta — dorównywał w biegu trojce¹⁵ — i miał znajomości z czarownicami, których od wieków pełna jest Basowka¹⁶, wioska o trzy wiorsty odległa od Durnowki. I właśnie tego Czugunoka Tichon Iljicz zastawał z Nastasją Pietrowną na jakichś tajemniczych rozmowach, przerywanych od razu, gdy się zjawiał. Zastawszy go, momentalnie przybierał wyraz twarzy człowieka, który nic nie zauważył; udawał też, że nic nie wie o buteleczkach z cudowną wodą, które Czugunok wciąż dostarczał Nastasji Pietrownie. W głębi duszy spodziewał się on również, że Czugunok pomoże.

Ale i z Czugunoka mały był pożytek. Razu pewnego, zajrzawszy do pustej kuchni, Tichon Iljicz zobaczył żonę przy kołysce dziecka kucharki. Pstre kurczątko, piszczące, chodziło po parapecie okna i stukalo dziobem w szyby, chwytając muchy, a ona siedziała na legowisku sługi, bujała kolebkę i smutnym drżącym głosem śpiewała tradycyjną kołysankę:

Gdzie dzieciątko moje leży?

Gdzie leży pościółka jego?

W wysokim leży pałacu,

W malowanej kołysieczce.

Nie wchodźcie do niego,

Nie stukajcie do niego!

Zasnęło dziecko, usnęło

Zakryte ciemną zasłoną,

Rozkwieconą oponą¹⁷...

Twarz Tichona Iljicza na ten widok tak się zmieniła, że Nastasja Pietrowna, spojrzawszy na niego, nie zmieszała się, nie straciła śmiałości, ale zapłakała i wycierając nos, cicho rzekła:

— Zawieź ty mnie, na Chrystusa cię zaklinam, zawieź mnie do świętego...

I Tichon Iljicz zawiózł ją do Zadonska¹⁸, ale po drodze rozmyślał, że Bóg mimo to powinien go ukarać, bo z powodu ciągłych trosk i kłopotów bywa w cerkwi tylko na Wielkanoc — żyje jak Tatar. A poza tym do głowy ciągle mu przychodziły bluźniercze myśli: wciąż porównywał siebie do Świętych Rodziców¹⁹, także niemających długo dzieci. Nie było to mądre, ale Tichon Iljicz od dawna już zauważył, że jest w nim ktoś jeszcze głupszy od niego. Przed odjazdem dostał list z góry Athos²⁰: „Miłujący Boga naszego, Tichonie Iljiczu! Pokój tobie i zbawienie, błogosławieństwo Pana i opieka stokrotnie pochwalonej Przenajświętszej Matki Bożej za pośrednictwem jej ziemskiego wcielenia,

Głupota

¹⁵trojka — zaprzęg trzykonny, typowy w XIX-wiecznej Rosji. [przypis edytorski]

¹⁶Basowka (ros. Басовка) — wieś w zach. Rosji, centrum administracyjne sielsowietu rusanowskiego w rejonie fatieżskim (obwód kurski). [przypis edytorski]

¹⁷opona (daw.) — tu: ozdobna zasłona. [przypis edytorski]

¹⁸Zadonsk — miasto w Rosji, w obwodzie lipieckim. [przypis edytorski]

¹⁹Święci Rodzice — prawdopodobnie autor ma na myśli biblijnych świętych, Annę i Joachima (rodziców Marii i dziadków Jezusa), czczonych jako święci ojciec i matka w tradycji chrześcijańskiej. [przypis edytorski]

²⁰góry Athos (gr. Ἁγίον Ὄρος, Agion Oros — Święta Góra; szczyt w północno-wschodniej Grecji, na Półwyspie Athos stanowiącym część Półwyspu Chalcydyckiego, położonym dziś na terytorium Autonomicznej Republiki Góry Athos; miejsce zamieszkiwane i administrowane przez wspólnotę mnichów prawosławnych założoną wg legendy przez Konstantyna Wielkiego, żyjącą w surowych warunkach i czczącą ze szczególnym pietyzmem Matkę Boską; od 1060 r. na terenie półwyspu nie mogą przebywać kobiety oraz samice zwierząt hodowlanych, a jednostki pływające mogą zbliżyć się do linii brzegowej na odległość nie mniejszą niż pół kilometra. [przypis edytorski]

świętej góry Athos! Miałem szczęście słyszeć o twoich dobrych uczynkach i o tym, że z chęcią udzielasz zapomóg na budowanie i upiększanie świątyń Pańskich oraz dajesz na pustelnie dla mnichów. Chatka moja z powodu starości znalazła się w takim stanie...". I Tichon Iljicz posłał na reperację owej chatki czerwony papierek. Od dawna skończyły się te czasy, gdy z naiwną pychą wierzył, że gadki o nim dochodzą wprost aż do samej góry Athos, dobrze wiedział, że jakoś nazbyt dużo takich chatek „znajdowało się w stanie...” A jednak posłał. Ale i to nie pomogło. Cięża zakończyła się po prostu męką: przed urodzeniem ostatniego, znów nieżywego dziecka, Nastasja Pietrowna, usypiając, wzdrygała się, stękała, wybuchala wyciem i lamentem. Według jej słów owładała nią natychmiast po zaśnięciu jakaś dzika wesołość, połączona z nieopisanym strachem. Czasem widziała, że idzie ku niej polami Królowa Nieba, jaśniejąca złotymi szatami, a w powietrzu płynie harmonijny, wciąż rosnący śpiew; to wyskakiwał spod łóżka diablík, nieróżniący się od ciemności, a jednak dokładnie widzialny oczami duszy, i zaczynał tak ogłuszająco, tak zawadiacko, z takimi wariacjami grać do tańca na ustnej harmonijce, że serce aż się odrywało i leciało gdzieś w bezdeń, w przepaść... Lżej byłoby jej spać nie w takiej duszności, nie w pierznych, ale na powietrzu pod daszkiem stodoły, lecz Nastasja Pietrowna bała się.

— Psy podejdą... Wywieszają głowę...

Wprowadzenie monopolu stało się solą na ranę. Gdy nadzieja dochowania się dzieci przepadła, Tichonowi Iljiczowi coraz częściej przychodziło do głowy: „Dla kogóż ta cała katorga? Niech ją diabli!”. Ze złości ręce zaczęły mu się trząść, brwi w górę unosić, a górna warga krzywić, zwłaszcza przy zdaniu, nieschodzącym mu z ust: „Zechciej zauważyć...”. Po dawnemu starał się odmładszczyć: nosił eleganckie buty z cielejącej skóry i zapinaną z boku haftowaną koszulę pod dwurzędową marynarką. Ale broda siwiała, rzęśla i plątała się coraz bardziej...

A lato, jakby umyślnie, było upalne i suche. Żyto zupełnie przepadło, więc uskarżanie się przed klientami stało się prawdziwą rozkoszą.

— To już nasz koniec, koniec! — wyraźnie oddzielając każdą sylabę, z radością mówił Tichon Iljicz w swym handelku spirytualiami. — Bo jakże: ministrowi zachciało się handlować!

— Och, patrzę ja na ciebie, patrzę! — stękała Nastasja Pietrowna. — Dogadasz ty się do czegoś złego! Dogadasz! Zapakują cię, dokąd kruk kości nie zanos!

— Nie przestraszysz mnie! — przerywał Tichon Iljicz, unosząc brwi. — Nie! Nie każdemu można gębę zamknąć!

I znowu, jeszcze mocniej akcentując słowa, zwracał się do klienta:

— A żyto także cieszy! Zechciej zauważyć, cieszy wszystkich! Zwłaszcza w nocy. Uwierzysz? Zwłaszcza w nocy! Nawet wtedy widać: wyjdzie człowiek na próg, popatrzy przy świetle księżycy na pole, a tu prześwieca jak łysina! Wyjdiesz, spojrzysz: błyszczą się!

— A ty do sądu! — krzyknął raz pewnego obecnego przy takiej rozmowie Tryfon z Durnowki, starzec znany z bezczelności, ze złości i z tego, że bezustannie przez całe życie wytaczał sprawy każdemu, kto mu się nawinął pod rękę i to z powodów najbłahszych.

Chudy był i wysoki, z rozbieganymi zielonymi oczami, z rzadziutką siwą bródką, w długiej koszuli i dużych łapciach na cienkich nogach, poznaczonych zbyt ciasno owiniętymi onucami.

Powiedział to tak niespodziewanie, że Tichon Iljicz trochę się zmieszał.

— A z kimże ja się mam sądzić?

— Z krzywdzicielami! — krzyknął Tryfon i uderzył kijem w ziemię. — Ze zbrodniarzami! Z rolnikami!

Tichon Iljicz pokiwał głową.

— Och, za mało ciebie bili, czorta rogatego! — rzekł wreszcie współczująco.

— Łżesz! — wrzasnął Tryfon. — Bardzo bili! Wystarczyłoby na dziesięć! Ale się nie poddam! Do cara dojdę! No, i według mojego zdania, ty także szukaj okazji...

Na świętego Piotra²¹ Tichon Iljicz był przez cztery doby w mieście na jarmarku i zde-

Handel, Podróż

nerwował się bardzo z powodu różnych myśli, upału i bezsennych nocy. Zwykle wybierał się na jarmark z wielką ochotą. O zmierzchu smarowali wozy i mościli je sianem; do jednego, w którym jechał karbowy²², przywiązywano konie i krowy przeznaczone na sprzedaż; do drugiego, w którym jechał sam gospodarz ze starym robotnikiem, wkładali poduszki i sukienną kapotę. Wyjeżdżali późno i skrzypiąc kołami, wlekli się aż do świtu. Z początku prowadzili przyjazne rozmowy, palili, opowiadali jeden drugiemu stare a straszne historie o kupcach zabitych w drodze i na noclegach, a potem Tichon Iljicz kładł się spać. Tak przyjemnie było słyszeć przez sen głosy napotykanym ludzi, czuć, jak wóz kołysze się chwiejnie i jak gdyby ciągle jedzie pod górę; policzek zsuwa się po poduszce, czapka spada i świeżość nocy chłodzi głowę. Przyjemne też bywały przebudzenia o wschodzie słońca, różowym, rośnym porankiem, wśród matowo-zielonych zbóż, gdy w dali bielą miasto i świeciły się cerkwie. Przyjemnie było wtedy ziewnąć szeroko, przeżegnać się na dźwięk oddalonych dzwonów i wziąć cugle z rąk na wpół śpiącego starego, po dziecięcemu osłabłego pod wpływem porannego chłodu, a w świetle zorzy bladej jak kreda... Teraz Tichon Iljicz posłał wozy z karbowym, a sam pojechał linijką²³. Noc była ciepła, widna, różowa od księżyca Tichon Iljicz jechał szparko, ale mocno się zmęczył; światełka z jarmarku, z więzienia i ze szpitala, stojącego przy wjeździe do miasta, widać w stepie na odległość wiorst dziesięciu, a zdaje się, że nigdy się do tych dalekich sennych światełek nie dojedzie. W zajeździe na Szczepnym Placu było tak gorąco, tak gryzły pchły, tak często rozlegały się głosy przy bramie, tak gruchotały wozy, wjeżdżające na brukowane podwórze, tak wcześnie zapalały koguty, zagruchały gołębie i rozjaśniło się za otwartymi oknami, że Tichon Iljicz nie zmrużył oka. Równie mało spał i następnej nocy, którą spróbował przebyć na jarmarku w wozie: konie rżały, paliły się ognie w namiotach, naokoło chodzono i rozmawiano, a gdy zaczęło świtać, kiedy oczy po prostu same się zamykały, zadzwoniono w więzieniu i w szpitalu, a tuż nad głową krowa straszliwie zaryczała...

„Katorga! — przychodziło mu niekiedy do głowy w czasie tych dni i nocy. — Męcę się, morduję, ginę w głupstwach bez sensu!”

Jarmark, rozłożony na wygonie, a długi na wiorstę, był jak zawsze zgiełkliwy i bezładny. Stosami leżały kosy, miotły, konwie, łopaty, koła. Powietrze przepelniał nieustanny hałas, rzenie koni, świsty dziecięcych gwizdawek, marsze i polki, wygrywane na katarynkach przy karuzelach. Próżnujące rozgadane tłumy chłopów i bab nieprzerwanie włościły się od rana do wieczora po zagnojonych, pełnych kurzu przejściach pomiędzy straganami zawieszonymi wiktualiami, skąd buchał śmierdzący odór zatłuszczonych patelni. Jak zawsze pełno było handlarzy, strasznie zapalczywych we wszelkich sporach i transakcjach; niekończącymi się sznurami ciągnęli ślepcy i biedni, żebracy i kaleki o kulach i na wózkach; przez tłumy z wolna torowała sobie drogę trojka naczelnika policji powiatowej, brzęcząca dzwoneczkami, ze stangretem w pluszowym kaftanie bez rękawów i w czapeczce z pawimi piórami... Kupców miał Tichon Iljicz wielu, ale wszystko kończyło się na gadaninie. Podchodzili smagli Cyganie, Żydzi z południowego zachodu (o twarzach szarych, rudzi, zakurzeni, w płóciennych kitlach i w zdeptanych butach), przychodzili ogorzali szlachcice w kaftanach bez rękawów i w czapkach z daszkami, naczelnik ziemskiej policji z komisarzem i bogaty kupiec Safonow, starzec w kapocie, tęgi, ogolony, z cygarem. Przyszedł piękny huzar, książę Bachtin, z żoną w angielskim kostiumie, przyszedł zgrzybiały bohater sewastopolski²⁴, Chwostow²⁵, wysoki i kościsty, o rysach grubych, twarzy ciemnej i pomarszczonej, w długim mundurze, w obwisłych spodniach, w butach

²¹*świętego Piotra* — tu: Pietrowki; Post Piotrowy (znany również jako Post Apostolów, Post Pięćdziesiątnicy lub Post Piotra i Pawła) to post w Kościele prawosławnym ustanowiony ku pamięci świętych apostołów Piotra i Pawła, którzy pościli, przygotowując się do głoszenia Ewangelii (Dz 13,3). Rozpoczyna się tydzień po Niedzieli Trójcy Świętej, w poniedziałek następujący po dziewiątej niedzieli po Wielkanocy (Wielkanoc jest pierwszą niedzielą), a kończy 28 czerwca (11 lipca), w wigilię Dnia Piotra i Pawła, obchodzonego 29 czerwca (12 lipca). W tym dniu prawosławie świętuje „wytrwałość Piotra i mądrość Pawła”. Zatem, w zależności od daty Wielkanocy, może on trwać od 8 do 42 dni. [przypis edytorski]

²²*karbowy* — nadzorca w dawnych majątkach ziemskich. [przypis edytorski]

²³*linijka* — tu: pojazd jednokonnny o wąskim, podłużnym siedzeniu; woźnica powoził linijką, siedząc bokiem lub okrakiem. [przypis edytorski]

²⁴*sewastopolski* — związany z Sewastopolem <https://pl.wikipedia.org/wiki/Sewastopol> [przypis edytorski]

²⁵*Chwostow, Dmitrij Iwanowicz* (1757–1835) — rosyjski poeta i wojskowy. [przypis edytorski]

z szerokimi noskami i w dużej czapce z żółtym kantem, spod której zaczesane były na skronie farbowane włosy martwego, burego koloru... Wszyscy udawali znawców, rozmawiali o maści i rodzajach koni, opowiadali o swoich własnych. Drobna miejscowa szlachta łąła i chępiła się. Bachtin nie zniżał się do rozmów z Tichonem Iljiczem, choć ten z szacunkiem wstawał i mówił:

— Koniczek w sam raz dla waszej wysokości!

Bachtin tylko odrzucał tułów wstecz, przyglądał się zwierzęciu, powściągliwie uśmiechał się pod wąsem (miał też bokobrody) i półsłówkami porozumiewał się z żoną, wysuwając nogę w rajtuzach wiśniowego koloru. A Chwostow, dowlókszy się do konia, patrzącego na niego z ukosa rozognionym okiem, zatrzymywał się tak raptownie, że zdawać by się mogło, iż pada, podnosił kule i po raz dziesiąty pytał głuchym, nic niewyraźnym głosem:

— Ile chcesz?

I każdemu trzeba było odpowiadać. Z nudów Tichon Iljicz kupił książeczkę *Oj, Szmul i Ryfka! Zbiór modnych scenek, dowcipów i historyjek z życia naszych Żydów*. Siedząc na wozie, brał się do niej wiele razy, ale ledwo przeczytał: „Kuźden z państwa wi, że my, Żydki, strasznie lubimy geszeft...”, a już ktoś wołał na niego. Tichon Iljicz podnosił oczy i odpowiadał z wysiłkiem, zaciskając szczęki.

Opalił się bardzo, schudł i zbladł, czuł śmiertelny smutek, nudę i osłabienie całego ciała. Zepsuł sobie żołądek i to do tego stopnia, że dostał kurczów. Trzeba było pójść do szpitala. Ale w szpitalu przez dwie godziny czekał w kolejce, siedział w korytarzu pełnym hałasu, wdychając wstrętny zapach karbolu²⁶ i czuł się tak, jakby nie był Tichonem Iljiczem, lecz interesantem w przedpokoju komisarza lub naczelnika. I kiedy doktor, podobny do diaka²⁷, czerwony, o jasnych oczach, w kusym, czarnym surducie pachnącym miedzią, przyłożył mu, sapiąc, zimne ucho do piersi, Tichon Iljicz oświadczył, że „Brzuch prawie już przestał...” i tylko nieśmiałość zmusiła do zażycia rycyny. A powróciwszy na jarmark, łyknął szklankę wódki z pieprzem i solą, po czym znów zaczął jeść sitkowy chleb²⁸, pić herbatę, surową wodę i kwaśny barszcz, nie mogąc jednak niczym zaspokoić pragnienia. Zapraszali go znajomi na „odświeżenie się piwkiem” — i Tichon siedł.

Kulawy handlarz kwasem wrzeszczał:

— Ot, kwasek, bije w nosek! Kopiejkę dasz, lemoniadkę masz!

Tichon zatrzymywał sprzedawcę kwasu.

— Lody, lody! — wołał tenorem spocony łysy lodziarz, brzuchaty starzec w czerwonej koszuli.

I on — jak smarkacz! — jadł kościaną łyżeczką lody podobne do śniegu, od których okrutnie łupało w skroniach.

Zakurzony, zaśmiecony i zagnojony wygon, zdeptany i zryty nogami, kołami i kopytami, opustoszał — jarmark się kończył. Ale Tichon Iljicz, jakby komuś na złość, dalej trzymał w spiekocie i kurzu niesprzedane konie, jak gdyby nie przygniatała go choroba, lecz obraz wielkiej nędzy i biedy, od wieków panującej w tym mieście i w całym powiecie. Panie Boże, co za kraj! Ziemia czarna na głębokość półtora arszyna²⁹ — i to jaka! A pięć lat nie przechodzi bez głodu. Miasto na całą Rosję sławne ze swego handlu zbożem — a do syta jada w nim chleb może ze stu ludzi! A jarmark?! Nędzarzy, głuptaków, ślepców i kalek tak potwornych, że aż strach ogarnia i mdło się robi, zebrał się po prostu cały pułk!

Do domu wracał Tichon Iljicz po wielkiej Starej Drodze w słoneczny, upalny ranek. Z początku jechał przez miasto i rynek, obok cerkwi, przez płytką rzeczkę, śmierdzącą kwasami, spływającymi z garbarni, a za rzeczka — w górę, przez Czarną Słobodę. Na rynku pracował tu kiedyś razem z bratem w sklepie Matorina, a teraz wszyscy mu się kłaniają. W Słobodzie przeżył swe dzieciństwo. Tutaj, na skłonie góry pośród wrosłych w ziemię lepianek z przegniłymi i szczerbymi dachami, wśród nawozu, suszonego

²⁶karbol — trująca substancja (roztwór fenolu), używana dawniej do dezynfekcji. [przypis edytorski]

²⁷diak — pomocnik księdza w kościele prawosławnym, śpiewak liturgiczny i nauczyciel w szkółce parafialnej. [przypis edytorski]

²⁸sitkowy chleb — pieczywo o charakterystycznym smaku i zapachu, wypiekane z połączenia mąki żytniej sitkowej i mąki pszennej. [przypis edytorski]

²⁹arszyn — daw. jednostka długości używana w Rosji, równa ok. 0,7 m. [przypis edytorski]

w słońcu na opał, popiołu, śmieci i gałganów jaką wielką radością było uganianie się z krzykiem i gwizdaniem za żebrakiem, nauczycielem z powiatowej szkoły, dawno wyrzuconym z posady złym starcem-onanistą, który zarówno latem, jak zimą chodził w wojłokowych butach, w kalesonach i w krótkim palcie z wyleniałym bobrowym kołnierzem. Zwano go w całym mieście dziwacznym przezwiskiem „Psi pistolet”. Teraz nawet ślad nie pozostał po owej lepiance, w której urodził się i wyrósł Tichon Iljicz. Na jej miejscu stał nowy drewniany domek z zardzewiałym szyldem nad wejściem: „Krawiec Sobolew. Ubrania dla duchownych”. Wszystko, co poza tym było w Słobodzie, pozostało takie same jak dawniej: świnie i kury w bocznych uliczkach, wysokie żerdzie przy wrotach, a na nich baranie rogi, duże białe twarze koronczarek, wyglądające małymi okienkami zza doniczek z kwiatami, bose chłopaki z jedną szelką przerzuconą przez ramię, puszczający papierowe latawce z ogonem z konopi, białowłose, ciche dziewczynki, bawiące się na przyzbach³⁰ w ulubioną zabawę: pogrzeb lalek... A na górze, na polu, Tichon Iljicz przeżegnał się, mijając cmentarz, gdzie pośród starych drzew była kiedyś owa straszna mogiła bogacza i skąpca Zykowa, która zapadła się w tejże chwili, gdy ją usypano. Tichon Iljicz zastanowił się i skierował do bramy cmentarnej.

Przy dużej tej białej bramie stale siadywał i potrząsał rączką dzwonka oraz woreczkiem zezowaty zakonnik w czarnym habicie i zrudziałych butach, bardzo silny, kudłaty pijak o okrutnym wyglądzie, wymyślający z niezwykłym mistrzostwem od „...matki...”. Teraz mnicha nie było, a na jego miejscu siedziała, robiąc pończochę, stara baba podobna do czarownicy z bajki: w okularach, z dziobem, o zapadłych ustach — jedna z wdów, mieszkających w przytułku przy cmentarzu.

— Jak się masz, babko! — krzyknął dobrotliwie Tichon Iljicz, przywiązując konia do słupa przy bramie. — Możesz przypilnować konia?

Stara wstała i skłoniwszy się nisko, wymamrotała:

— Mogę, ojczulku.

Tichon Iljicz zdjął czapkę, raz jeszcze przeżegnał się, zwróciwszy się w stronę obrazu Bożej Rodzicielki i przewracając oczami, dodał:

— Dużo was tu teraz?

— Ano... Dwanaście babek, ojczulku.

— I cóż, często się kłócicie?

— Często, ojczulku.

Tichon Iljicz, nie spiesząc się, poszedł wśród drzew i krzyżów aleją, wiodącą do starej drewnianej cerkwi, niegdyś pomalowanej ochrą. Na jarmarku kazał sobie ostrzyć włosy i przyciąć oraz skrócić brodę, co go bardzo odmłodziło. Odmładzała go także szczupłość postaci i ogorzałość, na której tle bieląca delikatna skóra świeżo wystrzyżonych trójkątów przy skroniach. Odmładzały też wspomnienia dzieciństwa i młodości... Odmładzała płócienna czapka... Tichon Iljicz w zamyśleniu i ze smutkiem rozglądał się dookoła... Jak krótkie i bezsensowne jest życie! A jaki spokój i cisza wokoło w tym słonecznym zaciszu za płotem starego kościelnego cmentarza! Gorący wiatr poruszał wierzchołki jasnych drzew, malujące się na tle bezobłocznego nieba, gdzieś uschłe z upału. Na kamieniach i pomnikach chwiały się ich przezroczyste, lekkie cienie. Gdy wiatr przycichał, słońce mocniej przypiekało kwiaty i trawy, w krzakach słodko śpiewały ptaki, a na rozpalonych ścieżkach różnobarwne motyle zamierały w miękkiej omdłości. Na jednym z krzyżów Tichon Iljicz przeczytał:

Jakże straszne daniny
Śmierć zbiera wśród ludzi!

Ale nic straszego nie było dookoła. Tichon Iljicz szedł, stwierdzając jakby z przyjemnością, że cmentarz rośnie, że postawiono dużo nowych pięknych mauzoleów wśród staroświeckich pomników w kształcie trumien na nóżkach, wśród ciężkich żelaznych płyt i ogromnych, pospolitych a już butwiejących krzyżów, przepełniających cmentarz. „Zmarła w 1819 roku, 7 listopada o 5. z rana” — napisy takie przykro było czytać; jakże

Cmentarz

³⁰pryzba — wał ziemny, biegnący wzdłuż zewnętrznych ścian domu. [przypis edytorski]

ciężki musiał być zgon o świcie slotnego jesiennego dnia w starym powiatowym mieście! Lecz obok jaśniał bielą pomiędzy drzewami marmurowy anioł z oczami utkwionymi w błękitne niebo, a pod nim na czarnym, lustrzanym granicie wyryto złotymi literami: „Błogosławieni, którzy w Panu umierają!”. Na żelaznym pomniku kolegiąlnego asesora, mieniającym się pod wpływem slot i czasu wszystkimi kolorami tęczy, można było odczytać wiersze:

Carowi służył uczciwie,
Bliźniego kochał pocziwie,
W poważaniu był u ludzi...

Wydało się to Tichonowi Iljiczowi jakieś kłamliwe. Ale *tutaj* wzruszało nawet kłamstwo. Albowiem — gdzież prawda?! Ot tam, w krzakach, leży szczeka ludzka, jakby zrobiona z brudnego wosku: to wszystko, co zostało z człowieka... Wszystko...? Gniją kwiaty, wstęgi, krzyże, trumny i kości w ziemi — wszystko jest śmiercią i rozkładem! Idąc dalej, Tichon Iljicz czytał: „I stanie się w dzień Sądu: powstały z prochu, zbudzi się do nieśmiertelności”³¹. „Kochany nasz synu, pamięć o tobie nie zginie w sercach naszych nigdy!”...

Kondycja ludzka

Coraz surowiej marszcząc brwi, zdejmował czapkę i robił znak krzyża. Błady był jeszcze i słaby po chorobie, wspominał dzieciństwo, młodość, Kuźmę... Poszedł w ów daleki kąt cmentarza, gdzie pochowani byli jego najbliżsi: ojciec, matka i siostra, która umarła, będąc jeszcze małą dziewczynką... Napisy mówiły wzruszająco i pojednawczo o spokoju i odpoczynku, o uczuciach dla ojców, matek, mężów i żon, o miłości, której jakby nie było i nie będzie na ziemi, o prawdziwym oddaniu i pokorze względem Boga, o gorącej wierze w przyszłe, o spotkaniu się w innym błogosławionym świecie, w który wierzy się jedynie tutaj wśród mogił, o tej równości, jaką daje tylko śmierć, o tych chwilach, gdy zmarłego nędzarza całuje się w usta ostatnim całowaniem, jak brata... Gdy porównują go do cesarzów i władców, wygłaszając nad nim wielkie i uroczyste słowa... A tam, w oddalonym kącie przy parkanie, w krzakach bzu, drzemających w spiekocie, tam, gdzie niegdyś były mogiły, a teraz zostały tylko pagórki lub doły zarosłe trawą z białymi kwiatami, Tichon Iljicz ujrzał świeży grób dziecięcy i krzyż, a na krzyżu — dwuwiersz:

Niechaj głośny listków szum
Nie przerywa Kostka dum...

I, przypomniawszy sobie własne dziecko, które niemowa-kucharka zadusiła przez sen, zamrugał oczami, powstrzymując napływające łzy...

Po szosie, przechodzącej obok cmentarza i gubiącej się w polach rozkołysanych zbożem, nikt nigdy nie jeździł. Chodził nią tylko bosonogi włóczęga w różowej, spłowiałej koszuli i portkach z różnokolorowych łat. Wszyscy zwykle jeździli zakurzoną, polną drogą, ciągnącą się równolegle. Drogą tą pojechał również i Tichon Iljicz. Z przeciwnej strony przeleciała najpierw obdarta dorożka — powiatowi dorożkarze jeżdżą po kawalersku! — a w dorożce siedział jeden z urzędników bankowych, który wybrał się na polowanie: na kolanach miał strzelbę w pokrowcu, na nogach — wysokie buty od błota (choć błot w całym powiecie nigdy nie było), a przy nim leżał łaciaty wyżeł. Za dorożką, wśród kurzu, wgramoliwszy się na staroświecki welocyped³² o dwóch kołach, z których jedno było ogromne, a drugie, tylne — małe, przejechał, nurkując po wybojach, młody pocztowiec. Przestraszył konia, więc Tichon Iljicz gniewnie ścisnął zęby: takiego nicponia przydałoby się zapędzić do prawdziwej roboty! Południowe słońce dopiekało, wiał gorący wiatr, bezobłoczne niebo przybierało kolor ołowiu. Tichon Iljicz, rozmyślając nad krótkością i bezsensownością życia, coraz gniewniej odwracał się od chmury kurzu na drodze i z coraz większą troską patrzył z ukosa na nędzne, zbyt wcześnie schnące zboża.

Droga

³¹I stanie się w dzień Sądu: powstały z prochu, zbudzi się do nieśmiertelności — cyt. z Nowego Testamentu, por. I Kor 15:42–49. [przypis edytorski]

³²welocyped — daw. pojazd kołowy napędzany siłą ludzkich mięśni. [przypis edytorski]

Miarowym krokiem, z wysokimi kijami w rękach szły tłumy pątnic, udręczonych zmęczeniem i upałem. Składały one Tichonowi Iljiczowi pokorne niskie pokłony, ale i one wydawały mu się nieszczerze.

— Pokornisie! — mrucał. — A na noclegach pewnie gryzą się ze sobą jak psy!

Pijani chłopci, wracający z jarmarku, poganiali konie, wzbijając tumany kurzu — prawie po dziesięciu siedziało na każdej podwodzie³³ — byli wśród nich rudzi i siwi, czarni i blondyni, ale wszyscy jednak ohydni, kudłaci i chudzi. Wyprzedzając ich łomoczące wozy, Tichon Iljicz kręcił głową.

— Och, włóczykije! Bodaj was diabli!

Jeden z nich, w koszuli porozrywanej na pasy, spał; leżał na plecach jak martwy i obijał się o wóz, odrzuciwszy w tył głowę i zadzierając w górę zakrwawioną brodę oraz nos nabrzmiały i oblepiony zakrzepłą krwią. Drugi biegł, doganiając porwaną przez wiatr czapkę, a gdy się potknął, Tichon Iljicz ze złą satysfakcją wyciął batem. Dalej spotkał wóz pełen sit, łopat i bab: siedząc plecami do koni, trzęsły się i podskakiwały; jedna z nich miała na głowie nową dziecięcą czapeczkę, włożoną daszkiem do tyłu; druga, z ustami pełnymi kołacza, śpiewała; trzecia machała rękami i ze śmiechem wrzeszczała za Tichonem Iljiczem: „Wujek, zgubiłeś kołek od osi!”. A Tichon Iljicz, wstrzymawszy konia, pozwolił się przegonić i wyciął batem tę babę również... Za szlabanem, gdzie szosa skręcała w bok, a łomoczące wozy pozostały w tyle, gdy otoczyła go cisza, przestrzeń oraz upał stepu, Tichon Iljicz znowu poczuł, że najważniejsze na świecie to jednak „interes”. Z wielką pogardą pomyślał o ziemianach, którzy na jarmarku zadawali szyku swymi nędznymi trojkami... Och, jakaż bieda wokoło! Chłopi zmarnowani do cna, ani żdźbła nie zostało w rozrzuconych po powiecie zbiedniałych zagrodach. Gospodarza by tu trzeba! Gospodarza!

— Ale nie takiego, jak ty, bracie! — ironizował gniewnie. — Sam żebrak jesteś, postrzeleniec, niedorajda!

Na połowie drogi była duża wieś Rownoje³⁴, zamieszкана przez jednodworców³⁵. Suchy podmuch wiał wzdłuż pustych ulic, po spalonych przez upał łożynach. Na progach, grzebiąc w popiele, trzepotały się kury. Z gruba ciosana i wymalowana na bury kolor cerkiew sterczała na nagim wygonie. Za nią, przecięty groblą z nawozu, błyszczał w słońcu płytki, gliniasty staw, woda gęsta i żółta, w której stado krów co chwila załatwiała swe potrzeby, a obok goły chłop mydlił sobie głowę. On także po pas wszedł w wodę, na piersiach jego błyszczał miedziany krzyżyk, szyja i twarz były na czarno opalone, a ciało aż razowało białością i bielą.

— Wyprzęgnij no konia — powiedział Tichon Iljicz, wjeżdżając do stawu, śmierdzącego bydlęm.

Chłop rzucił sinawy marmurkowy kawałek mydła na brzeg czarny od krowiego gnoju i z namydloną głową, zakrywając się wstydliwie, pośpieszył spełnić rozkaz. Koń chciwie przypadł do wody, lecz była ona tak ciepła i wstrętna, że zwierzę podniosło mordę i odwróciło łeb. Tichon Iljicz, pogwizdując nań, zamachał czapką:

— Ależ wodę macie! Pijecie ją?

— A u was jaka? Z cukrem? — wesoło i przyjaźnie odparł chłop. — Tysiąc lat ją pijemy! Ale co tam woda; ot, chleba brak!

I trzeba było zmilczeć: przecież i w Durnowce woda nielepsza i chleba też nie ma... I nie będzie... Za Rownojem droga znów wiodła wśród żyta, ale jakiego! Skąpego, słabego, prawie bez kłosa i pełnego chabrow... A około Wysielek, pod Durnówką, na koślawej wierzbie pełnej dziupli siedziała chmara gawronów z rozdziawionymi srebrnymi dziobami, tego dnia z Wysielek pozostała jedynie nazwa i czarne szkielety izb wśród śmieci! Kopciły one mleczno-sinawym dymem i czuć było kwaśną spaleniznę... Myśl o pożarze jak błyskawica przeszła Tichona Iljicza.

³³podwoda — tu: wóz. [przypis edytorski]

³⁴Rownoje (ros. Ровное, ukr. Рівне) — miasteczko w Dystrykcie Rowieńskim w Okręgu Saratowskim w Rosji, powstałe w 1767 r. [przypis edytorski]

³⁵jednodworzec — przed zniesieniem przez Aleksandra II pańszczyzny istnieli wśród chłopstwa chłopci wolni, którzy uważali się za potomków szlachty i urzędników osadzonych na roli w XVII w. „Jednodworcy” ci grupowali się zwłaszcza w gub. Tambowskiej, Woroneżskiej i sąsiednich (wg Dala). [przypis tłumacza]

„Nieszczęście!”, pomyślał, błędąc. Nic nie ubezpieczył był ze swego majątku, a w przeciągu jednej godziny może się stać wszystko...

Od świętego Piotra³⁶, od owej pamiętnej wycieczki na jarmark, Tichon Iljicz zaczął popijać i to dość często, wprowadzając nie do utraty przytomności, ale do silnego podniecenia. Nie przeszkadzało to jednak wcale w interesach i według jego słów nie szkodziło też zdrowiu. „Wódka krew czyści”, mawiał. Wyglądał też jeszcze silniej niż dawniej. Życie swe i teraz nazywał katogą, pętlą na szyi, złotą klatką. Ale coraz pewniej kroczył swoją drogą, nie zwracając uwagi na nic. W domu jego zapanowała codzienność i kilka lat przeszło tak jednostajnie, że wszystko się złożyło w jeden jedyny dzień roboczy. A zdarzenia wielkie i nowe przyszły niespodzianie: wojna z Japonią³⁷ i rewolucja³⁸.

Alkohol, Pijaństwo,
Kondycja ludzka, Los

Pogłoski o wojnie zaczęły się naturalnie od przechwałek. „Kozak, bratku, prędko z nich zedrze żółtą skórę”. Lecz słabe te i na niczym nieoparte przechwałki trwały niedługo i wkrótce poszły inne gadki.

— Z własną ziemią nie wiadomo, co robić! — surowym gospodarskim tonem mówił Tichon Iljicz, myśląc, zdaje się po raz pierwszy w życiu, nie tylko o durnowskiej, lecz o całej ruskiej ziemi. — To nie wojna, a po prostu zawracanie głowy!

Zdarzało się i to drugie, odwieczne: stawano po stronie tych, którzy byli górą. I wieści o strasznych porażkach rosyjskiej armii wprowadzały w zachwyt.

— Do-o-brze! Tak ich, tak ich, sukinsynów, tak!

Zachwycały też i zwycięstwa rewolucji, zachwycały zabójstwa.

— Jak dał temu ministrowi pod żebro! — mówił niekiedy Tichon Iljicz w zapale. — Jak mu dał! Nawet prochu z niego nie zostało!

Lecz budziła się również trwoga. Gdy tylko zaczęto mówić o gruntach, budziła się złość posiadacza. „To wszystko robota żydowska! Wszystko to zrobiły Żydy i te kudłacze, studenty!”. Najwięcej ze wszystkiego rozdrażniało Tichona Iljicza, że syn diaka z Ulianówki, seminarzysta, pętający się bezczynnie przy ojcu, nazywa siebie socjaldemokratą. I nie można było nic zrozumieć: mówią i mówią: „Rewolucja, rewolucja”, a wokoło wszystko jak dawniej, takie codzienne: słońce świeci, na polu kwitnie zboże i podwoły wloką się na stację. A ludzie z ich wymijającymi odpowiedziami lub uporczywym milczeniem są tacy niezrozumiali!

— Chytry to naród, chytry! Aż strach, jaki chytry! — mawiał Tichon Iljicz i, zominając o „Żydach”, dodawał: — Przypuśćmy, że to nie żadna sztuka. Zmienić rząd, ziemię podzielić; to nawet dziecko przy piersi zrozumie! I, naturalnie, wiadomo za kim jest naród! Ale, naturalnie, musi milczeć! I znaczy, trzeba uważać i tak robić, żeby milczał! Nie popuszczać mu cugli. A i jak popuścisz, trzymaj się, bracie: niech tylko poczuje powodzenie i luz pod ogonem, rozniesie na kawałki!

Naród

Kiedy czytał lub słyszał, że będą zabierali ziemię tylko tym, którzy mają więcej niż pięćset dziesięcin³⁹, sam stawał się „wichrzycielem”. Zapuszczał się nawet w spory z mieszkańcami Durnówki. Stoi, bywało, obok jego sklepiku chłop, kupił na stacji wódki, w sklepie — certę⁴⁰ i obwarzanków; zdjął czapkę, ale wciąż jeszcze odkłada rozkosz jedzenia na później, a tymczasem mówi:

Ziemia, Chłop

— Nie, ty o tym, Iljicz, nie gadaj. Po sprawiedliwej cenie to wziąć ziemię można by. Ale tak! Nie, tak, to jakoś nie wychodzi...

Pachną sosnowe deski, zwalone przy stodołach naprzeciw drzwi. Przenikliwie czuć woń cert i sznurków, na które nawleczone są obwarzanki. Słyszać, jak za drzwiami i za budynkami stacji dyszy i bucha parą gorącą lokomotywa towarowego pociągu. Tichon Iljicz stoi bez czapki przed sklepem, mruży oczy i uśmiechając się, mówi:

³⁶świętego Piotra — Pietrowki; Post Piotrowy, Post Apostołów, Post Pięćdziesiątnicy a. Post Piotra i Pawła. [przypis edytorski]

³⁷wojna z Japonią — chodzi o wojnę rosyjsko-japońską o panowanie na Dalekim Wschodzie, toczoną w latach 1904–1905. [przypis edytorski]

³⁸rewolucja — chodzi o rewolucję w 1905 roku w Rosji (ogólnokrajowy zryw przeciwko carskiemu absolutyzmowi); powieść *Wies* została opublikowana w 1910 r., przed rewolucją październikową 1917 r. [przypis edytorski]

³⁹dziesięcina — tu: 1500 akrów. [przypis edytorski]

⁴⁰certa — rodzaj suszonej solonej ryby, popularna wschodnia przekąska. [przypis edytorski]

— Głupstwa! A jeżeli on nie gospodarz, a włóczęga?
— Kto? Właściciel?
— Nie, tylek!
— No, to inna sprawa! Takiemu odebrać wszystko, takiemu bebechy wypruć także nie grzech!

— A właśnie! Właśnie o to chodzi!

Ale nadeszła też inna wieść: że będą zabierali i poniżej pięciuset dziesięcin! A wtedy duszą owładała natychmiast podejrzliwość, zdumienie i zaczepność. Wszystko, co robiono w domu, wydawało się wstrętne.

Zdarzało się, że Jegorka, podręczny, wynosił ze sklepu worki po mące i zaczynał je wytrząsać. Głowa chłopca przypominała głowę głuptaka z miasta, „Motii-Kaczej-Główki”. Ciemię miał wypukłe, włosy twarde i gęste (i czemu głuptasy mają takie gęste włosy?), czoło — wklęsłe, twarz — krzywą i długą jak jajo, oczy wytrzeszczone, z białymi, cielejącymi rzęsami, o powiekach mocno naciągniętych: zdawałoby się, że nie wystarczyło skóry na te powieki i że jeżeli chłopak zamknie oczy, będzie musiał otworzyć usta, a jeżeli zechce usta zamknąć — oczy otworzą mu się szeroko. I Tichon Iljicz ze złością krzyczał:

— Bałwan! Dureń! Czego wytrząsas na mnie?

Zdarzało się, że kucharka wynosiła kuferek, odwracała go dnem do góry i pięścią zaczynała coś z niego wybijać. Tichon Iljicz, zrozumiałwszy o co chodzi, z wolna kiwał głową:

— Ot, gospodynie, żeby was... Prusaki wybijasz?

— Ich tu całe chmary! — radośnie odpowiadała kucharka. — Popatrzyłyśmy, a tu... Boże wielki!

Tichon Iljicz, zgrzytnąwszy zębami, wychodził na szosę i długo spoglądał na falujące pola po stronie Durnowki.

Izby jego, kuchnia, sklep i stodoła, w której niegdyś był handel spirytualiami, stanowiły jeden kompleks pod wspólnym żelaznym dachem. Z trzech stron przylegały doń strzechy obór i chlewów kryte słomą; w ten sposób tworzył się zaciszny kwadrat. Ganek i wszystkie okna wychodziły na południe. Ale spichrze ze zbożem, postawione na wprost okien po drugiej stronie drogi, zagradzały widok. Na prawo była stacja, na lewo — szosa, za nią — brzozowy las. I gdy Tichonowi Iljiczowi robiło się źle na duszy, wychodził na szosę. Wła się ona krętą wstęgą od jednego pagórka do drugiego, schodziła na południe, to zniżając się wraz z polami, to wznosząc się ku horyzontowi aż do dalekiej budki, gdzie ją przecinała południowo-wschodnia droga żelazna. I jeżeli się zdarzało, że do Ulianowki jechał któryś z chłopów durnowskich (naturalnie, któryś z bardziej przedsiębiorczych i mądrzejszych, na przykład Jakow, którego wszyscy nazywają Jakowem Mikiticzem za to, że skąpy, że przez dwa lata chowa każdą kądź zboża i że posiada trzy dobre konie) — Tichon Iljicz zatrzymywał go.

— Żebyś se przynajmniej czapkę kupił — wołał drwiąco.

Jakow w czapce, w perkalowej koszuli, w krótkich parcianych spodniach, bosy, siedział na brzegu wozu. Przyciągnąwszy sznurkowe lejce, zatrzymywał wypasioną kobyłę:

— Jak się macie, Tichonie Iljczu! — mówił powściągliwie.

— Jak się masz! Mówię, że mógłbyś już ofiarować tę twoją czapkę na gniazdo dla wron!

Jakow, z chytrym uśmiechem wpatrując się w ziemię, kiwał głową.

— To... Jak powiedzieć? Dobrze by było. Ale jeżeli, na ten przykład, kapitał nie pozwala?

— Nie gadaj! Już my was, bidne sieroty, do-o-obrae znamy! Dziewczynę wydał, chłopca ożenił, pieniądze ma!... Czegóż ty jeszcze chcesz od Pana Boga?

Pochlebiali to Jakowowi, ale czyniło go jeszcze ostrożniejszym.

— O Boże! — wzdychał i mruczał drżącym, jakby chichoczącym głosem: — Pieniądze... A jeżeli ja ich, na ten przykład, nigdy nie miałem? A chłopak... Cóż chłopak? Z chłopaka niewielka pociecha... Po prostu... Trzeba przyznać... Żadna pociecha! Teraz z młodych pociechy nie ma!

Jakow, jak wielu chłopów, łatwo się gorączkował, a zwłaszcza wtedy, kiedy chodziło o jego rodzinę lub gospodarstwo. Skryty był także, ale nerwowość często brała górę nad

Wieś, Dom

Chłop, Młodość

skrytością, jakkolwiek objawiała się tylko w urywkowym sposobie mowy i w drżącym głosie. A Tichon Iljicz, aby go do reszty rozdrażnić, pytał współczująco:

— Żadnej pociechy? Patrzcie, patrzcie!... I to z powodu baby?

Jakow, spoglądając wokoło, skrobał się paznokciami po piersi:

— Z powodu baby! Żeby ją padaczka...

— Zazdrosny?

— Zazdrosny... Że niby ja ją...

— Hm! — współczująco odzywał się Tichon Iljicz, chociaż doskonale wiedział, że nie ma tu dymu bez ognia.

A oczy Jakowa zaczynały się już rozbiegać:

— Naużała się tam przed mężem, naużała! Ale co tam... Naużała! Otruć chciała! Kiedyś, na ten przykład... Na przeziębienie dobrze zapalić papierosika, żeby zelżało na piersiach... No i zauważyła... Wsunęła pod poduszkę papierosik... Jakbym nie popatrzał, przepadło!

— A cóż to za papierosik?

— Natłukła kości z umarłaków i wyspała zamiast tytoniu...

— No, to chłopak duren! Nauczyłbym ją, przeklętą babę, po naszymu!

— Akurat...! Toż on, na ten przykład, jeszcze na mnie wsiał! A skręca się jak gadzina! Ja go za łeb, a łeb ostrzyżony! Ja go za kark, a tu szkoda koszuli!

Tichon Iljicz kiwał głową, chwilę milczał i na koniec zdecydował się.

— A jak tam u was? Czekacie na bunt?

Ale wówczas powróciła skrytość Jakowa. Uśmiechnął się i machnął ręką.

— Eeeee! — bąknął pośpiesznie. — Jaki tam, u diabła, bunt? U nas naród spokojny... Bardzo spokojny naród...

I przyciągnął lejce, że niby koń się płoszy.

— A w niedzielę? O czym radziliście? — ze złością rzucił nagle Tichon Iljicz.

— Radzili? A cholera ich wie! Pokrzyczeli, na ten przykład...

— Wiem ja, o czym krzyczeli, wiem!

— No to co? Ja nie ukrywam... Gadali na ten przykład, że wyszedł, niby, rozkaz... Niby, że kazali... Za nic nie pracować po dawnej cenie...

Przykro było myśleć, że kiedy sprawy są ważne, ręce z powodu jakiejś tam Durnowki opadają. A przecież w całej tej Durnowce jest w ogóle wszystkiego trzydzieści zagród. I leży w takiej diabelskiej dziurze: szeroki jar, z jednej strony chaty, z drugiej — dworek. A dworek ten i chaty patrzą na siebie z dnia na dzień, czekając jakiegoś „rozkazu”... Ech, puścić by tak kilku kozaków z nahajkami!

A „rozkaz” jednak „wyszedł”. Którejś niedzieli rozeszła się wieść, że w Durnowce wiec opracowuje plan napadu na dwór. Ze złymi a radosnymi błyskami w oczach, z poczuciem niezwyklej siły i śmiałości, z gotowością „złapania samego czorta za rogi” Tichon Iljicz krzyknął: „Zaprząć konia do linii!” i po dziesięciu minutach pędził już szosą do Durnowki. Po deszczowym dniu słońce zachodziło w szaro-czerwonych chmurach, pnie brzóz w lasku wydawały się pąsowe; trudno było przejechać polną drogą, ostro odcinając się czarno-fioletowym błotem od świeżej zieleni. Z końskiego zadu i z suwającej się po nim uprzęży spadała różowa piana. Lecz mniejsza o konia! Mocno uderzając go lejcami, Tichon Iljicz skręcił w bok od kolei i pojechał na prawo, a zobaczywszy Durnówkę, na chwilę zwątpił w prawdziwość pogłosek o buncie. Cisza panowała wokoło, skowronki śpiewały swe wieczorne pieśni, pachniało zwyczajnie wilgotną ziemią i słodyczą polnych kwiatów. Lecz nagle spojrzenie Tichona Iljicza padło na okólnik⁴¹ przy dworze, gęsto usiany żółtymi jaskrami: na okólniku pasły się chłopskie konie! Aha — zaczęło się! Szarpnąwszy lejcami, Tichon Iljicz przeleciał obok okólnika, obok stodoły tonącej w łopuchach i pokrzywach, obok niskopiennego wiśniowego sadu pełnego wróbli, obok stajni i czeladnej⁴², i wpadł na podwórze... A potem działo się coś niesamowitego: o zmierzchu, dusząc się złością, doznana obrazą i strachem, Tichon Iljicz siedział w polu na linii. Serce mu waliło, ręce się trzęsły, twarz paliła, a słuch był wyostrzony jak u zwierzęcia. Siedział, słuchał krzyków, dobiegających z Durnowki, i przypominał sobie,

Chłop, Bunt

⁴¹okólnik — tu: ogrodzona część pastwiska. [przypis edytorski]

⁴²czeladna — miejsce przeznaczone dla służby we dworze, na folwarku lub w karczmie. [przypis edytorski]

jak tłum, który wydał mu się olbrzymi, ujrzawszy go, runął przez jar do dworu, nappełnił podwórze zgiełkiem i wymysłami, stłoczył się przed gankiem i przycisnął Tichona do drzwi. Tichon Iljicz miał w rękach tylko bat i machał nim, to odstępując, to rozpaczliwie rzucając się w tłum. Lecz jeszcze zamasyżyciej i jeszcze mocniej machał kijem napierający rymarz⁴³ — zły, suchy, z zapadłym brzuchem, ostronosy, w butach i w liliowej perkalowej koszuli. To on w imieniu całego tłumy (dziwne wrażenie robili wśród ciżby Mikołajek, szary, najbiedniejszy nędzarz w całej Durnowce, Czugunok i nawet Jakow!) ryczał, że wyszedł rozkaz „skończyć ten interes”, skończyć w jeden dzień i o tej samej godzinie w całej guberni: przepędzić ze wszystkich dworów obcych parobków i zastąpić ich na robocie tutejszymi — po rublu dziennie! — a panów wygnać na cztery wiatry, dokąd ich oczy poniosą. Tichon Iljicz wrzeszczał na to jeszcze przeraźliwiej, starając się zagłuszyć rymarza:

— A-a-a! To tak! Nauczyłeś się, włóczykiu, od syna diaka? Wyniuchałeś!?

A rymarz chwycił w lot jego słowa.

— Sam żeś włóczyki! — darł się aż do ochrypnięcia, z twarzą nabiegłą krwią.

— Ty siwy durniu! To ja i bez syna diaka nie żyłem?! To i bez niego nie wiem, ile masz gruntu? Ty hyclu! Dwieście?! A ja, psiakrew, ja to wszystkiego mam taki kawałek, jak ten twój ganek! A dlaczego?! Kto ty jesteś? Kto ty jesteś, pytam ja ciebie?! Z jakich to panów?!

— No, pamiętaj, Mit'ka, pamiętaj! — krzyknął na koniec Tichon Iljicz bezradnie i czując, że mu się w głowie kręci, rzucił się przez tłum do linijki. — Popamiętasz to sobie!

Ale nikt nie przestraszył się groźby i zgodny śmiech, ryk i gwizdanie poleciały za nim w ślad... A potem Tichon Iljicz krążył wokół dworu i drząc, słuchał. Wyjechał na drogę, na skrzyżowanie i stanął twarzą do zorzy, do stacji, gotowy w każdej chwili popędzić konia. Cicho było bardzo, ciepło, wilgotno i ciemno. Ziemia, podnosząc się ku horyzontowi, gdzie jeszcze żarzył się czerwony słaby blask, czerniała jak przepaść.

— Stój, ścierwo — przez zęby szeptał Tichon Iljicz do poruszającego się konia — s-stój!

Z oddali słychać było krzyki i pieśni. A nad wszystkie głosy wybijał się ryk Czerwonego Wańki, który już dwa razy był w donieckich⁴⁴ kopalniach... Potem nad dworem wystrzelił ciemny, ognisty słup! Chłopi otrząsnęli w sady wszystkie zawiązki owoców i podpalili szalas, a spośród płomieni zaczął strzelać pistolet, zapomniany tam przez uciekającego sadownika-mieszczanina⁴⁵...

Dowiedziano się później, że naprawdę stał się cud: w tym samym dniu zbuntowali się chłopcy prawie w całym powiecie. Hotele w mieście długo przepełnione były ziemianami, szukającymi ochrony u władz. W następstwie Tichon Iljicz ze wstydem przypominał sobie, że i on szukał jej również, a wstydził się dlatego, że mieszkańcy Durnowki pokrzyżowali, narobili rwetu i zamilkli. Rymarz zaczął wkrótce, jakby nigdy nic, zjawiać się w sklepie w Worgole i z szacunkiem zdejmował czapkę na progu, niby nie dostrzegając, że twarz Tichona Iljicza ciemnieje na jego widok. Jednak wciąż jeszcze kursowały pogłoski, że durnowcy chcą zabić Tichona Iljicza. Zbyt późno wracając więc do domu z Durnowki, bał się, macał rewolwer, nieprzyjemnie ciężący w kieszeni spodni, i dawał sobie słowo, że pewnej pięknej nocy spali całą Durnówkę albo zatruje wodę w jej stawach... Ale wreszcie i te pogłoski ucichły. Jednak Tichon Iljicz zaczął na serio myśleć, że trzeba raz już skończyć z tą przeklętą wsią. „Bliższa ciału koszula...”. Zresztą chłopcy stali się tacy wyzywający w zachowaniu, okazywali jakieś tajemnicze uświadomienie...

— Gdzieś ty to wszystko wyczytał? W gazetach? — zapytał kiedyś Tichon Iljicz jękałą Kobylaja, sławnego z tego, że go „przyłapano” pewnego razu wśród koni.

⁴³rymarz — rzemieślnik produkujący wyroby skórzanego. [przypis edytorski]

⁴⁴doniecki — związany z Donieckiem, miastem przemysłowym we wsch. części Ukrainy, stolicy obwodu donieckiego i głównego ośrodka Donieckiego Zagłębia Węglowego. [przypis edytorski]

⁴⁵sadownik-mieszczanin — „mieszkaniec/mieszczanin-ogrodnik/sadownik” to obraz łączący w sobie dwa znaczenia słowa „burżuazyn”: historyczne (mieszkaniec miasta, drobny kupiec/rzemieślnik) i przenośne (osoba o ograniczonych horyzontach, wąskich zainteresowaniach, ceniąca sobie codzienność i wygodę). Jednak w kontekście słowa „ogrodnik” może to być obraz osoby, która kocha swój mały świat, wygodę, oszczędność (cechy mieszczańskie), a jednocześnie pracuje na roli, tworząc piękno i wygodę w swoim „ogrodzie” (pozytywna strona burżuazji, chęć samodoskonalenia). [przypis edytorski]

Chłop, Pan, Bunt, Strach,
Wieś

— W g-g-g-azetach? — zdziwił się Kobylaj. — A k-k-k-tóždy nam g-g-gazety dawał?

Rzeczywiście: nikt im przecież ich nie dawał. Ale durnowcy wiedzieli jednak „sami z siebie wszyściuteńko” i głupio byłoby powierzać teraz któremuś z nich nadzór albo jakieś interesy we dworze... Zresztą karbowym był Rod’ka.

W roku tym, najbardziej burzliwym ze wszystkich lat ostatnich, Tichon Iljicz skończył pięćdziesiątkę. Ale marzenie o ojcostwie nie opuściło go dotąd i ono właśnie zetknęło go z Rod’ką.

Rod’ka, wysoki, ponury chłop z Ulianowki, dwa lata temu zamieszkał w zagrodzie brata Jakowa, Fiedota; ożenił się, pochował Fiedota, zmarłego z przepicia na weselu, i poszedł do wojska. A jego młoda żona, kobietka zgrabna, z bardzo białą i delikatną cerą, ze ślicznym rumieńcem i z wiecznie opuszczonymi rzęsami, zaczęła pracować we dworze na dniówki. Właśnie te jej spuszczone rzęsy strasznie podniecały Tichona Iljicza. Durnowskie baby noszą na głowie „rogi”: zaraz po ślubie warkocze układają na ciemieniu i przykrywają je chustką, z czego robi się coś dzikiego, podobnego do krowich rogów; noszą też staroświeckie ciemnoliliowe kaftany z galonami⁴⁶, białe fartuchy w rodzaju sarafana⁴⁷ i łapcie. Ale Młoda — przydomek ten już jej pozostał — ładna była nawet w tym stroju. I pewnego wieczora, gdy samotnie zgarniała kłosa w ciemnej stodole, Tichon Iljicz, obejrzawszy się, zbliżył się do niej szybko i pośpiesznie rzekł:

— W buciach będziesz chodziła, w jedwabnych chustkach... Nie będę żałował choćby ćwiartki⁴⁸!

Ale Młoda milczała jak zabita.

— Słyszysz czy nie? — krzyknął szeptem Tichon Iljicz.

Lecz Młoda jakby skamieniała, pochyliwszy głowę i zagarnawszy grabiami kłosa.

I Tichon Iljicz nic nie wskórał. Wtem niespodziewanie zjawił się przed terminem Rod’ka bez jednego oka. Było to wkrótce po buncie w Durnowce i Tichon Iljicz natychmiast zgodził Rod’kę razem z żoną do dworu, tłumacząc się tym, że „teraz bez żołnierza ani rusz!” Na świętego Ilję⁴⁹ Rod’ka pojechał do miasta, a Młoda myła podłogi w domu. Omijając kałuże, Tichon Iljicz wszedł do pokoju, spojrzął na schyloną Młodą, na jej białe łydki zbryzgane brudną wodą, na całą jej rozrosłą i tęższą teraz postać... I nagle przekręcił klucz w drzwiach, a potem, wyjątkowo silny i spragniony, ruszył ku Młodej. Kobieta szybko się wyprostowała, podniosła ku niemu rozczewrzoną, wzburzoną twarz i trzymając w rękach mokrą ścierkę, krzyknęła jakoś dziwnie:

— Jak ci dam!...

Czuć było gorące pomyje, pot, rozgrzane ciało... Tichon Iljicz porwał Młodą za rękę, wyrwał jej ścierkę, schwycił kobietę za stan⁵⁰ i przycisnąwszy ją do siebie tak, że kości zatrzęszczały, zaniósł ją do sąsiedniego pokoju, gdzie stało łóżko. I Młoda, odrzuciwszy w tył głowę i szeroko otworzywszy oczy, już się nie wrywała ani sprzeciwiała...

Męką było potem patrzeć na żonę i na Rod’kę, męką — świadomość, że Młoda sypia z mężem i że ten bije ją okrutnie, bije co dzień i co noc. A wkrótce zjawił się też strach. Nieznane są drogi, jakimi zazdrosny człowiek dochodzi do prawdy! I Rod’ka do niej doszedł, a wówczas stał się straszny: chudy, jednooki, z długimi rękami, silny jak małpa, z małutką, krótko ostrzyżoną głową, którą zawsze trzymał schyloną, patrząc spode łba głęboko osadzonym, błyszczącym okiem... W wojsku nauczył się ukraińskich wyrazów i akcentów, a jeżeli Młoda ośmielała się odpowiadać na jego krótkie, szorstkie słowa, brał spokojnie rzemienny bicz, zbliżał się do niej ze złym uśmieszkiem i przez zęby zapytywał:

— Co pani mówią?

Po czym tak mocno ją uderzał, że kobiecie aż się ciemno w oczach robiło.

Pewnego razu, ujrawszy taką rozprawę, sam Tichon Iljicz nie wytrzymał i krzyknął:

⁴⁶galon — tu: ozdobna taśma materiałowa z dodatkiem metalowych nitek. [przypis edytorski]

⁴⁷sarafan — tu: tradycyjna rosyjska suknia z wysoką talią. [przypis edytorski]

⁴⁸ćwiartka — tu: 25 rubli. [przypis tłumacza]

⁴⁹Ilja a. Eliasz — jeden z proroków *Starego Testamentu* żyjący w IX w. p.n.e., święty Kościoła katolickiego, prawosławnego, koptyjskiego, ormiańskiego i syryjskiego; jego święto przypada 2 sierpnia. [przypis edytorski]

⁵⁰stan (daw.) — pas, talia. [przypis edytorski]

Kobieta, Uroda, Młodość

Seks, Przemoc

Przemoc, Strach, Zazdrość,
Zdrada

— Co robisz, łotrze jeden!

Ale Rod'ka spokojnie usiadł na ławce i tylko na niego spojrział:

— Co pan mówi?

I Tichon Iljicz śpiesznie zatrzasnął drzwi...

Zaczęły przebłykiwać dzikie myśli; może by otruć żonę: na przykład, zaczadzić, a z Rod'ką zrobić tak, żeby go gdzieś przygniotła ziemia albo dach... Ale przeszedł jeden miesiąc, drugi, i nadzieja, która upajała jego myśli, okrutnie go zawiodła: Młoda nie zaszła w ciążę! Wszyscy w Durnowce byli dotąd pewni, że winien temu Rod'ka. Tichon Iljicz także tak myślał i żywił nadzieję. Ale jakoś w połowie września, gdy Rod'ka był na stacji, Tichon Iljicz niespodzianie zjawił się na folwarku i aż krzyknął, spojrzawszy na wykrzywioną przestraciem ładną twarz Młodej.

— Co, znowuś gotowa? — ryknął, wbiegając na ganek.

Młodej aż wargi zbladły, nos stał się woskowo żółty, a oczy rozszerzyły się i poczerwieniały: tak, znów się okazało, że nie jest brzemienna. Wyczekując śmiertelnego ciosu w głowę, odchyliła ją w tył, ale Tichon Iljicz powstrzymał się i tylko jęknął z bólu i wściekłości.

Po chwili wyjechał z powrotem do domu i od tej pory Rod'ka nie miał już powodu do zazdrości. A chłop, wyczuwszy to, zaczął się bać Tichona. Ten zaś miał tylko jedno jedyne pragnienie: jak najprędzej przepędzić go na cztery wiatry. Ale kto mógłby go zastąpić?

Z durnowskimi chłopami Tichon Iljicz miał się jeszcze na baczności. Naczelnika policji ziemskiej i komisarza prosił do siebie i wprawdzie ich upijał, ale cóż miał z tego za pożytek? Komisarz Orłow, przyjechawszy do niego, nic innego nie robił, tylko pił „za zdrowie szanownej Anastasji Pietrowny!”, zjadał przekąski, epatował swą wolnomyślnością, krytykował z wielką nonszalancją „priemier-ministra”⁵¹ i nie dawał gospodarzowi możliwości wypowiedzenia dwóch słów o swoich sprawach. Kiedy, bywało, zanocował, sypiał do dziesiątej, a wstawszy, ubierał się w kapotę gospodarza i siedział, wysuwając spod niej brudne nogi z długimi jak u psa pazurami...

Przypadek wybawił z kłopotu Tichona Iljicza. Pogodził się całkiem niespodzianie z bratem i namówił go do zarządzania Durnówką.

Od znajomego w mieście dowiedział się był, że Kuźma przestał pić, że przez długi czas pracował jako urzędnik w majątku u ziemianina Kasatkina i, co najdziwniejsze, stał się „autorem”. Tak jest: podobno wydrukowali całą książkę jego wierszy, a na okładce zaznaczono: „nakładem autora”.

— Ta-a-a-ak! — przeciągnął Tichon Iljicz, dowiedziawszy się o tym. — No, no, to ci majster z tego Kuźmy! A można zapytać... Jak to oni wydrukowali: utwory Kuźmy Krasowa?

— Wszystko, jak potrzeba — odrzekł znajomy, przekonany zresztą (jak wielu w mieście), że Kuźma swe wiersze „ściaga” z książek i pism.

Wówczas Tichon Iljicz, nie wstając z miejsca, od razu tutaj przy stole w restauracji Dajewa napisał do brata suchą i krótką kartkę, że czas już, aby obydwaj, on i brat, dwaj starcy, pogodzili się i przyznali do wzajemnych win. Pogodzenie się nastąpiło również w restauracji, a było szybkie i milczące. Nazajutrz odbyła się rozmowa o interesach.

Było to rankiem w restauracji jeszcze pustej. Słońce świeciło w zakurzone okna, oświetlało stoliki, przykryte wilgotnawymi, czerwonymi obrusami, padało na ciemną podłogę, pachnącą stajnią, a dopiero co umytą opilkami, na usługujących chłopców w białych koszulach i spodniach. W klatce, jak nakręcony, wyśpiewywał kanarek. Obok w cerkwi Michała Archaniola⁵² dzwonił na nabożeństwo i poważny głęboki dźwięk dzwonów, wstrząsając szybami, drżał i huczał nad głową. Tichon Iljicz z twarzą zdenerwowaną i skupioną usiadł przy stole, obstałował z początku dwie herbaty, ale nie wytrzymał i wziął do ręki spis potraw, nowość, która bawiła wszystkich gości Dajewa. W spisie „stało wydrukowane”: „Karafeczka wódki z przekąską — 25 kop. Z przyzwoitą przekąską — 40 kop.”. Tichon Iljicz kazał sobie podać karafkę za 40 kop., chciwie wypił dwa kieliszki i właśnie chciał nalać trzeci, gdy usłyszał nad uchem z dawna znajomy głos:

Karczma, Alkohol, Zgoda,
Interes

⁵¹priemier-ministr (z ros.) — premier. [przypis edytorski]

⁵²Michał Archaniół — w Biblii jeden z głównych archaniołów, obrońca ludzkości i Kościoła przed siłami zła, symbol sprawiedliwości Bożej. [przypis edytorski]

— No, więc jak się masz?

Kuźma ubierał się podobnie jak brat. Niższy był od niego, bardziej kościsty i suchy, a w ramionach nieco szerszy. Twarz miał dużą, chudą, o z lekka wystających kościach policzkowych, twarz sprytnego starego sklepiarza, wywodzącego się z chłopów, brwi — szare, nastroszone, i niewielkie, zielonkawe oczy. Rozpoczął przemowę zawile:

— W pierwszych moich słowach powiem ja ci, Tichonie Iljiczu — zabrał głos, gdy brat nalał mu herbaty — powiem ci, kto ja jestem, żebyś wiedział... — Uśmiechnął się. — Żebyś wiedział, z kim się zadajesz...

Miał zwyczaj rąbać sylaby, podnosić brwi w górę, a w czasie rozmowy odpinać i zapinać pierwszy guzik marynarki.

Więc zapiąwszy go, ciągnął dalej:

— Ja, widzisz, jestem anarchista...

Tichon Iljicz uniósł brwi.

— Nie bój się. Polityką się nie zajmuję. A myśleć nikomu nie można zabronić. No, i dla ciebie żadnej szkody w tym nie ma... Gospodarować mogę porządnie, ale otwarcie mówię: drzeć skóry z ludzi nie będę.

— Nie takie teraz zresztą czasy — westchnął Tichon Iljicz.

— No, czasy te same zostały. Jeszcze, niby, można skórę drzeć. Ale nie! Nie powinno się... Będę gospodarował, a w wolnych chwilach będę się kształcił... Czytał, znaczy się...

— Och, pamiętaj: zaczytasz się, w kieszeni nie doliczysz się! — powiedział, kręcąc głową i gryząc wargi, Tichon Iljicz. — A zresztą, to nie dla nas zajęcie.

— No, ja tak nie myślę, — odrzekł Kuźma. — Ja, bracie, jakby ci to powiedzieć? Dziwny rosyjski typ jestem!

— Przecież i ja sam, zauważ, rosyjski jestem człowiek — wtrącił Tichon Iljicz.

— Ale inny. Nie mówię, że lepszy od ciebie, ale inny. Ty, ja widzę, dumny jesteś z tego, żeś Rosjanin, a ja, bracie, wcale nie jestem słowianofilem! Nie chcę dużo gadać, powiem tylko jedno: nie chwalcie wy się, na litość Boską, że jesteście Rosjanami! Przecież dziki z nas naród i ślamazarny! Ani to Bogu świeczka, ani czortu ogarek... Ale o tym to jeszcze później pogadamy.

Tichon Iljicz spochmurniał i zabębnił palcami po stole.

— Może to i racja — powiedział, nalewając powolutku kieliszek. — Dziki naród. Zwariowany.

— No, więc właśnie! Ja, można powiedzieć, dosyć się natłukłem po świecie, no i co? Po prostu nigdzie nie widziałem nudniejszych i bardziej leniwych ludzi. A jeżeli kto nawet leniem nie jest — Kuźma popatrzał z ukosa na brata — to w takim też niewiele jest sensu. Zgarnia, wije gniazdo, a co z tego za sens?

— Jak to: co za sens? — spytał Tichon Iljicz.

— No tak, bo i gniazdo trzeba wic z sensem. Że, niby, jak uwiję, to i żyć sobie będę po ludzku. Ot: tym tutaj i tym! — I Kuźma uderzył się palcem w pierś i w czoło.

Tichon Iljicz nalał sobie drugą szklankę herbaty. Kuźma, włożywszy srebrne binokle, ciągnął ze spodeczka gorącą bursztynową wodę, Tichon zaś, bacznie popatrzwszy na niego błyszczącymi oczami i zastanawiając się nad czymś, rzekł:

— To wszystko, bracie, nie dla nas. „Na wsi, bracie, na wsi żyj, stale chłopski barszczyk żryj, dziury w łapciach szyj a szyj...”.

— Łapcie! — zgryźliwie odezwał się Kuźma. — Drugi tysiączek lat już my te łapcie taszczymy, bodaj je wszyscy diabli! Drugi tysiączek lat żyjemy z rozdziawioną gębą! Po diabła to wszystko! A kto winien? Ja na to tak odpowiem: wstyd zwać ciągle winę na sąsiada! Że, niby, Tatarzy nas gnietli! Myśmy, podobno, naród młody! A przecież chyba i tam, w tej Europie, także gnietli różni... Mongoły rozmaite... Chyba i Niemcy nie starsi od nas... No, ale to inna sprawa!

— Racja! — powiedział Tichon Iljicz. — Lepiej pogadajmy o interesach.

Kuźma postawił pustą szklankę do góry dnem na spodeczku, zapalił i rzekł:

— Do cerkwi nie chodzę...

Brat

Rosjanin, Naród

— Znaczy się, mołokanin⁵³ jesteś — spytał Tichon Iljicz i pomyślał: „Przepadłem! Trzeba będzie, widać, skończyć z Durnowką!”.

— Coś w tym rodzaju — uśmiechnął się Kuźma. — A ty do cerkwi chodzisz? Żeby nie strach i bieda, całkiem zapomniałbyś!

— No, nie ja pierwszy, nie ja ostatni — odrzekł Tichon Iljicz, nachmurzywszy się znowu. — Grzeszni żeśmy ludzie! Ale powiedziano przecież: „Wszystko będzie wybaczone za jedno westchnienie”.

Kuźma pokiwał głową.

— Mówisz z przyzwyczajenia! — powiedział surowo. — Ale pomyśl tylko: jakże to tak może być? Przez całe życie żyj jak świnia, a potem westchnij i wszystko jak ręką odjął!... Jest w tym jaki sens czy nie?

Rozmowa stawiała się ciężka. „I to racja!”, pomyślał Tichon Iljicz, patrząc na stół błyszczącymi oczami, ale, jak zwykle, chciało mu się wykręcić od rozmyślań i rozpraw o Bogu i życiu, dlatego powiedział, aby tylko coś powiedzieć:

— Rada by dusza do raju, ale grzechy nie puszczaają!

— O, o, o! — podchwycił Kuźma, stukając paznokciem po stole. — To jest właśnie to nasze najulubieńsze, nasza cecha zatracona: gadanie swoją drogą, a uczynki swoją! To właśnie rosyjska śpiewka, bracie: źle jest żyć po świńsku, a jednak żyję tak i będę żył po świńsku! Typ z ciebie, bracie, typek! No, a teraz gadaj o interesie...

Dzwon zamilkł i kanarek ucichł. Szynk zapełniał się ludźmi, rozmowy przy stolikach stawały się coraz głośniejsze. Służący otworzył okno. Wpadł przez nie hałas z rynku. Gdzieś w sklepiku zadziwiająco wyraźnie i dźwięcznie zakrzyczała przepiórka. I Kuźma przysłuchiwał jej się przez cały czas rozmowy o interesach, a niekiedy półgłosem pomrukiwał: „Widzicie ją!”. A gdy się dogadali, uderzył dłonią w stół i energicznie rzekł:

— Więc, znaczy: nie ma o czym mówić!

I sięgnąwszy ręką do bocznej kieszeni marynarki, wyjął cały stos papierów i papierków, wyszukał wśród nich książeczkę w szarej marmurkowej okładce i położył ją przed bratem.

— Masz — powiedział. — Ustępuję twojej prośbie, a własnej słabości. Książczyzna marna, wiersze nieobmyślane, dawne... Ale co zrobić, no, weź i schowaj.

I Tichona Iljicza już mocno czerwonego od wódki znowu wzruszyła świadomość, że jego brat jest autorem, że na tej szarej marmurkowej okładce wydrukowano: *Poezje K. I. Krasowa*. Obracał książkę w rękach i nieśmiało rzekł:

— Przeczytałbyś coś... Hm? Zrób to dla mnie, przeczytaj ze dwa-trzy wierszyki!

I spuściwszy głowę, denerwując się trochę, trzymając z daleka od siebie książkę i surowo patrząc w nią przez szkła, Kuźma zaczął czytać to, co zwykle czytają samouki: naśladownictwa Kolcowa⁵⁴, Nikitina⁵⁵, żale na los i biedę, uskarżania się przed płynącą chmurą-niepogodą... Pewnie i sam czuł, że wszystko to jest stare i nieszczerze. Ale za cudzą nieszczerą formą kryła się prawda, to, co człowiek sam kiedyś silnie i żywo przeżywał; na chudych wystających kościach policzkowych ukazały mu się różowe plamy, a głos chwilami drżał. Błyszczały też oczy Tichonowi Iljiczowi. Ważne było nie to, czy wiersze są dobre czy niedobre, ale to, że ułożył je rodzony brat, biedak, zwyczajny człowiek, od którego czuć było machorkę i stare buty...

— A u nas, Kuźmo Iljczu — rzekł, kiedy Kuźma zamilkł i, zdjawszy binokle, spuścił głowę — u nas wciąż ta sama piosenka... — I nieprzyjemnie, z goryczą wykrzywił wargę. — U nas tylko: „Po czemu szczecina?”.

Książka, Literat

Literat, Prawda

⁵³mołokanin — członek sekty religijnej. Mołokanie (ros. *молоканы*, tj. dosł.: „mlecznicy”) pili w czasie postu mleko, od czego utworzono ich nazwę. Grupa wyłoniła się z prawosławia w XVI w.; mołokanie odrzucali boskie pochodzenie władzy carskiej, kult ikon, dogmat o Trójcy Świętej, chrzest z wody, liturgię i duchowieństwo, byli chrześcijańskimi pacyfistami, odmawiali służby wojskowej, za co byli tępieni przez władze ros. Twórcą tego odłamu prawosławia był Matwiej Simeon Dalmatow, który nauczał w okolicach Tambowa; w 1833 r. doszło do podziału mołokanów na Stałych (Postojannych) i Skaczących (zw. też Nowymi Izraelitami), którym przewodniczył Maksim Rudomietkin, autor *Księgi Ducha i Życia*, więziony przez lata w Klasztorze Solowieckim, a następnie w klasztorze w Suzdału; Rudomietkin i za jego pośrednictwem mołokanie zyskali uznanie Lwa Tołstoja, który interesował się ich filozofią i doktryną religijną. [przypis edytorski]

⁵⁴Kolcow, Aleksiej Wasiljewicz (1809–1842) — rosyjski poeta i kupiec. [przypis edytorski]

⁵⁵Nikitin, Afanasij (zm. 1474) — kupiec rosyjski, jeden z pierwszych podróżników, którzy dotarli do Indii; opisał tę podróż w dziele pt. *Wędrowka za trzy morza*. [przypis edytorski]

Jednak, wprowadziwszy brata do Durnowki, zaczął się tą „piosenką” zajmować jeszcze więcej niż przedtem. Zanim oddał Kuźmie rządy we dworze, przyczepił się do Rod’ki z powodu nowych rzemieni pogryzionych przez psy i wymówił mu miejsce. Rod’ka w odpowiedzi uśmiechnął się zuchwale i poszedł do izby pakować swój dobytek. Młoda przyjęła wymówienie także jakoś spokojnie — rozszedłszy się z Tichonem Iljiczem, powróciła do swego stałego milczenia i nie patrzyła mu w oczy. Ale po półgodzinie, już zapakowany, Rod’ka przyszedł z nią razem prosić o przebaczenie. Młoda stała na progu błada, z oczami zapuchniętymi od płaczu i milczała; Rod’ka schylał głowę, miał w rękach czapkę i starał się także płakać, ale wykrzykiwał się tylko wstrętnie, a Tichon Iljicz siedział za stołem, marszczył brwi i kręcąc głową, stukał liczydłami. Wszyscy troje nie mogli na siebie wzajem podnieść oczu, zwłaszcza Młoda, czująca się bardziej winną od innych. I prośby były daremne: Tichon Iljicz zlitował się tylko o tyle, że nie odliczył za rzemienie.

Teraz stał się energiczny. Odczepiwszy się od Rod’ki i przekazując interesy bratu, czuł się rześki i zadowolony. „Na bracie, zdaje się, polegać nie będzie można: to człowiek pusty, no, ale tymczasem jakoś ujdzie!”. I powróciwszy do Worgołu, przez cały październik pracował bez wytchnienia. Nastasia Pietrowna ciągle kwękała: puchły jej i żółkły nogi, ręce, twarz. Tichon Iljicz myślał już niekiedy o jej śmierci, coraz pobłaźliwiej patrząc na tę słabość i na bezużyteczność żony w sklepie i w domu. I jakby w zgodzie z jego nastrojem przez cały październik była prześliczna pogoda. Ale nagle zmieniła się, przyszła burza i ulewę, a w Durnowce zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego.

Rod’ka pracował przez październik na linii kolejowej, a Młoda bez roboty siedziała w domu, słuchała wymówek matki i z rzadka zarabiała piętnaście czy dwadzieścia kopiejek w ogrodzie dworskim. A zachowywała się teraz dziwnie: w domu milczała i płakała, a w ogrodzie była hałaśliwie wesoła, śmiała się, śpiewała pieśni z Dońką Kozą, dziewczką głupią i ładną, podobną do Egipcjanki. Kozą żyła z ogrodnikiem z miasta, dzierżawiącym sad, a Młoda, nie wiadomo dlaczego zaprzyjaźniwszy się z nią, wyzywająco spoglądała na jego brata, beczelnego chłopaka, i spoglądając tak, dawała do zrozumienia w piosenkach, że schnie z tęsknoty za kimś. Nie wiadomo, czy co pomiędzy nimi było, ale skończyło się wszystko wielką biedą. Odjeżdżając na Matkę Boską Kazańską⁵⁶ do miasta, ogrodnicy urządzili w swym szałasie „wieczorek”; zaprosili Młodą i Kozę, przez całą noc grali na dwóch harmonijkach, śpiewali pieśni, częstowali przyjaciółki piernikami, poili je herbatą i wódką, a o świcie, kiedy zaprzęgli już konie do wozu, rzucili się nagle ze śmiechem na pijaną Młodą, powalili ją na ziemię, skrępowali jej ręce, podnieśli spódnice i zaczęli je u góry zawiązywać sznurem. Kozą rzuciła się do ucieczki, zapadła ze strachu w mokre chwasty i łopiany, a kiedy z nich wyjrzała (wóz z miejskimi ogrodnikami szparko wytoczył się już z sadu), zobaczyła, że Młoda, goła do pasa, wisi na drzewie. Dzień wstawał smutny i mglisty, po sadzie szemrał drobny deszczyk, Kozą płakała rzewnie i trzęsąc się całym ciałem, odwiązywała Młodą... Przysięgała na ojca i matkę, że raczej ją, Kozę, piorun zabije, niż dowiedzą się na wsi o zdarzeniu w ogrodzie... Ale zaledwie tydzień minął, a już zaczęły kursować po Durnowce pogłoski o hańbie Młodej.

Kobieta, Przemoc, Podstęp,
Hańba

Sprawdzenie ich było, oczywiście, niemożliwością: „Widzieć — nikt przecież nie widział, no, a cóż dla Kozy znaczy żelgać!”. Zresztą i Młoda, która przez ten tydzień zestarzała się o lat pięć, odpowiadała na nie tak ordynarnymi wyzwiskami, że nawet matka bała się jej w takich chwilach. Jednak gadanie, wywołane pogłoskami, nie ustawało i wszyscy z wielką niecierpliwością oczekiwali powrotu Rod’ki i jego rozprawy z żoną. Denerwując się (znów wytrącony z równowagi!), czekał tej rozprawy i Tichon Iljicz, który od swoich robotników dowiedział się o historii w ogrodzie; przecież mogło się to skończyć zabójstwem! Ale skończyło się tak, że nie wiadomo, co zrobiłoby większe wrażenie na Durnowce — zabójstwo czy takie zakończenie. W noc na świętego Michała⁵⁷ Rod’ka, przyszedłszy do domu, aby „przebrać koszulę”, nie ruszył palcem Młodej i umarł na „kolki”. W Worgole dowiedziano się o tym późnym wieczorem, ale Tichon Iljicz natychmiast kazał zaprząć konia i pomimo ciemności i deszczu pognął do brata. Zgorączkowany, wy-

⁵⁶*Matka Boska Kazańska* — jedna z najbardziej czczonych ikon w Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, której powstanie i kult sięga XVI wieku. [przypis edytorski]

⁵⁷*Michał a. Michał Archaniół* — w *Biblii* jeden z głównych archaniółów, obrońca ludzkości i Kościoła przed siłami zła, symbol sprawiedliwości Bożej; święty Kościoła katolickiego i prawosławnego, jego święto przypada 6 września i 8 listopada. [przypis edytorski]

piwszy przy herbachie butelkę nalewki, z rozbieranymi oczami wyznał w namiętnych słowach:

— Mój grzech, bracie, mój grzech!

Kuźma, wysłuchawszy go, długo milczał, długo chodził po pokoju, przebierając palcami, wyłamując je i trzaskając stawami, aż wreszcie rzekł:

— No, i pomyśl: czy jest ktoś bardziej okrutny od naszego narodu? W mieście za złodziejaszkiem, który złapie ze straganu placek za grosz, pędzi cały rynek, a kiedy go złapią, natkają mu mydła w gębę. Do pożaru, do bójki biegnie całe miasto, a jak żałują, że wszystko skończyło się tak prędko! Nie kręć głową, nie kręć, żałują! A jak się cieszą, kiedy kto żonę prawie na śmierć zatłucze, chłopaka spierze na kwaśne jabłko albo pastwi się nad nim? To wywołuje u nas największą wesołość.

— Niby... O czym ty gadasz? — zapytał Tichon Iljicz.

— O świecie! — sarkastycznie i gniewnie odezwał się Kuźma i ciągnął dalej: — Ot tutaj, w Durnowce, pęta się głupia Tekla. A dzieciaki ostatnie groszaki przynoszą, sadzają dziewczuchę na wygonie i dalej ją łupić prztyczkami po ostrzyżonej głowie: dziesięć prztyczków za grosz! I wszystko to ze złośliwości! Tak, ze złośliwości. A jakiej głupiej! Niech to wszyscy diabli! No, i to samo z twoją Młodą...

— Zauważ — gwałtownie przerwał Tichon Iljicz — drani i głupców dość jest wszędzie.

— Tak. A ty sam nie sprowadzałeś sobie tego... Jak mu tam?

— Motię-Kaczę-Główkę, myślisz? — spytał Tichon Iljicz.

— O właśnie, właśnie... Nie sprowadzałeś go do siebie, żeby się z niego wyśmiewać?

I Tichon Iljicz uśmiechnął się. Sprowadzał. Razu pewnego przysłano mu go nawet koleją w becce po cukrze. Do miasta — tuż, władza — sami znajomi, no, i przysłali! A na becce napisali: „Ostrożnie! Patentowany osioł!”.

— I dla zabawy uczą takich głupców samogwałtu! — gorzko ciągnął Kuźma. — Nieszczęśliwym dziewczętom smarują wrota dziegiem! Żebraków szczują psami! Dla fiłów strącają kamieniami gołębie z dachów! Ale te same gołębie jeść to, widzicie, grzech wielki! Sam Duch Święty przecież przyjmuje postać gołębia!

Rosjanin, Obyczaje

Okrucieństwo

Ptak, Obyczaje

Samowar dawno już wystygł, świeczka stopiła się, w pokoju mętnie siniał dym, miednica pełna była śmierzdzących rozmokłych ogarków. Wentylator, blaszana rura w górnej części okna, stał otworem i od czasu do czasu coś w nim zaczynało pisać, tłuc się i tęsknie jęczeć. „Jak w zarządzie gminy⁵⁸”, pomyślał Tichon Iljicz. Ale nadymione było tak, że nie pomogłoby nawet dziesięć wentylatorów. Po dachu bębnił deszcz, a Kuźma chodził jak wahadło tam i z powrotem i mówił:

— Ta-a-k, nie ma co mówić, dobrzy my jesteśmy! Niesłuchanie dobrzy! Kiedy człowiek czyta historię, włosy mu dęba stają! Brat na brata, swat na swata, syn na ojca, wiarołomstwo i morderstwo, morderstwo i wiarołomstwo... A byliny⁵⁹! To także wielka przyjemność: „rozpruł mu pierś białą...”, „wypuścił trzewia na ziemię”... Nawet Ilja⁶⁰, i ten swojej własnej rodzonej córce „stanął na lewej nodze i wykręcił prawą”... A pieśni? Wciąż jedno i to samo: macocha „zła i chciwa”, teść „okrutny i kłótniwy”, „siedzi na przymurku niczym pies na sznurku”, a teściowa znowu „okrutna”, „siedzi na piecu i fuka niczym na łańcuchu suka”, szwagierki zawsze „suki i plociuchy”, szwagrowie „zli kpiarze”, mąż „albo dureń, albo pijak”, „teść-ojczulek” radzi mu „żonę mocniej bić, choćby skóra miała gnić”, a synowa temuż ojczulkowi „podłogę myła, do barszczu dołała; z progu zeszkrobała, pierogi wypiekała”, do małżonka zaś tak przemawiała: „Wstawaj, uprzykrzony, obudź się, masz tu pomyje, umyj się; masz tu onuce, wytrzyj się; masz tu kawałek sznura, powieś

Rosjanin, Rodzina

⁵⁸ *gmina* — występujące w oryginale słowo „wołostnoj” (ros. волостной) to termin historyczny w Rosji, przymiotnik odnoszący się do wołosty (najniższej jednostki administracyjnej), oznaczający wszystko, co związane z samorządem chłopskim w okresie przedrewolucyjnym, w tym zgromadzenie wołostowskie (zebranie), radę wołostowską (organ zarządzający), starostę wołostowskiego (wybieralny urzędnik) i sąd wołostowski; instytucje te zajmowały się lokalnymi sprawami gospodarczymi i administracyjnymi chłopów. [przypis edytorski]

⁵⁹ *bylina* (z ros.) — tu: podanie. [przypis tłumacza]

⁶⁰ *Ilja* a. *Eliasz Klimowicz* (1864–1939) — przez zwolenników nazywany: prorok Ilja, przywódca sekty religijnej. [przypis edytorski]

się...”. A przypowieści nasze, Tichonie Iljczu! Czy można wymyślić coś bardziej niechlujnego i ordynarnego? A przysłowia! „Za jednego obitego dwóch nieobitych dają...”. „Głupota⁶¹ gorsza od złodziejstwa...”.

— Znaczy się, według ciebie lepiej żyć jak ostatni głupiec? — zapytał szyderczo Tichon Iljcz.

A Kuźma radośnie podchwycił jego słowa:

— O, właśnie, właśnie! Na całym świecie nie ma ludzi bardziej gołych niż my, ale za to nie ma też i bardziej zajadłych na tę goliznę. Czym by tu najboleśniej dociąć? Bieda! I mówi się: „Ty czorcie, żreć nie masz co!...”. O, masz przykład: Denis... No, ten... Syn Szarego... Szewc... W tych dniach mówi do mnie...

— Czekaj — przerwał Tichon Iljcz — a jak się ma Szary?

— Denis mówi, że z głodu zdycha.

— To ścierwo chłop! — z przekonaniem rzekł Tichon Iljcz. — Ty mi o nim piosenek nie śpiewaj.

— Ja też nie śpiewam — z gniewem odparł Kuźma. — A należałoby. Przecież on także jest Krasow... Ale to już co innego... Posłuchaj lepiej o Denisie. Ot, powiada mi: „Zdarzało się, że podczas głodu, my, podmajstrzy, idziemy sobie pod cmentarz w Czarnej Słobodzie, bo tam tych dziwek masa! A głodne, ścierwa, wygłodzone! Dać takiej pół «chunta»⁶² chleba za całą robotę, a ona od razu pod tobą wszystko zeżre... Toż to było śmiechu!...”. Zauważ — ostro krzyknął Kuźma, przerywając opowieść — „Toż to było śmiechu!...”.

— Ale zaczekajże, na miłość boską! — znowu wtrącił Tichon Iljcz — dajże mi powiedzieć choć jedno słowo o interesie!

Kuźma zamilkł.

— No, mów — powiedział. — Tylko o czymże tu mówić? Co masz robić? Nic nie robić! Dać im pieniędzy, to wszystko! Pomyśl tylko, nie mają czym palić, nie mają co jeść, na pochówek też nie mają! Znaczy się, najświętszy obowiązek: dać pieniędzy! No, i jeszcze coś niecoś tam dodać: kartofli, jeden czy dwa wózki słomy... A Młodą zgodzić do mnie. Na kucharkę...

I Tichonowi Iljczowi od razu jak gdyby kamień spadł z serca. Pośpiesznie wydobyl portmonetkę, wyjął z niej dziesięciorublowy papierek i z radością zgodził się też na wszystko pozostałe... Lecz nagle z wyrazem cierpienia śpiesznie zapytał:

— A czy ona go aby nie otruła?

W odpowiedzi Kuźma tylko wzruszył ramionami.

Otruła czy nie otruła, ale strach brał na samą myśl o tym. Tichon Iljcz pojechał do domu o świcie, w chłodny mglisty ranek, kiedy w powietrzu unosił się jeszcze zapach mokrych gumien⁶³ i dymu, kiedy w ukrytej we mgle wiosce sennie piał koguty, psy drzemały obok ganku, a stara żółtawa indyczka spała jeszcze, wgramoliwszy się na półnagi sęk jabłoni, rosnącej obok domu i ubarwionej martwymi jesiennymi liśćmi. W polu, zza gęstej mgły, gnanej wiatrem, nie można było nic dojrzeć na odległość dwóch kroków. Tichonowi Iljczowi nie chciało się spać, ale czuł się wymęczony i, jak zwykle, ostro poganiał konia — dużą, gniadą szkapę z podwiązanym ogonem, która dzięki zwilgotniałej sierści wydawała się chudsza, wytworniejsza i ciemniejsza. Tichon Iljcz odwrócił się od wiatru i podniósł z prawej strony zimny i wilgotny kołnierz kurtki, srebrzącej się drobnymi paciorkami deszczu. Poprzez zwisające u rzęs zimne kropelki patrzył, jak klejka⁶⁴, czarna ziemia coraz gęściej oblepia obracające się koło; patrzył na tryskającą przed nim nieprzerwanie fontannę podrzucanych pecyn błota, które oblepiły już jego buty i kolana; z ukosa patrzył na pracujące udo konia, jego stulone we mgle uszy... A gdy wreszcie wpadł przed dom z twarzą pstrokatą od pokrywającego ją błota, pierwszym, co mu się nawinęło przed oczy, był uwiązany u słupa koń Jakowa. Zasupławszy pośpiesznie lejce, Tichon Iljcz zeskoczył z bryczki, podbiegł do otwartych drzwi sklepiu — i zatrzymał się przerażony.

Prostytutka, Pozycja społeczna, Kobieta, Bieda, Głód

Wież, Świt, Błoto

⁶¹ *Głupota gorsza od złodziejstwa* — w ros. oryg. tekście: „Prostota gorsza (...)”. [przypis edytorski]

⁶² *chunt* — funt, ok. pół kilo. [przypis edytorski]

⁶³ *gunno* — część gospodarstwa chłopskiego, najczęściej klepisko w stodole. [przypis edytorski]

⁶⁴ *klejki* (daw.) — lepki, klejący się. [przypis edytorski]

— Ga-moni! — mówiła za ladą Nastasja Pietrowna, naśladowując najwidoczniej jego, Tichona Iljicza, lecz złamanym pieszczotliwym głosem, pochylając się coraz niżej nad szufladą z pieniędzmi i grzebiąc pomiędzy miedziakami, ale nie mogąc w ciemności znaleźć odpowiedniej monety, aby wydać resztę. — Gamoniu! A gdzie ty dziś taniej dostaniesz?

I nie znalazłszy drobnych, wyprostowała się, popatrzyła na stojącego przed nią Jakowa, bosego, ale w czapce i kapocie, spojrzała na jego lekko uniesioną twarz oraz krzywą, nieokreślonej barwy brodę i dodała:

— A czy ona go aby nie otruła?

Ale Jakow pośpiesznie wymamrotał:

— Nie nasza rzecz, Pietrowno... Cholera ją tam wi... My musimy stać osobno... Na stronie, na ten przykład...

I Tichonowi Iljiczowi cały dzień drżały ręce na wspomnienie tego mamrotania. Wszyscy myślą, że otruła!

Na szczęście tajemnica pozostała tajemnicą: Rod'ka przystąpił przed śmiercią do komunii, Młoda tak szczerze zawodziła nad trumną, że stała się wprost nieprzyzwoita — bo przecież zawodzenie nie powinno być objawem uczucia, lecz tylko wypełnieniem obřadku! — i Tichon Iljicz powoli uspokoił się. Ale jeszcze przez długi czas chodził groźny jak chmura.

Kłopotów było po uszy, jak zwykle, a pomocników — brak. Od Nastasji Pietrowny nie należało oczekiwać pomocy. Tichon Iljicz zatrudniał parobków tak zwanych „sezonowych” — tylko do jesieni, do Wniebowzięcia⁶⁵, a obecnie już się wszyscy rozeszli. Pozostali tylko „całoroczn”: kucharka, staruszek-stróż, przezywany „Żmychem”⁶⁶ i wyrostek lat siedemnastu, Oska, leniwy i zły, „koń Pana Jezusa”. A samo bydło ile wymagało zachodu! Owce zarzynano i solono, ale dwadzieścia sztuk zostawiono jednak przez zimę. W chlewie siedziało sześć czarnych wieprzów, stale jakby posępnych i z czegoś niezadowolonych. W oborze stały trzy krowy, byczek i czerwona jałówka. Na podwórzu — jedenaście koni, a u żłobu — siwy ogier, zły, ciężki, z dużą grzywą i szeroką piersią, cham, ale wart ze czterysta rubli (ojciec miał świadectwo pochodzenia i kosztował półtora tysiąca). A wszystko to wymagało dozoru, ciągłego dozoru. W wolnych zaś chwilach człowieka żarła nuda i tęsknota....

Nastasja Pietrowna już samym swoim widokiem drażniła Tichona Iljicza, który ciągle ją namawiał, aby pojechała do miasta odwiedzić znajomych. I wreszcie baba zebrała się i wyjechała. Ale gdy odjechała, w domu zrobiło się jakby jeszcze nudniej. Odprowadziwszy ją, Tichon Iljicz powlókł się bez celu w pole.

Szosa przechodził ze strzelbą na ramieniu naczelnik oddziału pocztowego z Ulianowki, Sacharow, znany ze swej namiętności do sprowadzania bezpłatnych katalogów brońi, nasion i instrumentów muzycznych oraz z okrucieństwa wobec chłopów. Mówiono o nim: „List mu podajesz, a ręce i nogi dygoczą!”. Tichon Iljicz wyszedł mu naprzeciw. Wzniósłszy brwi, popatrzył na pocztowca i pomyślał: „Głupi stary. Ot, włóczy się to po błocie...”.

Ale zawołał przyjaźnie:

— Na polowanie, Antonie Markiczu?

Pocztowiec przystanął. Tichon Iljicz podszedł i przywitał się.

— Na polowanie czy jak? — ironicznie zapytał.

— Ech, jakie tam polowanie! — chmurnie odrzekł pocztowiec; olbrzymi był, krępy, z gęstymi, siwymi włosami sterczącymi z uszu i z nozdrzy, z szerokimi łukami brwi i głęboko wpadniętymi oczami: prawdziwy goryl. — Tak sobie, przechadzam się ze względu na hemoroidy — powiedział, ze szczególną starannością wymawiając ostatnie słowo.

— A zechciej zauważyć — z niespodziewanym uniesieniem odezwał się Tichon Iljicz, wyciągając rękę z rozstawionymi palcami — zechciej zauważyć: opustoszały zupełnie nasze rodzinne strony! Nic nie zostało, ani ptaków, ani zwierzyny!

— Lasy wszędzie wyrąbano! — odrzekł pocztowiec.

— Jeszcze jak! Jak wyrąbano! Na jeża wystrzygli! — podchwycił Tichon i nieoczekiwanie dodał: — Linieje! Wszystko linieje!

⁶⁵Wniebowzięcie a. Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny — jedno z najważniejszych świąt maryjnych w Kościele katolickim i prawosławnym, obchodzone 15 sierpnia. [przypis edytorski]

⁶⁶żmych — wytłoczyny, makuchy. [przypis tłumacza]

Wdowa, Łzy, Obyczaje

Wieś, Sługa, Zwierzęta,
Nuda, Tęsknota

Właściwie sam nie wiedział, dlaczego wyrwało mu się to słowo, ale czuł, że wypowiedział je nie na próżno. „Wszystko linieje”, myślał, „ot, jak bydło po długiej i ciężkiej zimie!”. I, pożegnawszy się z pocztowcem, długo stał na szosie, z niezadowoleniem rozglądając się wokoło. Znowu sięgnął deszcz i wiał nieprzyjemny, mokry wiatr. Nad fałistymi polami, nad oziminami, zoraną rolą, ścierniskami i brunatnymi zagajnikami zapadał zmierzch. Ponure niebo coraz niżej nawisało nad ziemią. Zalane deszczem drogi błyszcząły jak ołowiane. Na stacji czekano na pocztowy pociąg z Moskwy, przychodzący codziennie z półtoragodzinnym opóźnieniem. Ponieważ budynki zagradzały stację, w zajeździe Tichona Iljicza dowiadywano się o przybyciu i odjeździe pociągu tylko z brzęczenia dzwonków, z gwizdków, z huku i z zapachu węgla kamiennego i samowarów.

Teraz również pachniało samowarem i zapach ten wywoływał ssącą tęsknotę za przytulnością, za ciepłym, czystym pokojem, za rodziną lub też za wyjazdem dokądkolwiek bądź... Lecz uczucie to zmieniło się nagle w zdziwienie: z nagiego ulianowskiego lasu wyszedł, zmierzając w kierunku szosy, człowiek w meloniku i — przy takiej pogodzie! — tylko w marynarce. Przyjrawszy się dokładniej, Tichon Iljicz poznał w nim Życharewa, pijaka, syna bogatego ziemianina. Serce nieprzyjemnie ścisnęło się w piersi Tichona Iljicza. „Ech, wszystko mi już jedno” — pomyślał z udręczeniem. — „Lepiej już z nim pogadać, a nawet dać mu w ostateczności pół rubla... Nie warto drażnić włóczęgi, złego człowieka...”.

Jednakże tym razem Życharew zbliżał się dość dumnie; wzdrygając się z zimna, szedł z podniesioną głową, w łobuzerskim meloniku, poruszając zaciśniętymi szczękami, żującymi ustnik dawno wypalonego i wygasłego papierosa. Twarz miał posiniąłą z zimna i opuchniętą z pijaństwa; oczy były zaczerwienione, wąsy — nastroszone. Raźnie brnął po błocie w rozdeptanych żółtych bucikach, sterczących spod krótkich, wygniecionych na kolanach spodni, w szczelnie zapiętej marynarczynie z podniesionym kołnierzem i z rękami wsuniętymi w kieszenie.

— Oho! — rzucił przez zęby, gryząc ogarek. — Kogo widzę? Sam Tichon Fomicz⁶⁷ ogląda swoje włosy!

I zaśmiał się ochryple.

— Dzień dobry, Lwie Lwowiczu — poważnie odezwał się Tichon Iljicz. — Czekam na pana pociąg?

— Tak, czekam i doczekać się nie mogę! — wzruszył ramionami Życharew. — Czekalem, czekałem i z nudów polazłem do leśnika. Pogadaliśmy sobie, zapaliliśmy... A czekać trzeba będzie pewnie jeszcze całą wieczność! No, spotkamy się na stacji! Pan przecież lubi, zdaje się, gołnąć sobie co nieco?

— Bóg łaskaw — odpowiedział Tichon Iljicz, nie zmieniając tonu. — Wypić, dlaczego nie wypić? Ale wszystko ma swój czas.

— Gadaj zdrów! — ochryple odrzekł Życharew. Lekko przeskoczył kałużę i spacerowym krokiem poszedł w kierunku stacji.

Wygłądał nędznie i Tichon Iljicz z obrzydzeniem patrzył na jego spodniki, wiszące jak worek spod krótkiej marynarczyny.

W nocy znowu lał deszcz, a ciemno było, że choć oko wykol. Tichon Iljicz źle spał i boleśnie zgrzytał zębami przez sen. Miał dreszcze — pewnie przeziął, stojąc wieczorem na szosie — kapota, którą się okrył, zsuwała się na podłogę, a wówczas śnił mu się sen, który go od dzieciństwa prześladował, kiedy mu ziębły plecy: zmierzch, jakieś wąskie zaułki, biegnący tłum, straż ogniowa, pędząca na ciężkich wozach, zaprzężonych w pociągowe kare konie... Przebudził się, zapalił zapalną, popatrzył na tykający zegarek — wskazywał trzecią — podniósł czujkę i zasypiając, przypomniał sobie Życharewa. A przez sen zaczęła go wtedy dręczyć nieodstępna myśl: okradną sklep, wyprowadzą konie...

Chwilami wydawało się Tichonowi Iljiczowi, że znajduje się w zajeździe w Dankowie⁶⁸, że nocny deszcz szumi po daszku nad bramą, a dzwonek nad nią dźwięczy, szar-

Sen

Noc, Deszcz

⁶⁷ *Tichon Fomicz* — prawdopodobnie zamierzona niegrzeczność polegająca na podaniu mylnego patronimiku (imienia ojcowskiego) Fomicz zamiast zapewne wszystkim dobrze znanego Iljicz. [przypis edytorski]

⁶⁸ *Dankow* — miasto w Rosji, centrum administracyjne rejonu dankowskiego w obwodzie lipieckim. Tworzy gminę o tej samej nazwie, która jako jedyna zamieszкана ma status osady miejskiej. [przypis edytorski]

pany co chwila: to przyjechali złodzieje... W nieprzebitych ciemnościach wyprowadzili jego ogiera, a jeżeli dowiedzą się, że on, Tichon Iljicz, jest tutaj, zabiją go z pewnością... Chwilami powracało poczucie rzeczywistości. Ale i rzeczywistość była zatrważająca. Stary stróż chodził pod oknami z kołatką⁶⁹, lecz wydawało się ciągle, że jest gdzieś daleko, daleko... To znów majaczyło się, że owczarek szarpie kogoś, że wybiega z głośnym ujadaniem w pole i nagle znowu zjawia się pod oknami, nie odchodzi i budzi uporczywym szczekaniem... Wówczas Tichon Iljicz miał chęć wyjść, popatrzeć, co się tam dzieje, czy wszystko w porządku. Lecz zaledwie postanawiał wstać, deszcz, pędzony przez wiatr z ciemnych bezkresnych pól, zaczynał natychmiast silniej i gęściej stukotać z ukosa po ciemnych okienkach i sen wydawał się wówczas droższy niż ojciec lub matka rodzona...

Wreszcie stuknęły drzwi, dał się odczuć powiew wilgotnego chłodu i stróż Żmych wciągnął z szelestem do przedpokoju wiązkę słomy. Tichon Iljicz otworzył oczy — była szósta, świt wstawał mętny, wodnisty, okienka były zapocone.

— Przepał no, przepał w piecu, bracie — powiedział Tichon Iljicz głosem ochrypłym ze snu. — A potem pójdziemy, bydelko nakarmimy i ruszaj sobie spać.

Stary, wychudzony przez noc i posiniały z zimna, wilgoci i zmęczenia, popatrzył na niego wpadniętymi, martwymi oczami. W mokrej czapce, w mokrym krótkim kożuszku, w rozdeptanych łapciach, nasiąkłych wodą i błotem, burknął coś głucho, z trudem klęknął przed piecem, napchał go zimną pachnącą słomą i zapalił siarniczkę⁷⁰.

— Cóż to, krowa ci język odgryzła? — ochryple krzyknął Tichon Iljicz, złączając z pościeli i podnosząc z podłogi kapotę. — Czego mruczysz pod nosem?

— Przez całą noc człowiek łązi, a teraz „bydelko karmić” — wymamrotał stary jakby do siebie, nie podnosząc głowy.

Tichon Iljicz spojrział na niego z ukosa.

— Widziałem, jakieś „łaził”!

Czuł się rozbity, a jednak włożył kaftan i opanowując drżenie żołądka, wyszedł na zadeptany przez psy ganek, na lodowatą świeżość bladego, słotnego poranka. Wszędzie stały ołowiane kałuże, wszystkie ściany pociemniały od deszczu... „Ot, robotnicy!”, pomyślał gniewnie.

Mżyło z lekka. „Ale na pewno zacznie łać w południe”, pomyślał z niezadowoleniem Tichon Iljicz. Zdziwiony, spojrział na kudłatego Bujana, który rzucił się ku niemu spod stodoły; łapy miał obłocone, ale był żwawy, oczy mu błyszczały, jęzor był świeży i czerwony jak ogień, a od gorącego zdrowego oddechu wiał zapach psa... I to po całej nocy biegania i ujadania!

Wziąwszy Bujana za obrozę, Tichon Iljicz, człapiąc po błocie, obszedł i sprawdził wszystkie zamki. Po czym uwiązał go na łańcuchu pod stodołą, wrócił do sieni i zajrzał do obszernej kuchni, do izby. Czuć w niej było wstrętne ciepło; kucharka spała na gołej ławie pod obrazami świętych, zakrywając twarz fartuchem, wystawiwszy zadek i podgiąwszy pod siebie nogi w starych, wielkich wołkowych butach o podeszwach grubo oblepionych ziemią z podłogi. Ośka leżała na narach⁷¹ twarzą w dół, w półkożuszku, w łapciach, wetknąwszy głowę w brudną, ciężką poduszkę.

„Ot, pokumał się czort z dzieciakiem!”, pomyślał Tichon Iljicz z obrzydzeniem. „Widzisz ją: tłukła się całą noc, a rankiem na barłóg”.

I obejrawszy czarne ściany, małeńkie okienka, ceber z pomyjami i ogromny rozłożysty piec, krzyknął głośno i surowo:

— Hej tam, panowie szlachta, nie pora byłaby wstawać?

Kucharka, drapiąc się i ziewając, rozpałała ogień, zaczęła gotować wieprzom kartofle i nastawiła samowar, a Ośka, bez czapki, na wpół drzemiąc i potykając się, nosił paszę dla koni i krów. Tichon Iljicz sam otworzył skrzypiące drzwi zagrody i wszedł pierwszy w jej ciepłą i niechlujną przytulność, poprzykrywając daszkami i podzieloną przegródkami i ściankami. Gnój sięgał powyżej kostek. Nawóz, mocz i woda z deszczu zlały się w gęstą brązową ciecz. Konie, już ciemniejące zimową aksamitną sierścią, chodziły pod daszkiem przed stajnią. Owce zbiły się w kącie w brudnoszarą, falującą masę. Stary, bury

⁶⁹kołatka — tu: drewniane urządzenie służące strażnikom do stukania podczas patrolowania terenu. [przypis edytorski]

⁷⁰siarniczka (daw.) — zapalka. [przypis edytorski]

⁷¹nary (daw.) — pryzca, proste łózko. [przypis edytorski]

Śługa, Pan

Pies

Wieś, Brud, Zwierzęta

wałach samotnie drzemał nad pustym, obmazanym żłobem. Nieprzyjazne, słotne niebo nad kwadratem podwórza mżyło deszczem. Walach stał obojętnie; wieprze uporczywie i jakby boleśnie stękały.

„Och, nuda!”, pomyślał Tichon Iljicz i jednocześnie groźnie warknął na starego, taszczącego więź słomy:

— Czego zwalasz w błoto, stara wywłoko!

Starzec rzucił wiązkę na ziemię, spojrzał na gospodarza i nagle rzekł spokojnie:

— Sam wywłoka!

Tichon Iljicz śpiesznie obejrzał się, czy wyszedł już parobek, a przekonawszy się, że wyszedł, szybko z pozornym spokojem zbliżył się do starego i tak mu dał w zęby, że tamtemu aż głowę odrzuciło; schwycił go za kołnierz i ze wszystkich sił cisnął nim w stronę bramy.

— Precz! — wrzasnął zadyszany i błady jak kreda. — Żeby mi tu śladu po tobie nie zostało, draniu jeden!

Stary, wyleciawszy za wrota, po pięciu minutach szedł już z workiem na plecach i z kijem w ręku szosą do Ulianowki, do domu. A Tichon Iljicz trzęsącymi się rękami napił ogiera, sam mu nasypał świeżego owsa (wczorajszy cały był zmiętoszony i zaśliniony) i szerokimi krokami, grzęznąc w gnojówce i nawozie, poszedł do izby.

— No, gotowe? — krzyknął, uchylwszy drzwi.

— Zdążysz jeszcze, zdążysz! — odszczeknęła kucharka.

Izbę przepełniała ciepła, mdła para, wałaca z kartofli w kotle. Kucharka z parobkiem zajadłe tłukła je na miazgę, przesypując mąką, i stuk tłuczków zagłuszył odpowiedź, której Tichon Iljicz nie dosłyszał. Trzasnąwszy drzwiami, poszedł na herbatę.

Sluga, Pan, Bunt, Pozycja społeczna, Wygnanie, Przemoc

W małym przedpokoju odsunął nogą brudną i ciężką derkę, leżącą na progu i skierował się w kąt, gdzie nad stołkiem z cynową miednicą przybity był miedziany rezerwuar, a na półce leżał kawałek obmokłego i zgniecionego kokosowego mydła. Hałasując przy umywalni, zezował, ruszał brwiami, rozdymał nozdrza, nie mógł opanować rozbiegającego się wzroku i mówił do siebie, wymawiając zgłoski ze szczególną wyrazistością.

— Hm! No, co? Świetni robotnicy?! Żadnego porządku nie ma dziś u nich! Powiesz słówko, a on ci na to zaraz dziesięć! Powiesz mu dziesięć, a on tobie od razu sto! Ale nie! To się wam tylko zdaje... Teraz nie lato, dosyć was łązi dookoła! Do zimy idzie, bracie; jak ci się żreć zachce, przyjdiesz, sukinsynie, przy-y-yjdiesz, pokło-o-o-onisz się!

Ręcznik, służący zarówno gospodarzom jak lokatorom, wisiał od świętego Michała obok umywalni. Brudny był tak ohydnie, że Tichon Iljicz, spojrzawszy nań, aż zęby zacisnął.

— Och! — powiedział, zamykając oczy i trzęsąc głową. — Och, Matko Boża, Królowo Nieba!

I cisnąwszy ręcznik na ziemię, otarł się haftowanym brzegiem koszuli, wypuszczonym spod kamizelki.

Z przedpokoju było dwoje drzwi. Jedne, na lewo, prowadziły do pokoju dla przyjezdnych: długiej, półciemnej izby, z oknami na zabudowania gospodarskie; stały w niej dwie duże kanapy twarde jak kamień, obite czarną ceratą, pełne żywych i rozduszonych, zaschłych pluskiew. Pomiędzy oknami wisiał portret jakiegoś generała z zawadiackimi, puszystymi bakenbardami⁷²; portret ten otaczały niewielkie podobizny bohaterów z rosyjsko-tureckiej wojny⁷³, a w dole był napis: „Długo będą dzieci nasze i bracia Słowianie pamiętali te sławne czyny, jak ojciec nasz, śmiały wojak, rozbił Sulejmana-Paszę⁷⁴, zwyciężył niewiernych wrogów i przeszedł ze swymi żołnierzami przez takie góry, gdzie tylko mgły latają i króle-orły pierzaste”. Drugie drzwi prowadziły do pokoju gospodarzy. Tutaj na prawo przy drzwiach świeciły się szklane kredensy, a na lewo białe piec z przypiekiem; piec kiedyś pękł i pęknięcie to na białym tle całości zasmarowano gliną, z czego utworzył się rysunek jakby chudego, koślawego człowieka, który już dawno obrzydl Tichonowi

Wieś, Dom, Brud

Portret, Żołnierz

⁷²bakenbardy (daw.) — bokobrody. [przypis edytorski]

⁷³rosyjsko-turecka wojna — wojna pomiędzy Imperium Rosyjskim a Imperium Osmańskim toczona w latach 1877–1878. [przypis edytorski]

⁷⁴Sulejman-Pasza (1840–1892) — turecki generał. [przypis edytorski]

Iljiczowi. Za piecem wznosiła się góra poduszek na podwójnym łóżku, a nad nim przybito dywan włóczkowy w kolorze mętnozielonym i ceglastym z wizerunkiem wąsatego tygrysa, któremu uszy sterczały jakoś po kociemu. Naprzeciwko drzwi pod ścianą była komoda przykryta szydełkową serwetą, na niej — ślubna szkatułka Nastasji Pietrowny, a w szkatulce leżały umowy z robotnikami, słoiczki z dawno zepsutymi lekarstwami, zapalki...

— Do sklepu! — krzyknęła kucharka przez na wpół otwarte drzwi.

— Zdażę! Jeszcze zdażę do tego szczęścia! — gniewnie odpowiedział Tichon Iljicz i pośpiesznie wyszedł.

Powietrze zasnęła wodnista mgłą; znów zdawać by się mogło, że to zmierzch. Mżył deszcz, ale wiatr zmienił kierunek — dął z północy i trochę się ochłodziło. Odjeżdżający ze stacji pociąg towarowy zagwizdał jakoś weselej i donośniej niż w ciągu wszystkich tych ostatnich dni.

— Jak się masz, Iljicz — rzekł chłop o zajęczej wardze, chwytając mokrą mandżurską⁷⁵ czapą i zatrzymując przed gankiem zmokłego dereszowatego konia.

— Jak się masz — rzucił Iljicz, spojrzawszy zezem na mocny biały ząb, błyszczący zza rozdwojonej wargi chłopca. — Czego chcesz? — Pośpiesznie odważył mu soli i nafty i szybko wrócił do izby. — Przeżegnać się nie dadzą, ścierwa! — mrucał, idąc.

Samowar, stojący na stole przy ścianie między oknami, syczał i bulgotał; wiszące nad nim lustro pokryte było nalotem białej pary. Spotniały też okna i oleodruk⁷⁶ przybity pod lustrem: olbrzym w żółtym kaftanie i w czerwonych safianowych⁷⁷ butach, z rosyjską chorągwią w rękach, zza której widać było wieże i kopuły moskiewskiego Kremla⁷⁸. Obraz ten otaczały fotografie w ramach z muszelek. Na honorowym miejscu wisiał portret cerkiewnego dostojnika w szacie z mory⁷⁹, o rzadkiej bródce, z pulchnymi policzkami i maleńkimi, przenikliwymi oczkami. Spojrzawszy na niego, Tichon Iljicz z przejęciem zrobił znak krzyża, patrząc na ikonę w rogu pokoju, po czym zdjął z samowara zakopcony czajnik, nalał szklankę herbaty, mocno pachnącej rozparzoną miotłą, i usiadł.

„Przeżegnać się nie dadzą”, myślał, krzywiąc się żałośnie. „Zadręczyli, całkiem zadręczyli. Bodajby ich pokręciło!”

Zdawało mu się, że musi sobie coś przypomnieć, zastanowić się nad czymś lub po prostu położyć się i porządnie wyspać. Tak pragnął ciepła, spokoju, jasności i pewności w myślach! Tichon Iljicz wstał, zbliżył się do kredensu, w którym zabrzęczały naczynia i szkło, wziął z półki butelkę jarzębiaku i pękata czarkę z napisem: „Nawet słudze bożemu dobrze czyni...”

— A może nie trzeba...? — powiedział głośno.

Ale nie mógł się zdobyć na postanowienie. Przez głowę przebiegło mu mimo woli: „Urzemy — pijąc, umrzemy — nie pijąc”. Nalał więc wódki, wypił, raz jeszcze napełnił kieliszek, wypił i zagryzając grubym obwarzankiem, usiadł znów przy stole.

Czując w żołądku przyjemne ciepło, pił chciwie ze spodka gorącą herbatę poprzez kawałek cukru trzymany języku. Lepiej mu się zrobiło fizycznie, ale dusza dalej żyła swym własnym pochmurnym i smutnym życiem. Myśli szły za myślami, ale mało było w nich sensu. Popijając herbatę, Tichon Iljicz podejrzliwie i z roztargnieniem spojrzął z ukosa na ścianę, gdzie wisiał chłop w żółtym kaftanie, popatrzył na fotografie w ramach z muszelek i nawet na dostojnika w morowych szatach.

„Skąd nam, świniom, do religii!”, pomyślał i jakby usprawiedliwiając się przed kimś, dodał ordynarnie: „Na wsi, bracie, na wsi żyj, co dzień chłopski barszczyk żryj!”

Spoglądając na obrazek duchownego, czuł, że wszystko jest wątpliwe... Zdaje się, że nawet zwykła cześć dla tego duchownego wątpliwa jest i nieprzemyślana... Bo jeżeli tak dobrze rozważyć... I w tejże chwili śpiesznie przeniósł wzrok na moskiewski Kreml.

— Wstyd powiedzieć! — mrucał do siebie. — Jak żyję, nie byłem w Moskwie!

Alkohol, Pijaństwo

Przemijanie

⁷⁵mandżurski — związany z Mandżurią, krainą historyczną w półn.-wsch. części Chin. [przypis edytorski]

⁷⁶oleodruk — reprodukcja obrazu olejnego na płótnie lub papierze. [przypis edytorski]

⁷⁷safianowy — zrobiony z safianu, miękkiej skóry kozłowej lub baraniej. [przypis edytorski]

⁷⁸Kreml — tu: Kreml moskiewski, gród warowny na wzgórzu, na wschodnim brzegu rzeki Moskwy. [przypis edytorski]

⁷⁹mora — prążkowana tkanina jedwabna. [przypis edytorski]

Rzeczywiście, nie był. A dlaczego? To wieprze nie pozwalały, to handel nie puszczał, to zajazd, to szynk, to Durnowka... A znów teraz nie daje ogier, wieprzaki... Ale co tam — Moskwa! Przecież w ciągu dziesięciu lat wybierał się do brzoźowego lasku tuż za szosą! A i to daremnie! Wciąż miał nadzieję, że znajdzie wolny wieczór, weźmie ze sobą dywanik i samowar, żeby posiedzieć na trawie, w chłodku, w zieleni... I nie udało mu się... Dni przepływają niby woda między palcami i ani się obejrzał, jak nadeszła pięćdziesiątka, a teraz lada chwila przyjdzie koniec wszystkiego... Czyż to tak dawno temu biegał bez portek? Po prostu wczoraj!

Z muszelkowych ramek nieruchomo spoglądały twarze. Oto scena, której chyba nigdy nie było i być nie mogło: na ziemi, na tle dekoracji przedstawiającej łąkę gęstego żyta, leży on sam i młody kupiec Rostowcew; obydwa trzymają w rękach szklanki napelnione do połowy ciemnym piwem. Jakaż to mocna przyjaźń zawiązała się wówczas między Rostowcewem a Tichonem Iljiczem! Jak on pamięta ten pochmurny dzień w ostatki, kiedy się fotografowali! Ale w jakim to było roku? Gdzie znikł ów Rostowcew? Może umarł w Woroneżu⁸⁰ — i teraz nie ma nawet pewności, czy w ogóle żył taki na świecie... A na tamtej fotografii stoją nieruchomo wyprostowani w szeregu trzej mieszczańscy, gładko uczesani na przedział pośrodku głowy, w haftowanych koszulach i w długich surdutach: Buczniew, Wystawkin i Bogomołow. Ten środkowy, Wystawkin, trzyma przed sobą chleb i sól na drewnianym talerzu, przykrytym ręcznikiem z wyszytymi kogutami, a Buczniew i Bogomołow niosą po ikonie. Fotografowali się w wietrzny dzień pełen kurzu, gdy poświęcano elewator⁸¹, gdy przyjechał arcybiskup i gubernator i gdy Tichon Iljicz tak był dumny z tego, że znalazł się w gronie osób przyjmujących władzę. Ale co zostało w pamięci z owego dnia? Tylko to, że przy elewatorze, przy nowych i jeszcze zardzewiałych szynach czekali z pięć godzin na przybycie gubernatora... Że biały kurz leciał drogą jak chmura, że zakurzone były i wagony, i mieszkańcy wsi... Że gubernator, podobny do czystego wysokiego trupa, ubrany w białe spodnie ze złotymi lampasami, w mundurze haftowanym złotem i w trójkątnym kapeluszu, szedł w stronę deputacji niezwykle powolnym krokiem... Że zrobiło się straszno, kiedy, przyjmując chleb i sól, przemówił... Że wszystkich zastanowiły jego niesłuchanie chude i białe ręce, cieniutka i błyszcząca na nich, jakby zdjęta ze żmii, skóra, i równie błyszczące, wyczyszczone pierścienie na suchych, cienkich palcach z przezroczystymi, długimi paznokciami... Ów gubernator już nie żyje, nie żyje też Wystawkin... A za kilka lat tak samo będą mówili o Tichonie Iljiczu: „Nieboszczyk Tichon Iljicz...”.

W izbie zrobiło się milej i cieplej od rozgrzanego pieca, lusterko pojaśniało, ale za oknami nie było nic widać i szyby białą matową parą, na dworze robiło się chłodniej. Coraz donośniej słychać było ustawiczny pomruk głodnych wieprzy i nagle stękanie to przeszło w zgodny i potężny ryk — widocznie zwierzęta posłyszały głosy kucharki i Oski, dźwigających ciężki ceber z żarciem. Nie kończąc myśli o śmierci, Tichon Iljicz cisnął niedopałek papierosa do miednicy, narzucił na siebie kaftan i pośpieszył do chlewu. Stąpając głębokimi, szerokimi krokami przez chlupiący gnój, własnoręcznie otworzył zagrodę i długo nie spuszczał chciwych a tęsknych oczu z wieprzów, które rzuciły się do koryta, dokąd wywalono im żarcie buchające parą.

Myśl o śmierci ustępowała innej: nieboszczyk nieboszczykiem, ale Tichon Iljicz mógłby dziś służyć jako przykład. Kim był? Sierotą, żebrakiem! Będąc dzieckiem, nie żał czasami przez dwa dni nawet kawałka chleba. A teraz?

— Biografię twojego życia trzeba by napisać — powiedział kiedyś drwiąco Kuźma.

A drwić, prawdę mówiąc, nie ma z czego. Miał, widać, głowę na karku, jeżeli z żebraka, z chłopaka ledwo umiejącego pisać nie stał się Tiszką, ale Tichonem Iljiczem.

Nagle kucharka, również wpatrzona w wieprzaki, cisnące się i wążące przednimi nóżkami do koryta, ocknęła się i powiedziała:

— Och, Boże! Żeby to się u nas jakie nieszczęście nie stało! Sen taki miałam, że przygnali niby do nas bydelko na podwórze... Owce... Krowy... Świnie. A wszystko czarne, wszystko czarne!

⁸⁰Woroneż — miasto obwodowe w Rosji, nad rzeką Woroneż, ok. 500 km na południe od Moskwy. [przypis edytorski]

⁸¹elewator — tu: spichlerz, silos zbożowy. [przypis edytorski]

Wspomnienia

Pozycja społeczna

Wieś, Zwierzęta

Znów coś zassało pod sercem. Tak, bo choćby to bydło: już tylko ono wystarcza, aby się powiesić. Ledwie miną trzy godziny, a znów bierz klucze, znów roznoś wszędzie żarcie! W ogólnej zagrodzie stoją trzy dojne krowy, w oddzielnych — czerwona jałówka i byk Bismark; trzeba im teraz dać siana. Konie i owce powinny jeść w południe, ale co dać ogierowi, tego już sam czort nie wymyśli! Taki rozpieszczony! Wysunął mordę przez kratę w górze drzwi i wacha, i grymasi; uniósł górną wargę, obnażył różowe dziąsła i białe zęby, wykrzywił nozdrza... Tichon Iljicz w porwywie niezrozumiałej dla siebie samego wściekłości syknął na niego nagle:

— Cacka się, przeklęty! Żeby cię piorun!...

Nogi miał zupełnie przemoczone, znowu przemarzał (padał śnieg z deszczem) i dlatego jeszcze raz napił się jarzębiaku; potem najadł się kartofli z olejem słonecznikowym i z solonymi ogórkami, barszczu na grzybach i pszennej kaszy... Twarz mu się zaczerwieniła i głowa ociężała.

„Osiemdziesiąt sześć kaczki” przeczytał na ramie okna, gdzie Nastasja Pietrowna zapisywała ołówkiem swoje gospodarskie sprawy, i uśmiechnął się blado. Kuźma dobrze mówi, że swojego własnego języka nie znamy! „Osiemdziesiąt sześć kaczki” — po jakimu to, pytam? I przypomniał sobie raptem ze złym zadowoleniem, jak Nastasja Pietrowna wystawiła kiedyś doniczki z kwiatami pod deszcz na ganek, a z podwórza wpadł nagle wieprz Fomka i zaczął obgryzać fikus. Robotnicy do niego — a on szarpnął kwiatem, wyrwał go z korzeniem i tyle go widzieli!... Boże wielki, jakiego Nastasja Pietrowna narobiła gwałtu!

— Pikus zeżarł! Pikus zeżarł!

— Masz teraz twój „pikus”! — powiedział Tichon Iljicz, rozdymając nozdrza.

Od wypitej wódki, od jedzenia i bezładnych myśli zaciężała mu głowa. Nie rozbierając się, tylko ściągnąwszy jedną nogą o drugą zabłocone buty, położył się na łóżku. Ale nie dawała mu spokoju myśl, że lada chwila trzeba będzie wstać, koniom, krowom i owcom dać na wieczór owsianej słomy... Ogierowi także... Albo nie, dla niego lepiej przemieszać ją z sianem, połać i dobrze posolić... Tylko, że na pewno zaśpi, jeżeli się położy. Tichon wyciągnął rękę po budzik i nastawił go na odpowiednią godzinę. Budzik ożył i zaczął tykać, a w izbie, wraz z jego równym miarowym stukaniem, zrobiło się jakby spokojniej i weselej. Myśli jakoś się splątały...

Lecz zaledwie się splątały, rozbrzmiał raptownie donośny śpiew cerkiewny. Tichon Iljicz z przestachem otworzył oczy; z początku zrozumiał tylko tyle, że wyją przeciągle dwaj chłopci, a z przedpokoju ciągnie zimno i zapach mokrych butów. Potem zerwał się, usiadł i zobaczywszy, co to za ludzie, poczuł nagle, że serce się w nim zatłukło: jeden był ślepy, wielki, dziobaty, z małym nosem, długą górną wargą i dużą, okrągłą czaszką, a drugi — to sam Makar Iwanowicz!

Kiedyś był on po prostu Makarką i tak nazywali go wszyscy: „Makarka Pielgrzym”. Pewnego dnia wstąpił do szynku Tichona Iljicza; w łapciach i w zatłuszczonym habicie szedł właśnie gdzieś szosą i wstąpił. W rękach miał wysoki kij pomalowaną minią⁸², z krzyżem u góry, a z ostrzem u dołu, na plecach dźwigał tornister i żołnierską manierkę. Włosy miał długie, żółte, twarz szeroką, koloru szarego wapna, nozdrza — jak dwa otwory strzelby, nos — złamany, podobny do siodła, a oczy, jak to często bywa przy takich nosach — jasne i mocno błyszczące. Bezwstydny był, sprytny, chciwie palił jednego papierosa za drugim, dym wypuszczał przez nozdrza, mówił ordynarnie i oderwanymi słowami, a jego ton nie pozwalał na żadne sprzeciwy. Właśnie z powodu tego tonu bardzo się spodobał Tichonowi Iljiczowi — zaraz widać, że to „cwany sukinsyn”. I Tichon Iljicz zatrzymał go przy sobie jako wyrękę; zdjął z niego lachmany włóczęgi i chłopca zatrzymał. Ale okazało się, że Makarka był takim złodziejem, że trzeba go było okrutnie zbić i wypędzić. A po roku zasłynął w całym powiecie przepowiedniami i to tak złowieszczymi, że ludzie zaczęli się bać odwiedzin jego jak ognia. Przyjdzie, bywało, do kogokolwiek pod okno, przeciągle zaśpiewa *Wieczny odpoczynek*⁸³ albo poda trochę kadzidla czy garść piasku — i już dom ten nie uchroni się od śmierci!

⁸²minia — rodzaj tradycyjnej farby antykorozyjnej. [przypis edytorski]

⁸³Wieczny odpoczynek — chrześcijańska modlitwa za zmarłych. [przypis edytorski]

Teraz Makarka w swoim poprzednim odzieniu i z kijem w rękach stał na progu i śpiewał. Ślepiec podchwytywał melodię, a jego jakby mleczne źrenice uciekały gdzieś aż pod czoło. Po nieproporcjonalności, którą widać było w rysach, Tichon Iljicz od razu określił go jako zbiegłego katorżnika, zwierza strasznego i bezlitosnego. Ale jeszcze straszniejsze było to, co ci włóczędzy śpiewali. Ślepiec, posępnie ruszając podniesionymi brwiami, śmiało wyciągał obrzydliwym nosowym tenorem; Makarka huczał potężnym basem, a oczy miał błyszczące i nieruchome. Wychodziło z tego coś wrzaskliwego, ordynarnie harmonijnego, starocerkiewnego, władczego a groźnego:

— Rozplączę się matka-ziemia, rozsłocha się! — cienko wyciągał ślepiec.

— Rozplączę się, roz-szło-cha! — z przekonaniem i ostro wtórował mu Makarka.

— Przed Zbawicielem, przed obrazem... — wył ślepy.

— Może grzeszniki się upokorzą... — groził Makarka, rozdymając bezczelne nozdrza. I łącząc swój bas z tenorem niewidomego, wybijał dokładnie: — Nie unikną sądu Bożego! Nie unikną ognia wiecznego!

I nagle umilkł jednocześnie ze ślepcem, odchrząknął, a potem swym zwykłym bezczelnym głosem rozkazał:

— Pozwól, panie kupiec, ogrzać się.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, przestąpił próg, zbliżył się do łóżka i wsunął Tichonowi Iljiczowi do ręki jakiś obrazek. Był to zwyczajny wycinek z ilustrowanego pisma, ale Tichon Iljicz, spojrzawszy nań, uczuł nagle chłód w dołku. Pod obrazkiem, przedstawiającym zgięte przez burzę drzewa i biały zygzak przebiegający po chmurach, a pod nim padającego człowieka, był napis: „Żan-Pol Richter⁸⁴ zabity przez piorun”. Tichon Iljicz stropił się, ale w tej chwili znów się opanował. „Ach, niegodziwiec!”, pomyślał i z wolna podarł obrazek na drobne kawałeczki. Potem zlął z pościeli i wciągając buty, rzekł:

— Ty sobie strasz kogo innego, głupszego ode mnie. Ja, bratku, dobrze cię znam. Bierz, co masz dostać, i z Bogiem!

Wszedłszy na chwilę do sklepu, wyniósł Makarce, czekającemu razem z niewidomym przy ganku, dwa funty obwarzanków i dwa śledzie, a potem rzekł jeszcze surowiej:

— Z Bogiem!

— A tytoniku? — bezczelnie zapytał Makarka.

— Tytoniku i sam nie mam bez liku.

Makarka się uśmiechnął.

— Tak! — powiedział. — Znaczy tytonik masz, papierek dasz, zapalimy.

— Wynos się! Całuj psa w nos! — gniewnie odrzekł Tichon Iljicz. — Mnie, bracie, nie przegadasz! — I pomilczawszy, dodał: — Powiesiłbym ciebie za te twoje sprawy, Makarka!

Makarka spojrzał na niewidomego, stojącego prosto i nieruchomo z wysoko podniesionymi brwiami, i zapytał:

— A ty jak myślisz, człowieku boży? Powiesić czy rozstrzelać?

— Rozstrzelać lepiej — odparł ślepiec poważnie. — Przynajmniej od razu na tamten świat!

Ciemniało już. Zwały nieprzeniknionych chmur siniały, chłodziły i wiało od nich zimą. Błoto gęstniało. Pozbywszy się Makarki, Tichon Iljicz potupał na ganku zziębłymi nogami i wrócił do izby, gdzie, nie rozbierając się, siadł na krześle przy oknie, zapalił papierosa i znów się zamyślił. Przypomniało mu się lato, bunt, Młoda, brat, żona... Przypomniało mu się, że do tej pory nie zapłacił jeszcze według kwitków za okres pracy letniej. Miał zwyczaj odkładania płatności. Dziewki i parobcy, którzy chodzili do niego na dniówki, nieraz całymi dniami stali jesienią u progu, skarżyli się na skrajną nędzę, burzyli się, niekiedy wymyślali. Ale Tichon Iljicz był niezłomny. Krzyczał, wzywał Boga na świadka, że

Zima, Wieczór, Wieś,
Wspomnienia, Błoto

Pieniądz, Skąpiec, Sługa

⁸⁴Żan-Pol Richter — Johann Paul Friedrich Richter, pseud. Jean Paul, (1763–1825), pisarz, jeden z głównych prekursorów romantyzmu w literaturze niemieckiej, twórca terminu *Weltschmerz*, autor opowieści zawierających elementy niesamowitości, przedstawiających sceny śmierci, nawiedzenia przez duchy, znany także z fragmentu wizji apokaliptycznej przedstawiającej śmierć Boga; pod koniec życia stracił wzrok, zmarł w Bayreuth na wodobrzusze. [przypis edytorski]

„w całym domu znajdą się najwyżej dwa grosze — możecie poszukać”, wywraçał na lewą stronę portmonetkę, kieszenie, pluł z udaną wściekłością, jakby zaskoczony tą niewiarą i „brakiem sumienia” proszących. Zwyczaj ten wydał mu się dzisiaj niedobry. Ale i dla żony był dotąd zawsze bezlitosny i surowy, przy tym zimny i tak jej obcy, że niekiedy aż zapominał o jej istnieniu. Nagle i to go uderzyło: Boże mój, przecież on nawet pojęcia nie ma, kim jest jego żona! Gdyby, na przykład, umarła, dwóch słów nie umiałby powiedzieć, po co ona żyła, co myślała, co czuła przez wszystkie te długie lata, które z nim przeżyła, przez te lata, które się stopiły w jeden rok i przemknęły w bezustannych troskach i kłopotach... A do czego wszystkie te troski prowadziły?

Rodzina, Żona, Mąż

Tichon Iljicz rzucił papierosa i zapalił świeżego... Uch, jakże mądra ta bestia, ten Makarka! A jeżeli taki mądry, to czy nie może przepowiedzieć, co i kiedy każdego czeka? Jego, Tichona, czeka na pewno coś bardzo złego. Przecież nie jest już młodziutki! Ilu jego rówieśników poszło już na tamten świat! A przed śmiercią i przed starością nie ma ratunku. Nie pomogłyby na to i dzieci. Dzieci swoich także nie znałby, też byłby im obcy, jak obcy jest wszystkim bliskim — i żywym i umarłym. Ludzi na świecie jak gwiazd na niebie, ale życie jest tak krótkie, ludzie tak szybko rosną, męznąją i umierają, tak mało znają się wzajemnie, tak prędko zapominają o tym, co przeżyli, że namyśliwszy się nad tym dobrze, można zwariować! Na przykład on, Tichon, powiedział o sobie:

Obraz świata, Kondycja
ludzka

— Moje życie trzeba by opisać...

A co tu opisywać? Nie ma nic. Albo nic nie ma, albo nie warto. Przecież on sam prawie nic nie pamięta z tego swojego życia. Na przykład, zupełnie zapomniał czasy dzieciństwa; tak, mający niekiedy jakiś dzień letni, jakiś wypadek... Jakiś rówieśnik... Czyjegoś kota kiedyś osmalił — wybili go za to. Ktoś mu podarował sznureczek z gwizdawką i ucieszył go tym bezgranicznie. Pijany ojciec zawołał go kiedyś pieszczotliwym i smutnym głosem: „Chodź do mnie, Tisza, chodź, rodzony!”. I niespodzianie jak złapał za włosy!...

Dzieciństwo

Gdyby żył teraz handlarz Ilja Mironow, Tichon Iljicz utrzymywałby starego z łaski, ale aniby go znał, ani może nawet dostrzegał. Przecież tak samo było z matką; gdyby go kto zapytał: „Pamiętasz matkę?”, odpowiadałby: „Pamiętam jakąś zgarbioną staruszkę... Suszyła nawóz... Paliła w piecu... Ukradkiem piła wódkę... Gderła...”. Więcej nic. Prawie przez dziesięć lat służył u Matorina, a całe te dziesięć lat zwały się w jeden czy dwa dni. Pamięta kwietniowy deszczyk, kropiący plamami na arkusze żelaznej blachy, z dzwiczącym łoskotem wrzucanej na wóz przed sąsiednim sklepem... Szare, mroźne południe... Przy sklepiu sąsiada, handlującego mąką, krupami⁸⁵ i tandetą, gołębie opadają hałaśliwą chmarą na śnieg, gruchają, trzepocą skrzydłami... A Tichon, bawiąc się przed drzwiami, podcina wolim ogonem brzęczącego bąka. Matorin był wtedy młody i silny, o cerze sinawo-czerwonej; miał czysto ogolony podbródek i rude baczki do połowy przycięte. Teraz zbiedniał. W swej wyrudziałej na słońcu kapocie i w głębokiej czapie starczym krokiem sunie od sklepu do sklepu, od znajomego do znajomego; gra w szachy, przesiaduje w szynku Dajewa, troszkę pije, a kiedy jest podchmielony — dogaduje sobie:

— My, ludzie mali: wypiliśmy, zakąsili, zapłacili... I dalej do domu! — A spotkawszy Tichona Iljicza, nie poznaje go i uśmiecha się żałośnie. — Czy to ty, Tisza?

Sam Tichon Iljicz nie poznał tej jesieni przy pierwszym spotkaniu rodzzonego brata: „Czyżby to Kuźma, z którym przez tyle lat wałęsaliśmy się po polach, po wsiach i polnych drogach?”

— Zestarzałeś się, bracie!

— A tak... Trochę.

— Coś za wcześnie!

— No to ja, bracie, rosyjski człowiek. U nas prędko to idzie.

I, mój Boże, jak się od czasu ich wspólnego handlowania wszystko zmieniło! Jak całkowicie niepodobny jest dzisiejszy Tichon Iljicz do czarnego jak żuk, zawadiackiego i wesołego pół-Cygana, kupczyka Tiszki!

Zapalając trzeciego papierosa, Tichon Iljicz z zastanowieniem i pytająco popatrzył w okno.

— Czyżby tak było i w innych krajach?

⁸⁵krupy — tu: kasza. [przypis edytorski]

Nie, to niemożliwe. Bywali znajomi za granicą, choćby ten kupiec Rukawisznikow, opowiadali... Ale i bez tego można samemu wykombinować. Weźmy, na przykład, takich rosyjskich Niemców w mieście albo Żydów: wszyscy mają jakieś zainteresowania, wszyscy się czymś zajmują, znają się wzajemnie, są sobie przyjaciółmi (i to nie tylko po pijanemu!), pomagają sobie. Kiedy się rozjeżdżają, pisują do siebie przez całe życie, rodzina rodzinie przekazuje portrety ojców, matek, znajomych; dzieci swoje uczą, kochają, chodzą z nimi na spacer, rozmawiają, jak z równymi — dziecko będzie miało przynajmniej wspomnienia! A u nas jeden drugiemu — wróg, zazdrości, plotkuje; ludzie bywają u siebie wzajemnie raz do roku, siedzą po swoich kątach, a kiedy kto niespodzianie przyjedzie, rzucają się jak oparzeni do sprzątanía pokoiów... Ale to jeszcze nie wszystko! Łyżki konfitur żałują gościowi, a ten bez specjalnego zaproszenia nie wypije szklanki herbaty ponad zwykłą ilość! Tfu, Kirgizy⁸⁶ kosookie! Antychrysty żółtwołose!

Naród, Społeczeństwo,
Niemiec, Żyd, Rosjanin

Za oknami przejechała czyjaś trojka, Tichon Iljicz przyjrzał się jej uważnie. Konie nędzne, ale widać, że ręczne. Bryczka — w porządku. Czyja by to być mogła? W okolicy nikt nie ma takiej trojki. W pobliżu ziemianie — taka golizna, że bez chleba siedzą po trzy dni, sprzedali ostatnie sukienki⁸⁷ z ikon, nie mają za co wstawić rozbitej szyby ani poprawić dachu, okna zatykają poduszkami, a w czasie deszczu rozstawiają balie i wiadra, bo przez sufity woda się leje jak przez sita... Potem przeszedł szewc Deniska. Dokąd? Z czym? Zdaje się, że z kuferkiem? Och, cóż to, Boże odpuść, za dureń!

Wież, Bieda

Tichon Iljicz machinalnie narzucił kapotę na kaftan bez rękawów, wsunął nogi w kalosze i wyszedł na ganek. Odetchnąwszy głęboko świeżym powietrzem przedzimowego, sinawego zmierzchu, zatrzymał się znowu i usiadł na ławce... Ot, to na przykład, też dobra rodzinka: Szary z synkiem! Tichon Iljicz w myślach przeszedł drogę, którą po błocie z kuferkiem przebrnął Deniska. Zobaczył Durnówkę, swój dworek, jar, chaty, zmierzch, światło u brata, światelka po zagrodach... Kuźma siedzi pewno i czyta. Młoda stoi w ciemnym i zimnym przedpokoju przy ledwo ciepłym piecu, grzeje ręce i plecy, czeka, kiedy powiedzą „jeść” i zacisnąwszy wyschłe, przywiedle wargi, rozmyśla... O czym? Może o Rod’ce? Łgarstwo, że go jakoby otruli, zwyczajne łgarstwo! A jeżeli otruli...?

Boże święty, jeżeli otruli, to co teraz czuje? Jakież ciężki grobowy kamień leży na jej skrytej i dziwnej duszy! A jakże stało się to, na co się wreszcie zdecydowała, nieprzytomna z nienawiści do Rod’ki za jego okrutne bicie? A może to z powodu sponiewieranych uczuć dla niego, dla Tichona Iljicza...? Może z hańby i ze strachu, że Rod’ka dowie się o tej hańbie? Och, jakże on ją bił! Ale i Tichon Iljicz także dobry człowiek! Ukarze go Pan Bóg, ukarze...

W myślach popatrzył z ganku swego durnowskiego domu na Durnówkę (także się buntuje!), na czarne chaty na skłonie góry za jarem, na stodoły i łoziny za opłotkami... Za polami, w lewo, na horyzoncie stoi budka dróżnika. O zmroku przejeżdża obok niej pociąg — łańcuch ognistych oczu. A potem zapalają się światła w chatach. Staje się ciemniej, przytulniej — a za każdym razem budzi się nieprzyjemne uczucie, gdy człowiek spojrzy na chałupy Młodej i Szarego, stojące prawie pośrodku Durnówki, oddalone od siebie trzema zagrodami: ani w tej, ani w tamtej nie ma światła. I tak prawie przez całą zimę! Dzieciaki Szarego ślepną jak krety, a szaleją z radości i zdziwienia, gdy im się uda w jakiś szczęśliwy wieczór zapalić choć trochę światła w izbie...

— Nie, to grzech! — stanowczo powiedział Tichon Iljicz i wstał. — To po prostu bezbożnie! Trzeba choć trochę pomóc dobrej sprawie — dodał, idąc w stronę stacji.

Zima

Chwytał przymrozek. Mocniej niż wczoraj czuć było od strony stacji jakby samowarem. Światła przy wrotach paliły się czysćciej za ziębnącymi drzewami, prawie już gołymi i z rzadka ubarwionymi liśćmi. Dzwoneczki u trojki dźwięczniej pobrzękiwały. Trojka — niczego sobie! Ale za to szkapiny chłopów-dorożkarzy, ich maleńkie bryczki na krzywych, na wpół rozsypanych kołach, oblepionych błotem!... Aż żal ogarnia! Za ogródkiem przed domem głucho trzaskały i pischwały drzwi stacyjne. Tichon Iljicz, minąwszy ogródek, wszedł na wysoki, kamienny ganek; szumił na nim miedziany samowar o pojem-

⁸⁶Kirgiz a. Kirgizi — nazwa ludu pochodzenia tureckiego, zamieszkującego głównie Kirgistan i kraje Azji Środkowej. [przypis edytorski]

⁸⁷sukienka — chodzi tutaj o szaty liturgiczne ikon (z ros. riza), zdobione płaskorzeźby ze złota, srebra lub miedzi, zakrywające częściowo ikonę. [przypis edytorski]

ności dwóch wiader, którego kratki czerwieniały jak ogniste zęby. I tutaj zaraz spotkał się z tym, kogo szukał — z Deniską.

Chłop stał na ganku zamyślony, z opuszczoną głową, trzymając w prawej ręce tani szary kuferek, obficie usiany blaszanymi okuciami i przewiązany sznurkiem. Ubrany był w stary i widocznie bardzo ciężki kaftan bez rękawów z obwisłymi ramionami i z bardzo niskim stanem, w nową czapkę i zdeптane buty. Wzrost miał jakiś pokraczny, gdyż nogi były w porównaniu z tułowiem za krótkie. „Ja mam tylko korpus”, śmiejąc się, mawiał niekiedy do siebie. Teraz, przy niskim stanie i zbitych butach, nogi wydawały się jeszcze krótsze.

— Denis! — zawołał na niego Tichon Iljicz. — Co ty tu robisz, łajdaku?

Denis, niedziwiaczy się nigdy niczemu, z wyrazem smutnej ironii podniósł na niego swe ciemne i tęskne oczy, ocienione dużymi rzęsami, po czym zdjął czapkę. Włosy miał mysiego koloru i nadmiernie gęste, twarz ziemistą i jakby nasmarowaną tłuszczem, ale oczy — ładne.

— Dzień dobry, Tichonie Iljczu — odpowiedział śpiewnym, miejskim tenorkiem i jak zawsze trochę nieśmiało. — Jadę... Do tej... Jakże jej... Do Tuły⁸⁸.

— A po co, jeżeli wolno zapytać?

— Może... Jakieś miejsce się znajdzie...

Tichon Iljicz przyjrzał mu się dokładniej; w rękach trzymał kuferek, z kieszeni kaftana sterczały mu jakieś zielone i czerwone książeczki zwinięte w trąbkę. Kaftan miał, widać, cudzy...

— Na eleganta z Tuły nie wyglądasz!

Deniska także spojrzał po sobie.

— Że niby kaftan? — spytał skromnie. — No cóż? Jak zarobię w Tule pieniądze, kupię sobie węgierek⁸⁹! Latem jakoś to było, sprzedawało się gazety.

Tichon Iljicz kiwnął głową w stronę kuferka.

— A to co takiego?

Denis spuścił oczy.

— Kuferek kupilem.

— To w węgierce bez kuferka nie można? — kpiąco rzekł Tichon Iljicz. — A co masz w kieszeni?

— Takie tam, głupstwa różne...

— Pokaż no.

Deniska postawił kuferek na ganku i wyciągnął z kieszeni książeczki. Tichon Iljicz wziął je i uważnie przejrzał. Zbiór piosenek *Marusia*, *Rozpustnica-żona*, *Niewinne dziewczę w sidłach gwałtu*, *Wierszowane powinszowania dla rodziców, wychowawców i dobrodziejów*, *Rola...*

Książka

W tym miejscu Tichon Iljicz zaciął się, ale Denis, który mu się bacznie przyglądał, żywo i skromnie odpowiedział:

— *Rola proletariatu w Rosji*.

Tichon Iljicz pokiwał głową.

— Ot, nowość! Żreć nie masz co, a kupujesz kuferki i książeczki. Widocznie nie darmo nazywają cię rewolucjonistą. Mówią, że ciągle na cara wymyślasz? Oj, uważaj, bratku!

— Przecież nie kupilem za to majątku — ze smutnym uśmiechem odpowiedział Deniska. — To książki dobre. A cesarza nie ruszałem! Gadają na mnie, co chcą, jak na nieboszczyka. Nawet o tym nie myślałem! Czyż to ja lunatyk jakiś jestem?

Blok u drzwi zaskrzypiał i ukazał się stacyjny dozorca, siwy emerytowany żołnierz, którego męczyła świszcząca i dusząca astma, oraz bufetowy, grubas o zapuchniętych oczkach i tłustych włosach.

— Usuńcie się, panowie kupcy, pozwólcie zabrać samowar...

Denis usunął się i znowu schwyił za kuferek.

— Gdzieś go ściągnąłeś⁹⁰ pewnie? — zapytał Tichon Iljicz, wskazując kuferek i myśląc o sprawie, dla której poszedł na dworzec.

Denis milczał, pochyliwszy głowę.

⁸⁸Tula — miasto w europejskiej części Rosji, w podmoskiewskim zagłębiu węglowym. [przypis edytorski]

⁸⁹węgiereka — tu: dawny strój męski, podobny do kontusza. [przypis edytorski]

⁹⁰ściągnąć (pot.) — tu: zwinąć, ukraść. [przypis edytorski]

— I pewnie pusty?
 Denis roześmiał się.
 — Pusty...
 — Wygnali cię z miejsca?
 — Sam poszedłem.
 Tichon Iljicz westchnął.
 — Wykapany ojciec! — powiedział. — Tamten też zawsze tak; wyrzucą go na zbity łeb, a on: „Sam poszedłem”.
 — Żeby mi tak oko wypłynęło, nie lżę!
 — No, dobrze, dobrze... Byłeś w domu?
 — Byłem dwa tygodnie.
 — A ojciec znowu bez roboty?
 — Teraz bez roboty.
 — Teraz! — przedrzeźniał go Tichon Iljicz. — Ech, kto się psem urodził, z wilkami nie będzie chodził!
 „A tyś może lepszy?”, pomyślał Denis, uśmiechając się i nie podnosząc głowy.
 — Znaczą się, Szary siedzi sobie i kurzy papieroska?
 — Pusta głowa! — z przekonaniem powiedział Deniska.
 Tichon Iljicz postukał go po głowie kostkami palców.
 — Żebyś choć głupoty swojej nie pokazywał! Któż tak mówi o ojcu?
 — Co z tego, że stary; czy przez to lepszy? — odpowiedział spokojnie Denis. — Jeśli ojciec, to jeść dawaj. A dużo on mnie karmił!
 Ale Tichon Iljicz nie dosłuchał do końca. Wybierał właśnie odpowiednią chwilę, aby zacząć rozmowę o interesie. Nie słuchając więc, przerwał:
 — No i okazało się, żeś bałwan... A Jakow sprzedał kobyłę?
 Denis roześmiał się niespodziewanie głośnym i ordynarnym śmiechem. Odpowiedział jednakże dawnym śpiewnym tenorem:
 — Jakow Mikiticz? Co znowu! Robi się coraz bogatszy i coraz bardziej chciwy. Toż to było wczoraj śmiechu!
 — Z jakiejże okazji?
 — No, bo jakże! Zdechło mu źrebię i cóż on wymyślił? Zrobił interes nawet z nóg i z kopyt. Zabrał mu kołków w chruścianym płocie, to wziął i wplótł te właśnie nogi...
 — Ależ to nie chłop, a minister! — powiedział Tichon Iljicz. — To nie para do was, gółców. Cóż ty? Z wilczym biletem wybierasz się do Tuły?
 — A mnie na co bilet? — odpowiedział Denis. — Wejść do wagonu i z boską pomocą wprost pod ławkę. Aby tylko dostać się do Węzłowskiej
 — Do jakiej „Węzłowskiej”? Do stacji węzłowej pewnie?
 — No, niech tam „węzłowej”, wszystko jedno. Dojadę, a tam dalej niedaleko i na piechotę.
 — A gdzieś będziesz książeczkę czytał? Pod ławką niewiele przeczytasz.
 Deniska zamyślił się.
 — No! — rzekł wreszcie. — Przecież nie cały czas będę pod ławką. Można wleźć do wygódki i czytać choćby do świtu.
 Tichon Iljicz zmarszczył brwi.
 — A ja ci powiem — zaczął — ot co: czas, żebyś rzucił te wszystkie głupstwa. Nie jesteś już przecież dzieciakiem, durniu jeden. Ruszaj no z powrotem do Durnowki, trzeba się zabrać do roboty. Przecież aż się niedobrze robi, jak człowiek na was popatrzy. U mnie karaluchy lepiej żyją. Cóż zrobić... Pomogę z początku. Dam, powiedzmy, na towar, czy tam na jaki instrument... Sam się utrzymasz i ojcu choć trochę pomożesz...
 „Do czego to on zmierza?”, pomyślał Deniska.
 A Tichon Iljicz zdecydował się i dokończył:
 — A i pora byłaby ożenić się.
 „Taaaak!” pomyślał Deniska i nie śpiesząc się, zaczął skręcać papierosa.
 — No cóż — odezwał się spokojnie i trochę jakby smutno, nie podnosząc rzęs. — Wykręcać się nie będę. Żenić się można. Lepsze to, jak chodzić do prostytutek.
 — No, no, właśnie! — gorączkując się, podchwycił Tichon Iljicz. — Tylko, bracie, zauważ, żenić się trzeba z rozumem, żeby dzieci wyprodukować z jakimś kapitałem.

Ojciec, Syn

Sąsiad

Interes, Swaty,
 Małżeństwo, Ślub

Dziecko

Deniska wybuchnął śmiechem.

— Czego ryczysz?

— Bo jakże to? Produkować? Niby kury czy świnie?

— Dzieci chcą tak samo jeść!

— A z kim mam się żenić? — zapytał ze smutnym uśmiechem Deniska.

— Z kim? A z kim chcesz!

— Znaczący... Z Młodą czy jak?

Tichon Iljicz zaczerwienił się mocno.

— Dureń! A cóż... Młoda? Niedobra? Baba cicha, robotna...

Deniska milczał, dłubiąc paznokciem koło blaszanych okuć przy kuferku. I nagle udał głupiego.

— Młodych bab dużo — rzekł przeciągle. — Nie wiem, o której pan mówią. O tej, z którą pan żyli?

Ale Tichon Iljicz już się opanował.

— Żyłem czy nie, to sprawa nie na twój rozum, świnio — odrzekł tak szybko i stanowczo, że Deniska pokornie wymamrotał:

— To dla mnie tylko honor... Ja tylko tak... Bo się zgadało...

— No, więc znaczący: nie gadaj niepotrzebnie. Ludzi z was zrobię... Rozumiesz? Posadam... Rozumiesz?

Deniska znowu się zastanowił.

— Ot, pojedę do Tuły... — zaczął.

— Trafiło się ślepej kurze ziarno! Na co ci ta Tuła?

— W domu za duży już był głód...

Tichon Iljicz otworzył kapotę i wsunął rękę do kieszeni w kaftanie: chciał zrazu dać Denisce dwadzieścia kopiejek, ale się pohamował. „Nie ma sensu pieniądze wyrzucać, a jeszcze ten mądrała pomyśli, że może go podkupuję”, pomyślał. I udał, że czegoś szuka.

— Ech, zapomniałem papierosów. Daj no skrócić.

Deniska podał mu kapciuch⁹¹. Nad gankiem zapalono już latarnię i w jej mdłym świetle Tichon Iljicz przeczytał wyhaftowane na nim grubo białą włóczką: „Kogo koham temu daję koham serdecznie daruję na wiecznie”.

— Niczego sobie! — rzekł, przeczytawszy.

Deniska wstydliwie spuścił oczy.

— Więc znaczący, masz już dziewczuchę?

— Mało to ich łązi, suk, dookoła! — odparł Deniska niefrasobliwie. — A względem ożenku, ja się nie wykręcam. Wrócę na karnawał i niech Bóg błogosławi...

Zza ogródka przy domu z trzaskiem i hukiem podjechał do ganku wóz cały zabрызgany błotem; na przodzie siedział chłop, a ulianowski diak Goworow leżał pośrodku na słomie.

— Odjechał? — krzyknął diak ze strachem, wyciągając ze słomy nogę w nowym kałoszu.

Każdy włos na jego intensywnie rudej, kudłatej głowie skręcał się oddzielnie, czapka zsunęła się do tyłu, twarz zaczerwieniła się od wiatru i ze zdenerwowania.

— Pociąg? — zapytał Tichon Iljicz. — Nie. Jeszcze nie przyjechał. Dzień dobry, ojciec diakonie.

— Aha! No, chwała Bogu! — szybko i radośnie powiedział diak i pomimo to, wyskoczywszy z wozu, jak strzała popędził do drzwi.

Tichon Iljicz pokiwał głową. „Ech”, pomyślał, „nie w porę przyniosło tu tego grzywiastego! Interes może się nie udać!”. Jednak, ujmując klamkę drzwi, rzekł tonem pewnym i zdecydowanym:

— No, znaczący się, tak. Znaczący się, po poście.

Na stacji pachniało mokrymi półkożuszkami, samowarem, machorką, naftą. Nadymione było do tego stopnia, że w gardle ścisnęło, a lampy ledwo się paliły wśród dymu, w półmroku, w wilgoci i zimnie. Drzwi piszczały i trzaskały, chłopci z batami w rękach tłoczyli się i hałasowali — byli to dorożkarze z Ulianowki, czekający na pasażera nieraz przez cały tydzień. Wśród nich, z wysoko uniesionymi brwiami chodził Żyd, handlarz zbożem; na głowie miał melonik, ubrany był w palto z kapturem, a na ramieniu trzymał

⁹¹kapciuch — woreczek z tytoniem. [przypis edytorski]

parasol. Obok kasy chłopci dźwigali do wagi jakieś pańskie walizy i kosze obszyte ceratą. Krzyczał na nich telegrafista, pełniący obowiązki pomocnika naczelnika stacji, młody, krótkonogi chłopak o dużej głowie, z welnistym, żółtym czubem, po kozacku nastroszonym spod czapki nad lewą skronią; na brudnej podłodze siedział pointer⁹² nakrapiany jak żaba, z oczami po ludzku smutnymi i drżał wstrząsany mocnym dreszczem.

Przepchawszy się przez chłopów, Tichon Iljicz przeszedł do drzwi pierwszej klasy, obok których wisiała na ścianie drewniana rama z listami, gazetami i depeszami, leżącymi tak nieraz przez cały rok. Listów dla niego nie było, a znalazły się tylko trzy numery „Orłowskich Wiadomości”. I Tichon Iljicz ruszył do bufetu, żeby pogadać z bufetową. Ale tam na stołku siedział w okrągłej szarej czapce ze znaczkiem pijany stróż z gorzelni księcia Łobanowa. I Tichon Iljicz cofnął się pośpiesznie. Stróża tego znał dobrze, a gdyby mu się nawinął na oczy — przez dobę nie mógłby się od niego odczepić... Na ganku wciąż jeszcze stał Deniska.

— Bo to ja chciałem prosić, Tichonie Iljiczu... — rzekł jeszcze skromniej niż zazwyczaj.

— Czego jeszcze? — z gniewem spytał Tichon Iljicz. — Pieniądzy? Nie dam!

— Nie! Jakich pieniędzy! Chciałem prosić... Żeby pan mój list przeczytał.

— List? Do kogo?

— Do pana. Chciałem oddać, ale nie miałem śmiałości.

— A o czym...?

— Tak... Życie swoje opisałem...

Tichon Iljicz wziął z rąk Deniski świstek, wsunął go do kieszeni i szybko poszedł do domu po uginającym się zamrzniętym błocie.

Nastrój miał teraz zadzierzysty⁹³. Chciało mu się pracować i z zadowoleniem pomyślał, że robotę ma: trzeba dać jedzenie bydłu. Ot, szkoda, że się uniósł i wyrzucił Żmycha — nie będzie mógł tej nocy spać. Na Osce polegać nie można. Może już nawet śpi? A jeżeli nie śpi, to siedzi z kucharką i wymyśla na gospodarza...

Minąwszy oświecone okna izby, Tichon Iljicz przekradł się do sieni, potknął się w ciemnościach o zimną pachnącą słomę i przyłgął uchem do drzwi. Rozległ się za nimi śmiech, a potem Oską powiedział:

— A raz to znowu taka była historia. Żył we wsi chłop bidny, taki bidny, że bidniejszego nie było. Jednego dnia pojechał se ten chłop w pole orać. A tu za nim pies łaciaty. Chłop orze, a pies niucha po polu i ciągiem cosik rozkopuje. Kopie, kopie i nagle jak zawyje! Co za jakieś zło?! Chłop do niego, popatrzył do dołu, a tam garnek żelazny...

— Garnek? — spytała kucharka.

— Posłuchaj dalej. Garnek, jak garnek, ale w garnku złoto! Strach, ile złota... No, i chłop wzbogacił się...

„Ech, głupie gadanie!”, pomyślał Tichon Iljicz i zaczął przysłuchiwać się chciwie, co będzie dalej z owym chłopem.

— Wzbogacił się, pobudował jak jaki kupiec...

— Może tak jak nasz długonogi — wtrąciła kucharka.

Tichon Iljicz uśmiechnął się; od dawna wiedział, że go nazywają długonogim... Nie ma człowieka bez przezwiska!

A Oską ciągnął:

— Ale! Jeszcze był od niego bogatszy... Tak... A tu pies wziął i zdechł. Co robić? Nie ma rady, szkoda psa, ale trzeba go z honorem pochować.

Rozległ się wybuch śmiechu. Roześmiał się opowiadający i jeszcze ktoś, kaszlący po starczemu.

— Chyba to Żmych? — ożywił się Tichon Iljicz. — No, chwała Bogu. A powiedziałem durniowi: „Wró-ó-ócisz!”.

— Poszedł chłop do popa — ciągnął Oską — poszedł, znaczy, do popa: tak i tak, ojczulku, pies zdechł, trzeba go pochować...

Kucharka znowu nie wytrzymała i wesoło krzyknęła:

— Ach, śmierci na ciebie nie ma!

List

Pies, Chłop, Pieniądz

Pies, Śmierć, Pogrzeb,
Śmiech

⁹²pointer — jedna z ras psów, należąca do grupy wyłłów. [przypis edytorski]

⁹³zadzierzysty — zadziorny, butny, bojowy. [przypis edytorski]

— Dajże dopowiedzieć! — zawołał Ośka i znów przeszedł na ton opowiadania, udając na przemian raz popa, raz tamtego:

— Tak i tak, ojczulku, trzeba psa pochować. Jak nie zatupie pop nogami: „Jak chować? Gdzie chować? Na cmentarzu?! Ależ ja ciebie do kryminału!... Zgnijesz w więzieniu! Ja ciebie w kajdany!”. „Ojczulku, to przecież nie zwykły pies; jak zdychał, zostawił dla ciebie pięćset rubli!”. Jak nie skoczy pop z miejsca: „Durniu! A czy ja na ciebie krzyczę za to, że chcesz go chować? Ja za to, że nie wiesz, gdzie! Jego trzeba na cmentarzu przy cerkwi pochować!”.

Tichon Iljicz głośno kaszlnął i otworzył drzwi. Przy stole, obok kopnącej lampeczki, której rozbite szkło zaklejone było z boku poczerniałym papierem, siedziała kucharka, zwiesiwszy głowę i zakrywszy całą twarz mokrymi włosami. Cesała je drewnianym grzebieniem i co chwila poprzez mokre kosmyki oglądała go pod światło. Ośka z papierosem w zębach śmiał się i rozparty na krześle machał nogami obutymi w łapcie. Przy piecu w półmroku czerwieniał ogienek czyjejś fajki. Kiedy Tichon Iljicz szarpnął drzwi i stanął na progu, śmiech urwał się natychmiast, a palący fajkę nieśmiało wstał z miejsca, wyjął ją z ust i wsunął do kieszeni... Tak, to był Żmych! Tichon Iljicz, jakby nic się rankiem nie zdarzyło, zawołał rześko i przyjaźnie:

— Jazda! Bydło nakarmić!

Wieś, Praca, Zwierzęta

Rzucając ogromne cienie, poszli z latarnią po zagrodzie, oświecając przed sobą zaskorupiały gnój, rozsypaną słomę, żłoby i słupy, budząc kury na grzędach pod daszkami. Kury zlatywały, spadały i wyciągając szyje, zasypiając w biegu, uciekały na wszystkie strony. Wielkie fioletowe oczy koni, zwracających głowy w stronę światła, połyskiwały i wyglądały dziwnie a pięknie. Od oddechów szła para, jakby wszyscy palili. A kiedy Tichon Iljicz opuszczał chwilami latarnię i spoglądał w górę, widział z radością nad kwadratem podwórza kolorowe gwiazdy, błyszczące na głębokim, czystym szafirze nieba. Słychać było, jak sucho szeleścił wiatr po dachach, szczelinami wkradała się mroźna świeżość północnego podmuchu... Chwała ci, Boże: na koniec zima!

Skończywszy swą pracę, Tichon Iljicz kazał nastawić samowar; poszedł z latarnią do zimnego sklepu, przepełnionego zapachami, wybrał sobie dobrego marynowanego śledzia (nic nie szkodzi, że słony: przed wieczorą sól smakuje!) i zjadł go przy herbacie, po czym wypił kilka kieliszków słodko-gorzkiego, żółtawo-czerwonego jarzębiaku. Nalał po brzegi szklankę herbaty i przysunął sobie czarne, stare liczydła. Ale rozmyślił się, odnalazł list Deniski i zaczął wczytywać się w jego bazgroły.

List

„Denia dostał 40 rubli pieniędzy, a potem zebrał rzeczy...”

„Czterdzieści!”, pomyślał Tichon Iljicz. „Ach, golec!”

„Poszedł Denia do stacji Tuła a tu go jak raz obrabowali i zabrali Wszystko dokopiejki nie ma gdzie iść i Wzienago żalność...”.

Trudno i nudno było odcyfrować te bzdury, ale wieczór długi, a robić nie ma co... Samowar bulgotał niefrasobliwie, lampa paliła się równym, spokojnym światłem — a w ciemności tej i w spokoju krył się smutek wieczoru. Pod oknami przechodziła miarowo kołatka i dźwięcznie wygrywała w mroźnym powietrzu skoczną melodię...

„a potem stensknął się a jakjech ać do domu jak ojciec bardzo zły”.

„Oh, co za dureń, Boże zmiłuj się!”, pomyślał Tichon Iljicz. „Szary ma być groźny!”.

„Póndę ja do lasu ciemnego wybiore jaknaj winksom Sosnę wezne sznurek odgłowy cukru i pzeniosesie na ni na wieczne życie fnowych zpodniach albezbutf...”.

— Cóż to znowu? Chyba „bez butów”? — rzekł Tichon Iljicz, odsuwając papierek od zmęczonych oczu. — Co prawda, to prawda!...

„A potem jakzawieje mocny wiatr nagoni sine obłoki i zebrałasie hmu-
ra ipolał durzy gięsty deszcz i wyszło słońce zzaLasu sznurek gnije gnije asz
oberwał sie i denis spad na ziemie mruŹki ponim zaczynajom chodźić pra-
cować a tam pelża jesz i szmija i rak zielony...”.

Tichon Iljicz wrzucił list do miednicy, lyknął herbaty i oparł łokcie na stole, wpatrując się w lampę... Dziwny z nas naród! Jakaś dziwaczna dusza! Raz człowiek jest jak pies, to znów tęskni, użala się, pieści się i płacze sam nad sobą... Ot mniej więcej jak Deniska albo jak i on sam, Tichon Iljicz...

Szyby spotniały, kołatka wyraźnie i żwawo wystukiwała coś składnego... Ech, gdyby były dzieci! Gdyby była choć jaka dobra, kochana kobieta zamiast tej pulchnej staruchy, której same już opowiadania obrzydły mu diabelnie! Wiecznie opowiada o księżniczce, o jakiejś nabożnej mniszce Polikarpii, którą nazywają w mieście Półkarpia! Ale cóż, za późno już na wszystko, za późno...

Rozpiąwszy haftowany kołnierz koszuli, Tichon Iljicz z gorzkim uśmiechem pomacał szyję i bruzdy na szyi za uszami... Owe bruzdy to pierwsza oznaka starości! Głowa robi się podobna do końskiej! A i reszta także do niczego. Tichon Iljicz schylił głowę i wsunął palce pomiędzy włosy brody... Ot, i broda: siwa, sucha, splątana. Tak, tak, Tichonie Iljiczu, koniec już, koniec!

I dalej pił, coraz bardziej stawał się pijany, coraz mocniej zaciskał szczęki i mrużąc oczy, wpatrywał się w płonący równym światłem knot lampy... Pomyśleć tylko, że do rodzonego brata pojechać nie można, bo wieprzki nie puszczaają, dranie jedne! A nawet gdyby puścili — także niewielka byłaby z tego radość! Kuźma prawilby mu kazanie, Młoda stałaby przed nim z zaciśniętymi wargami, z opuszczonymi rzęsami... Przecież już od samych tych opuszczonych rzęs ma się chęć uciekać!

Serce omdlewało, zamierało, głowa tonęła w słodkiej mgle... Gdzież to on słyszał tę piosenkę:

Nadszedł już smutny wieczór,
Co zrobię, pełna tęsknoty?
Oto kochanek mój miły
Niesie mi słodkie pieszczoty!

Ach, tak, przypomina sobie, to w Lebedianiu⁹⁴, w zajęździe... Dziewczyny-koronczarki siedzą sobie podczas zimowych wieczorów i śpiewają... Siedzą sobie, plotą koronki i nie podnosząc oczu, śpiewają dźwięcznymi, głębokimi głosami:

Całuje i ściska,
I żegna się ze mną...

Głowę osnuwała mgła. Chwilami wydawało się Tichonowi Iljiczowi, że wszystko ma jeszcze przed sobą: i radość, i swobodę, i niefrasobliwość; ale zaraz budziła się w sercu bolesna, beznadziejna tęsknota. Mówił sobie: „Aby tylko pieniądze w kieszeni — wszystko można mieć!”. I znów patrzył ze złością w lampę, i mając na myśli brata, mówił:

— Nauczycieli! Kaznodzieja! Filareta⁹⁵ miłosierna... Diabeł bez portek!

Tichon Iljicz wypił do reszty jarzębiak, a nakurzył tak, że w pokoju aż pociemniało... Stąpając niepewnymi krokami po chybotałej podłodze, wyszedł w marynarce do ciemnej sieni. Poczul rzeźki chłód powietrza, zapach słomy, odór psa i zobaczył dwa zielonawe światełka migające na progu.

— Bujan! — zawołał i z całych sił kopnął psa butem w łeb.

Potem przysłuchiwał się dźwiękom kołatki, przytupując do taktu, wyszczał się na stopniach ganku i dogadywał sobie w myślach:

Idź wprost na mnie!
Patrz wprost na mnie!

Po czym, ruszając w stronę szosy, krzyknął:

— Dmuchań wiewiórce pod ogon, będzie więcej puszysty!

⁹⁴Lebediań (ros. Лебедянь) — miasto w Rosji, w obwodzie lipieckim. [przypis edytorski]

⁹⁵Filareta a. Filaret, a. Fiodor Nikiticz Romanow (1553–1633) — patriarcha Moskwy i całej Rusi w latach 1609–1633, współwładca Rosji w latach 1613–1633. [przypis edytorski]

Nad ziemią miękko czerniejącą w świetle gwiazd panowała martwa cisza. Migotały gwiazdy ułożone w różnokolorowe wzory. Szosa lekko białała, ginąc w mroku. W oddali, jak spod ziemi, głucho brzmiał wciąż wzrastający hałas i nagle cała okolica zatrzęsała się od huku: daleko, przecinając szosę, przeleciał ekspres, świecąc łańcuchem białych okien, rozjarzonych elektrycznością, i niby latająca wiedźma, rzucając na wiatr przeświecające pasem warkocze dymu.

— Przejeżdża obok Durnowki! — powiedział Tichon Iljicz, czkając. — Obok Szarego! Ach, bandyty przekłete!

Zaspana kucharka weszła do izby mdło oświetlonej dogasającą lampą a przesiąkniętej tytoniem i wniosła zatłuszczony żelazny garnczek z barszczem, ująwszy go w szmaty aż czarne od tłuszczu i sadzy.

— Wynos się w tej chwili! — krzyknął Tichon Iljicz, popatrzawszy na nią z ukosa.

Kucharka zawróciła, pchnęła nogą drzwi i znikła.

Wówczas Tichon Iljicz wziął kalendarz Gatkuka⁹⁶, zanurzył zardzewiałe pióro w rdzawym atramencie i zaciskając zęby, patrząc sennie ołowianymi oczami, zaczął bez końca pisać wzdłuż i w poprzek na kalendarzu: „Gatcuk, Gatcuk, Gatcuk...”.

II

Kuźma prawie przez całe życie marzył o pisaniu i nauce.

Ale co tam wiersze! Wierszami zabawiał się w dzieciństwie! Pragnął opowiedzieć, jak się marnował, bez żadnej litości przedstawiać nędzę i ten straszny w swej codzienności byt, który go kaleczył i robił z niego bezpłodne drzewo figowe⁹⁷.

Myśląc o nim, oskarżał się i niewinniał zarazem.

Tak jest, był ubogim drobnym mieszczaninem, który prawie do piętnastego roku swego życia ledwo sylabizował. Ale historia jego jest historią wszystkich rosyjskich samouków. Urodził się w kraju mającym przeszło sto milionów analfabetów. Wyrósł w Czarnej Słobodzie, gdzie jeszcze dotąd ludzie na śmierć się tłuką w bójkach na pięści. W dzieciństwie widział brud i pijaństwo, lenistwo i nudę... Pozostało mu z tego czasu tylko jedno poetyczne wrażenie: ciemny gaj przy cmentarzu i wygon na górze za Słobodą, a za nim — przestrzeń, rozpalona płaszczyzna stepu i w oddali — biała chata pod topolą. Ale wpajano mu wzgardę nawet do tej chaty: mieszkali tam ukraińscy chłopci, którzy, jak wiadomo, są przecież tak głupi, że na pytanie: „Chochły, gdzie wasze kotły?” odpowiadają: „Chodźcie patrzeć z nami, leżą pod furami!”. Liter i cyfr nauczył i jego, i Tichona ich sąsiad Bielkin, łaciarz⁹⁸ kaloszy. Ale zrobił to też tylko dlatego, że roboty nigdy nie miał (skądże kalosze w Słobodzie!); a zresztą zawsze przyjemniej jest wrywać komuś włosy, niż siedzieć ciągle rozchełstany na przyzbie i ze schyloną a wystawioną na słońce kudłatą głową pluć w kurz między bosymi nogami. W sklepie Matorina bracia wkrótce nauczyli się czytać i pisać. Kuźma zaczął pochłaniać książki, które mu darował wolnomyślny dziwak z rynku, stary harmonista Bałaszkina. Ale czy można czytać w sklepie? Matorin często krzyczał: „Ja ci uszy oberwę za te twoje nauki, ty diabelskie nasienie!”.

Stara historia! A Kuźma chciałby również opisać zwyczaje z rynku. Wchłonął on tam w siebie wiele ohydy. Nauczono ich obojdwóch z bratem wyśmiewania nędzy matki oraz tego jej nieszczęścia, że porzucona przez podrastających synów zaczęła popijać. Tam też, na rynku, zrobili kiedyś taką sztuczkę: przed drzwiami sklepu przechodził co dzień z czytelnymi syn krawca Witebskiego, Żyd lat szesnastu o sinawej twarzy, strasznie chudy, z olbrzymimi uszami i w okularach — a idąc, czytał z przejęciem, przysuwając książkę do samych oczu; chłopcy nasypali mu na chodnik żwiru i Żyd, „ten mądrała”, przewrócił się tak pysznie, że do krwi rozbił sobie kolana, łokcie i zęby...

Tam też zaczął Kuźma pisać. Zaczął od opowiadania, jak pewien kupiec jechał nocą Muromskim lasem⁹⁹ podczas strasznej burzy i trafił na nocleg do zbójów, którzy go za-

⁹⁶kalendarz Gatkuka — chodzi o kalendarz, zawierający także mapę kolei, wydawany w Rosji przez Aleksieja Aleksiejewicza Gatkuka (1832–1891), rosyjskiego archeologa, publicystę i pisarza. [przypis edytorski]

⁹⁷bezpłodne drzewo figowe — odniesienie do tekstu z Biblii o uzdrowieniu „bezpłodnych” miejsc w ciele i duszy (Mk 11, 11–25). [przypis edytorski]

⁹⁸łaciarz (daw.) — tu: szewc, zajmujący się naprawami i przeróbkami. [przypis edytorski]

⁹⁹Muromski las — prawdopodobnie chodzi o teren obecnego parku przyrody „Muromski las”, położonego nad brzegiem Zalewu Biełgorodzkiego, w pobliżu miejscowości Solomino. [przypis edytorski]

Nauka, Literat, Poezja,
Kondycja ludzka

Rosja, Nauka

Matka, Pijaństwo, Żyd

rżnęli. Kuźma barwnie opisał jego przedśmiertne błagania, myśli i tęsknotę za grzesznym życiem, „które tak przedwcześnie zostało przerwane...”. Lecz na rynku bez litości oblano go zimną wodą.

— Ależ dziwak z ciebie, Boże odpuść! — wyraził wesoło i bezczelnie ogólną opinię Tichon. — „Przedwcześnie”! Dawno powinien był już zdechnąć, czort brzuchaty! No, i skądże ty wiedział, co on myślał? Przecież go zarżnęli?

A potem Kuźma napisał na wzór Kolcowa pieśń starego witezia¹⁰⁰, przekazującego synowi swego wiernego konia. „Nosił mnie w mojej młodości!”, wołał witeż w pieśni. Ale Tichon i na to także tylko głową pokiwał.

— Tak! — powiedział. — To ile lat podług ciebie miał ten koń?! Ach, Kuźmo, Kuźmo! Żebyś choć ułożył coś z sensem; no, na ten przykład, o wojnie...

I Kuźma, dostosowując się do rynkowego smaku, zaczął z roznamietnieniem pisać o tym, o czym gadano wówczas na całym targu: o rosyjsko-tureckiej wojnie:

Turek straszny, Turek dziki,
Na wojenkę chęci miał;
Ruszył wszystkie swoje szyki
I zagarnąć Rosję chciał.

i jak te wojska

Zdobywały już armatę¹⁰¹?
Najwspanialsze z naszych dział!

Z bólem zdawał sobie potem sprawę, ile tępoty i nieuctwa było w takich wierszydlach i ile wart ten prostacki styl i ta rosyjska pogarda względem obcych. Z bólem przypominał też sobie i inne rzeczy... Na przykład Zadonsk. Pewnego razu ogarnęło go namiętne pragnienie pokuty i strach, że matka, która umarła właściwie z głodu, poskarżyła się gorzko w niebie na swe żalosne życie... Kuźma poszedł wtedy piechotą na pielgrzymkę do świętego. Ale u świętego czytał tylko ze złośliwym zadowoleniem zebranych pielgrzymom pewną „kartkę”, zastanawiającą go specjalnie: jak pewnemu wiejskiemu pisarzowi przyszła do głowy myśl, żeby nie uznawać władz i cerkwi, a Bóg tak się za to rozgniewał, że „arystokratę zwałił na śmiertelne łoże”, a choroba jego była taka: „żałł więcej od świni, a wołał, że mu wciąż mało i wysechł do niepoznania...”. Cała młodość Kuźmy przeszła na takich historiach! Myślał i wierzył w jedno, a mówił i robił co innego. Marząc o pisaniu i sumując życie, Kuźma z żalem kiwał głową: „Ot, rosyjska cecha! Siało się groch do połowy z chwastem!”.

Zdawać by się mogło, że w młodości był wesoły, dobry, czuły, pojętny i chciwy nauki. Ale czy tak było rzeczywiście? Naturalnie: co on, to nie Tichon... Ale dlaczego tak samo on, jak i brat przyswoili sobie tak wcześnie ordynarność otoczenia? Dlaczego, choć był dobry i czuły, tak bezlitośnie zapomniał o matce? Dlaczego nastrój rynku opanował na tak długo jego serce, tak wrażliwe na wpływ książki? Dlaczego, dlaczego stał się bezpłodnym drzewem figowym?

Tichon zabierał do wspólnej skarbonki prawie cały zarobek brata, gdyż postanowili rozpocząć własny interes. Kuźma oddawał pieniądze z dobrotliwym, serdecznym zaufaniem, jakiego Tichon nie posiadał nigdy. Ale matka, matka! Kuźma jęczał, wspominając, jak ta nędzarka błogosławiła go, oddając srebrny obrazek, jedyny swój skarb, chowany w głębi kuferka na pamiątkę lepszych dni. Jęczał... Dobrze, ale pieniądze jednakże szły do Tichona...

Porzuciwszy sklep i sprzedawszy to, co zostało po matce, zaczęli handlować. Pojechali w stronę Woroneża, pomiędzy ukraińskich chłopów. Często bywali także w rodzinnym miasteczku i Kuźma nadal przyjaźnił się z Bałaszkinem; książki, które mu stary darował lub wskazywał, czytał chciwie, nie tak jak Tichon. Tichon także lubił poczytać, gdy nie miał nic do roboty, chociaż potrafił i przez rok nie brać książki do ręki.

¹⁰⁰witeż (daw.) — rycerz, wojownik. [przypis edytorski]

¹⁰¹armata — tu: „Car-Puszką”, olbrzymia stara armata, wystawiona na dziedzińcu moskiewskiego Kremla. [przypis tłumacza]

Konflikt wewnętrzny,
Matka

Literat, Książka

Ale jeżeli już wziął, to czytał prędko, do ostatniego wiersza, a skończywszy, natychmiast zatracił wszelki kontakt z książką. Kiedyś pochłonął w ciągu jednej nocy cały tom *Człowieka współczesnego*. Wielu rzeczy nie rozumiał, to, co rozumiał, określił jako bardzo zajmujące — i na zawsze zapomniał o przeczytanych. Kuźma też wielu rzeczy nie rozumiał — nawet z Bielinskiego¹⁰², Gogola¹⁰³ i Puszkina¹⁰⁴. Ale zrozumienie jego rosło po prostu w oczach; zdumiewająco potrafił sedno rzeczy uchwycić i w sercu utrwalić. Dlaczego zatem, jeśli mógł zrozumieć słowa Dobrolubowa¹⁰⁵, dlaczego na rynku kłął i mówił „chwakt” zamiast „fakt”? Dlaczego, rozprawiając z Bałaszkinem o Schillerze¹⁰⁶, jednocześnie namiętnie marzył o tym, jak uprosi o pożyczenie harmonii? Zachwycając się *Dymem*¹⁰⁷, twierdził jednak, że „kto jest rozumny, choćby nieuczony, to i bez nauki ma jasno w głowie”. Gdy odwiedził mogiłę Kolcowa, na grobowej płycie napisał z uwielbieniem, choć nieortograficznie: „Podtem pomnikiem pogrzebano ciało mieszcza- nina aleksieja wasiljewicza Kalcowa woroneskiego autora i poeta nagrodzonego łaskom monarszom oświeconego bez nauki przez samą przyrodę¹⁰⁸... ”.

Wpływ na niego miał tylko Bałaszkin, toteż pozostawił głęboki ślad w duszy Kuźmy.

Bałaszkin był to ogromny, chudy starzec, o dużej, golonej twarzy z wykrzywionymi ustami, który ani zimą, ani latem nie zdejmował pozieleniałej kapoty i ciepłej czapki. Niemal do strachu potrafił doprowadzić swoimi złośliwymi opowieściami, głębokim, starczym basem, kłującą, srebrzystą szczecina, pokrywającą szare policzki i górną wargę, oraz zielonym lewym okiem, wybałuszonym i zezującym w tę samą stronę, w którą się wykrzywiały i usta. Razu pewnego aż ryknął, wysłuchawszy przemowy Kuźmy o „wyszktałeniu bez nauki”, błysnął owym okiem i cisnął papierosem, który dopiero co nad pudełkiem po kilkach¹⁰⁹ nabił machorką.

— Ty ośla głowo! Co pleciesz? Pomyślałeś kiedy o tym, co oznacza to wasze „wyszktałenie bez nauki”? Śmierć Żadowskiej¹¹⁰ to właśnie jest jego symbol diabelski.

— Cóż to znowu za śmierć Żadowskiej? — zapytał Kuźma.

A Bałaszkin z wściekłością krzyknął:

— Zapomniałeś? To była poetka, bogaczka, pani, a utonęła w ustępie! Zapomnia- łeś? — I schwyciwszy z powrotem papierosa, zaczął głucho ryczeć: — Boże miłościwy! Zabili Puszkina, zabili Lermontowa¹¹¹... Utopili Pisarewa¹¹²... Powiesili Rylejewa¹¹³... Poleżajewa¹¹⁴ zabrali w żołdacy¹¹⁵... Szewczenkę¹¹⁶ na dziesięć lat do więzienia wpakowa- li... Dostojewskiego¹¹⁷ ciągnęli na rozstrzelanie... Gogol zwariował... A Kolcow, Nikitin, Rieszetnikow¹¹⁸, Pomiałowski¹¹⁹, Lewitow? O, Boże, czyż jest jeszcze gdzie na świecie taki kraj, taki naród przeklęty!

Trwożnie szarpiać guziki długopolego surduta, odpinając go i zapinając, chmurząc się i uśmiechając, zmieszany Kuźma odpowiedział:

— Czy jest taki naród? Największy naród, a nie „taki naród”, jeżeli wolno zauważyć!

— Nie masz prawa nagród rozdawać! — znów krzyknął Bałaszkin.

Literat, Rosjanin, Naród,
Śmierć

Naród, Literat, Sztuka,
Rosja, Rosjanin

¹⁰²Bielinski, Wissarion Grigorjewicz (1811–1848) — rosyjski pisarz, filozof, krytyk literacki. [przypis edytorski]

¹⁰³Gogol, Nikołaj Wasiljewicz (1809–1852) — rosyjski pisarz, poeta, dramaturg i publicysta pochodzenia ukraińskiego. [przypis edytorski]

¹⁰⁴Puszkina, Aleksandr Siergiejewicz (1799–1837) — rosyjski pisarz, główny przedstawiciel romantyzmu rosyjskiego. [przypis edytorski]

¹⁰⁵Dobrolubow, Nikołaj Aleksandrowicz (1836–1861) — rosyjski filozof, publicysta i krytyk literacki. [przypis edytorski]

¹⁰⁶Schiller, Friedrich von (1759–1805) — niemiecki poeta, filozof, historyk, estetyk, teoretyk teatru i drama- turg. [przypis edytorski]

¹⁰⁷Dym — powieść autorstwa Iwana Turgieniewa (1818–1883), opublikowana w 1867 roku. [przypis edytorski]

¹⁰⁸przyroda (daw.) — tu: natura, wrodzone cechy. [przypis edytorski]

¹⁰⁹kilka — ryba z rodziny śledziowatych, podobna do szprotki. [przypis edytorski]

¹¹⁰Żadowska, Julia Walerianowna (1824–1883) — rosyjska pisarka i poetka. [przypis edytorski]

¹¹¹Lermontow, Michaił Jurjewicz (1814–1841) — rosyjski pisarz, prozaik i dramaturg. [przypis edytorski]

¹¹²Pisarew, Dmitrij Iwanowicz (1840–1868) — rosyjski krytyk literacki i publicysta. [przypis edytorski]

¹¹³Rylejew, Kondratij Fiodorowicz (1795–1826) — rosyjski poeta, tłumacz, publicysta, działacz społeczny i po- lityczny. [przypis edytorski]

¹¹⁴Poleżajew, Aleksandr Iwanowicz (1804–1838) — rosyjski poeta. [przypis edytorski]

¹¹⁵żołdat — z ros. żołnierz; w żołdacy (zabrać): do wojska. [przypis edytorski]

¹¹⁶Szewczenko, Taras (1814–1861) — ukraiński poeta, etnograf, malarz i działacz polityczny. [przypis edytorski]

¹¹⁷Dostojewski, Fiodor Michajłowicz (1821–1881) — rosyjski pisarz i myśliciel. [przypis edytorski]

¹¹⁸Rieszetnikow, Fiodor Michajłowicz (1841–1871) — rosyjski pisarz. [przypis edytorski]

¹¹⁹Pomiałowski, Nikołaj (1835–1863) — rosyjski prozaik. [przypis edytorski]

— A właśnie, że mam! Przecież ci pisarze to są dzieci właśnie tego narodu!
— Ech, ty antychryście jeden! Żorż Sand¹²⁰ nie była gorsza przecież od naszej Żadowskiej, a nie utonęła!

— Uznany typ narodu to Płaton Karatajew¹²¹!

— Czemu nie Jeroszka¹²², czemu nie Łukaszka¹²³? Ja, bracie, jak zacznę grzebać w literaturze, to Bóg wie, co znajdę! Dlaczego Karatajew, a nie Razuwajew i Kołupajew? Dlaczegoż nie chłop-krwio pijca, nie pop-lichwiarz, nie diak sprzedajny, nie jakaś tam Sałtyczicha¹²⁴, nie Karamazow¹²⁵ z Obłomowem¹²⁶, nie Chlestakow¹²⁷ z Nozdriewem¹²⁸ albo, żeby daleko nie szukać, nie twój brat-podlec, Tiszka Krasow?

— Płaton Karatajew...

— Wszy zeżarły tego twojego Karatajewa! Nie widzę w nim ideału!

— A rosyjscy męczennicy, święci, błogosławieni, prostaczkowie, żebrzący w imię Chrystusa, a raskolniki¹²⁹?

— Co-o? A Koloseum¹³⁰, krzyżowe pochody¹³¹, wojny święte, sekty niezliczone? A ten... Jakże mu... Luter¹³²? Nie, bracie, nie gadaj. Mnie tak łatwo w kozi róg nie zapędzisz!

— To cóż według pana robić? — krzyknął Kuźma. — Zawiązać sobie oczy i uciekać aż na koniec świata?

Lecz Bałaszkin teraz nagle zgaśł. Zamknął oczy i jego olbrzymia szara twarz przybrała wyraz głębokiej, smutnej starości... Długo nad czymś rozmyślał, pochyliwszy głowę i wymamrotał w końcu:

— Co robić? Nie wiem... Jedno tylko wiem: przepadliśmy. Ostatnie, co pozostało, „Zapiski Ojczyście”¹³³. I to złapali! A tobie, durniu, potrzeba jednak tylko jednego: uczyć się...

Tak, trzeba było uczyć się. Ale gdzie, kiedy...?

Handlował w ciągu całych pięciu lat i to w czasie najlepszego okresu życia! Już sam przyjazd do miasta wydawał się szczęściem! Wypoczynek, znajomi, zapach piekarni i żelaznych dachów, bruk na targowej ulicy, herbata, bułki i perski marsz¹³⁴ w jadłodajni „Kars”¹³⁵... Podłogi w sklepikach polane wodą z czajników, ogólnie znane wołanie przepiórki, wywieszonej w klatce przed drzwiami Rudakowa, i zapach ryb na targu, kopru, romanowskiej machorki¹³⁶... Dobry a straszny uśmiech Bałaszkina na widok zbliżającego się Kuźmy, a potem rzucanie gromów i przekleństw na słowianofilów, rozmowy o Bielin-skim i obrzydliwe wymysły, bezsensowne i namiętne zarzucanie się wzajemne imionami i cytatai... A w końcu — beznadziejne wnioski. „Teraz to już naprawdę koniec —

Rosjanin

Wieś, Rosja, Rosjanin,
Kondycja ludzka, Obraz
świata

¹²⁰Żorż Sand, właśc. *George Sand* (1804–1876) — francuska pisarka. [przypis edytorski]

¹²¹Płaton Karatajew — postać fikcyjna, bohater powieści *Wojna i pokój* Lwa Tolstoja (1828–1910). [przypis edytorski]

¹²²Jeroszka — wujek Jeroszka jest jednym z głównych bohaterów noweli Lwa Tolstoja (1828–1910) *Kozacy*, opublikowanej w 1863 roku. [przypis edytorski]

¹²³Łukaszka — bohater noweli Lwa Tolstoja (1828–1910) *Kozacy*, opublikowanej w 1863 roku. [przypis edytorski]

¹²⁴Sałtyczicha a. *Daria Mikołajewna Sałtykowa* (1730–1801) — rosyjska arystokratka i seryjna morderczyni, znana z sadyzmu i okrucieństwa wobec poddanych. [przypis edytorski]

¹²⁵Karamazow — nazwisko bohaterów powieści Fiodora Dostojewskiego (1821–1881) *Bracia Karamazow*, opublikowanej w latach 1879–1880. [przypis edytorski]

¹²⁶Obłomow — tytułowy bohater powieści Iwana Gonczarowa (1812–1891) z 1859 roku. [przypis edytorski]

¹²⁷Chlestakow — bohater komedii Nikołaja Gogola (1809–1852) *Rewizor*, której prapremiera miała miejsce w 1836 roku. [przypis edytorski]

¹²⁸Nozdriew — bohater niedokończonej powieści Nikołaja Gogola (1809–1852) *Martwe dusze*. [przypis edytorski]

¹²⁹raskolniki a. *raskolnicy* — sekta religijna. [przypis tłumacza]

¹³⁰Koloseum (łac. *Colosseum*) — rzymski amfiteatr Flawiuszów, wzniesiony w latach 70–80. [przypis edytorski]

¹³¹krzyżowe pochody — chodzi tutaj o krucjaty. [przypis edytorski]

¹³²Luter, Marcin (1483–1546) — niemiecki teolog i reformator religijny, inicjator reformacji, współtwórca luteranizmu. [przypis edytorski]

¹³³„Zapiski Ojczyście” a. „Zapiski Ojczyzniane” (ros. *Отечественные записки*) — rosyjskie czasopismo naukowe, etnograficzno-geograficzne, wydawane z przerwami w latach 1818–1884. [przypis edytorski]

¹³⁴perski marsz — zapewne chodzi o *Marsz Perski*, skomponowany przez Johanna Straussa (1825–1899) w 1864 roku, podczas jego pobytu w Rosji. [przypis edytorski]

¹³⁵Kars — historyczna sieć lokali gastronomicznych w Rosji, na przykład w obwodzie lipieckim, oferujących jedzenie, napoje, a często także nocleg. [przypis edytorski]

¹³⁶romanowska machorka — tytoń uprawiany na terenach historycznej Rusi Czerwonej. [przypis edytorski]

całą parą walimy z powrotem do Azji!” huczał stary i nagle zniżając głos, oglądał się: „Słyszaleś? Sałtykow¹³⁷ umiera. Ostatni! Mówią, że otruli...”. A z rana znowu wóz, step, upał albo błoto i męczące wysiłone czytanie wśród podskoków biegnących kół... Długie wpatrywanie się w stepową dal, słodko-tęskny rytm wierszy w sercu przerywany myślami o zyskach lub sprzeczka z Tichonem... Podniecający zapach drogi, kurzu i dziegciu... Woń miętowych pierników i duszący odór kocich skór, brudnej owczej wełny, butów nasmarowanych tranem.... Rzeczywiście, lata te były wyczerpujące: zmęczenie, niezdemowowanie koszuli przez dwa tygodnie, ćpanie jedzenia na sucho, utykanie na zbitych do krwi stopach, noclegi w obcych izbach i sieniach...

Kuźma przeżegnał się szeroko, gdy na koniec wydostał się z tej kabały. Ale miał już pod trzydziestkę, zszarzał, spowazniał i stał się bardziej trzeźwy; zarzucił wiersze, przestał czytać, przyzwyczaił się do szynków, do wypitki... Przez krótki czas służył u hurtownika pod Jelcem¹³⁸, pojechał w jego interesach do Moskwy, po czym rozszedł się z nim. Dawno już miał w Woroneżu romans, stosunek z cudzą żoną — tam go więc pociągnęło. I przez dziesięć lat kręcił się po Woroneżu przy handlu zbożem, pośrednicząc i pisując w gazetach artykułiki o interesach zbożowych, szukając ulgi, a raczej zatruwając duszę pismami Tolstoja¹³⁹ oraz satyrami Szczedriny¹⁴⁰. I ciągle dręczył się upartą myślą, że sam marnieje i marnuje życie.

— Oto — mówił, wspominając te lata — co znaczy „oświata bez nauki”!

W dziewięćdziesiątym którymś roku umarł na przepuklinę Bałaszkin, a Kuźma widział go po raz ostatni niedługo przed jego śmiercią. Cóż to było za spotkanie!

— Pisać trzeba — posępnie i gniewnie skarżył się jeden. — Człowiek wędnie jak łopuch w polu...

— Tak, tak — huczał drugi, sennie zezując swym już zmartwiałym okiem, z trudem poruszając szczęką i nie trafiając machorką do papierosa. — Powiedziano: „Ucz się o każdej godzinie, myśl w każdej chwili... Patrz wokoło na wszystkie nasze biedy i ubóstwo!...”. — Potem nieśmiało uśmiechnął się i wsunął rękę za pazuchę. — O — zamruczał, grzebiąc w paczce zatartych papierków i wycinków z gazet — O, tu, bracie, masz całą furę dobrego... Wielki był wtedy głód, niech go diabli! A ja tylko o wszystkich czytałem i zapisywałem... Jak umrę, cały ten diabelski materiał przyda się tobie. Szkorbut i tyfus, tyfus i szkorbut... W jednym powieście wszystkie dzieciaki pomarły, w drugim zjedzono wszystkie psy... Bóg mi świadkiem, nie kłamie! Czekał, ja ci tu zaraz znajdę... — Ale grzebał, grzebał i niczego nie znalazł, zaczął szukać okularów, z niepokojem szperać po kieszeniach, zaglądać pod stojak, aż zmęczył się i machnął ręką; a machnąwszy, zasępił się i pokiwał głową. — Ale nie, nie, tego nie waź się póki co ruszać. Ty jesteś jeszcze nieuk bezrozumny. A napisałeś już na temat, który ci dałem, o tym Suchonosym? Jeszcześ nie napisał? No, i okazuje się, żeś osioł. A jaki to doskonały temat!

— Trzeba by było napisać coś o wsi, o ludzie — powiedział Kuźma. — Przecież sam pan mówi: „Rosja, Rosja...”.

— A Suchonosy to nie lud, nie Rosja? Zapamiętaj sobie dobrze: *cała Rosja, to jedna wieś!* Popatrz no dookoła: Cóż to jest? Może miasto według ciebie? Bydło pędzi co wieczora po ulicy, kurz taki, że sąsiada nie widać... A ty mówisz: „miasto”! Ech, ty bałwanie bez mózgu, choćby ci kolki na łbie ciosali, to i tak nic nigdy nie napiszesz...

Jasno i dokładnie zrozumiał wówczas Kuźma, że Bałaszkin powiedział świętą prawdę: nie sążone mu pisać. Ot, choćby i Suchonosy... Przez wiele lat nie wychodził mu z głowy ten obrzydliwy starzec ze Słobody. Cały jego majątek składał się z zapluskwionego sieniaka i zjedzonej przez mole salopy¹⁴¹, odziedziczonej po żonie. Żebrał, chorował, przymierał głodem i za pół rubla miesięcznie gnieździł się w kącie u przekupki, handlującej

Literat

Rosja, Rosjanin, Wieś, Lud

Literat, Klęska

¹³⁷ Sałtykow-Szczedrin, Michaił Jewgrafowicz (1826–1889) — rosyjski pisarz, satyryk i publicysta. [przypis edytorski]

¹³⁸ Jelec — miasto w środkowej Rosji, w obwodzie lipieckim. [przypis edytorski]

¹³⁹ Tolstoj, Lew Nikolajewicz (1828–1910) — rosyjski powieściopisarz, dramaturg, krytyk literacki, filozof i pedagog. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ Sałtykow-Szczedrin, Michaił Jewgrafowicz (1826–1889) — rosyjski pisarz, satyryk i publicysta. [przypis edytorski]

¹⁴¹ salopa — damska peleryna podszyta futrem. [przypis edytorski]

wiktuałami, która twierdziła, że mógłby doskonale poprawić swoje stosunki materialne sprzedaż owego dziedzictwa. Lecz stary ceniał je niby żrenicę oka, zresztą nie z uczucia dla nieboszczki, lecz dlatego, że dawało mu ono poczucie posiadania czegoś na własność w przeciwieństwie do innych. Wydawało mu się, że jego mienie jest diabelnie drogocenne: „Teraz takich salop wcale już nie ma!”. Co prawda stary nie był od tego¹⁴², aby ową salopę sprzedać, ale żądał za nią takich bezsensownych sum, że wprowadzał reflektantów¹⁴³ w osłupienie... Kuźma doskonale rozumiał tę słobodską tragedię. Lecz gdy tylko zaczął myśleć, w jaki sposób ją opisać, zaczynał natychmiast żyć całym skomplikowanym życiem tamtejszym, wspomnieniami dzieciństwa, młodości... I gubił wątek... Zatapiał wówczas Suchonosego w mnóstwie obrazów, osaczających jego wyobraźnię, opuszczał ręce, przybity potrzebą wypowiedzenia swej własnej duszy, wyjaśnienia wszystkiego, co wykolejało jego własne życie. A najstraszniejsze było to, że owo tak zwykle i codzienne życie z niepojętą szybkością rozpraszało się na drobiazgi... Zresztą Kuźma pisać nie potrafił: przecież nawet myśleć nie umiał długo i prawidłowo, a zasiadłszy do pisania, męczył się jak szczeniak na kłującej słomie... Przedśmiertna przepowiednia Bałaszki podzialała na niego trzeźwiąco: nie pora teraz na opowiadki! I wówczas po raz pierwszy błysnęła mu myśl napisania *Wyników*, surowego i bezlitosnego epitafium na grób własny — i Rosji.

Od tej pory minęło jednak dalszych dwanaście bezpłodnych lat. Kuźma nadal zajmował się maklerstwem w Woroneżu, a potem, gdy kobieta, z którą żył, umarła w połogowej gorączce, pośredniczył w Jelcu, był subiektem w mydlarni w Lipiecku¹⁴⁴ i pisarzem w kantorze Kasatkina. Życie płynęło równo, w pracy, w codziennych kłopotach, aż póki dorywcze popijanie nie przeszło jakoś raptownie w nałogowe picie. Przez pewien czas Kuźma był gorącym zwolennikiem Tolstoja: przeszło rok nie palił, nie brał do ust wódki, nie jadł mięsa, nie rozstawał się ze *Spowiedzią*¹⁴⁵ i z *Ewangelią*...¹⁴⁶ chciał się przenieść na Kaukaz¹⁴⁷, do duchoborców¹⁴⁸... Aż pewnego razu kazano mu pojechać w interesach do Kijowa. I wybrawszy się tam, poczuł nagle radość niemal bolesną, jakby go niespodzianie po długiej niewoli wypuszczono na wolność. Był pogodny koniec września i wszystko wydawało się tak lekkie i piękne: i czyste powietrze, i niezbyt palące słońce, i bieg pociągu, i otwarte okna, i migające za nimi rozkwiecione lasy... Nagle na przystanku w Nieżynie¹⁴⁹ Kuźma ujrzał wielkie zbiegowisko przy drzwiach dworca. Tłum otaczał kogoś, krzyczał, denerwował się i burzył. Kuźmie zabiło serce i szybko pobiegł w tłok. Przepchawszy się przez tłum, zobaczył czerwoną czapkę naczelnika stacji, białą kołpak¹⁵⁰ kucharza, podobnego do hetmana, i szary płaszcz rosłego żandarma, który gromił trzech pokornie lecz niewzruszenie stojących przed nim ukraińskich chłopów w krótkich, grubych świtkach¹⁵¹, w mocnych butach i w brązowych barankowych czapkach. Czapki te ledwo się trzymały na czymś po prostu strasznym — były to okrągłe głowy, obwiązane gazą aż sztywną od zaschłej surowicy; poniżej widać było zapuchnięte oczy na obrzękłych, szklistych twarzach, pokrytych zielono-żółtymi krwistymi siniakami i zaskorupiałymi poczerniałymi ranami: chłopcy byli pokąsani przez wściekłego wilka i zostali wysłani do lecznicy w Kijowie, a prawie na każdej większej stacji siedzieli przez dobę bez chleba i bez grosza. Dowiedziawszy się, że nie puszczają ich teraz tylko dlatego, iż pociąg nazywa się „pośpieszny”, Kuźma wpadł nagle we wściekłość i wśród potakujących okrzyków Żydów z tłumu zaczął wrzeszczeć i tupać nogami na żandarma. Zatrzymano go, spisano protokół i wówczas, czekając na następny pociąg, Kuźma po raz pierwszy upił się do nieprzytomności.

Praca, Alkohol, Pijaństwo

Chłop, Pozycja społeczna,
Kondycja ludzka, Choroba

¹⁴²nie był od tego (daw.) — nie był przeciwny temu; był skłonny. [przypis edytorski]

¹⁴³reflektant — osoba, która na coś reflektuje, ubiega się o coś; chętny, zainteresowany. [przypis edytorski]

¹⁴⁴Lipieck (ros. Липецк) — miasto obwodowe w Rosji, nad Woroneżem. [przypis edytorski]

¹⁴⁵Spowiedź — krótka rozprawa Lwa Tolstoja (1828–1910), napisana w latach 1879–1880. [przypis edytorski]

¹⁴⁶Ewangelia w skrócie — synteza czterech Ewangelii biblijnych, napisana przez Lwa Tolstoja (1828–1910) ok. 1890 roku. [przypis edytorski]

¹⁴⁷Kaukaz — pograniczny górski region Europy i Azji, położony pomiędzy morzami Czarnym i Kaspijskim. [przypis edytorski]

¹⁴⁸duchoborcy — sekta religijna w Kościele prawosławnym. [przypis tłumacza]

¹⁴⁹Neżyn — miasto na północy Ukrainy, w obwodzie czernihowskim. [przypis edytorski]

¹⁵⁰kolpak — stożkowate nakrycie głowy. [przypis edytorski]

¹⁵¹switka (z ukr.) — wierzchnia odzież wiejska z grubego materiału; siermięga. [przypis edytorski]

Pokąsani chłopci pochodzili z czernihowskiej guberni¹⁵². Kuźma wyobrażał ją sobie zawsze jako kraj zapadły, o mętnej, pochmurnej siności nad lasami. Ludzie, którzy przeżyli walkę z wściekłym zwierzęciem, przypomnieli mu czasy Włodzimierza¹⁵³ i dawne życie w borach. Pijąc, nalewając kieliszki rękami drżącymi po awanturze, Kuźma zachwycał się: „Ach to były czasy!”. Niemal dławiał się złością na żandarma i na owo pokorne bydlę w świtkach. Tępe to, psiakrew, dzikie... Ale Ruś¹⁵⁴, starodawna Ruś! I lży pijanej radości i siły, wyolbrzymiające każdy obraz do nadnaturalnych rozmiarów, przesłaniały mu oczy. „A niesprzeciwianie się złu?” przypominał sobie chwilami i uśmiechając się, kiwał głową. Odwrócony do niego plecami, jadł obiad przy ogólnym stole młodzieńców, czystutki oficer. I Kuźma pieszczotliwie a beczelnie spoglądał na jego białą bluzę, tak krótką i z tak wysokim stanem, że brała ochota podejść, żeby ją obciągnąć. „Właśnie, że podejść!”, myślał Kuźma. „A jakby się zerwał i krzyknął, dam w mordę! To będzie dopiero niesprzeciwianie się...”. Po czym, przyjechawszy do Kijowa i machnąwszy ręką na interesy, podchmielony i radośnie podniecony chodził przez trzy dni po mieście i po urwiskach nad Dnieprem¹⁵⁵. Na nabożeństwie w Sofijskim soborze¹⁵⁶ nie jeden ze zdziwieniem patrzył na tego chudego i szerokiego kacapa¹⁵⁷, stojącego przed sarkofagiem Jarosława¹⁵⁸. Ubrany był schludnie, w rękę trzymał nową czapkę, stał przyzwoicie, ale wygląd miał dziwny. Nabożeństwo się kończyło, ludzie wychodzili i otwierali drzwi, stróża gasili świece, z górnych okien wpadały w błękitny dym złote pasma gorącego południowego słońca, a on, zacisnąwszy zęby i opuściwszy na piersi rzadką, siwiejącą brodę, przymknąwszy z męczeńsko szczęśliwym wyrazem głęboko zapadłe oczy, słuchał dzwonu huczącego śpiewnie i głucho nad soborem, starożytnego dzwonu, którego dźwięk odprowadzał może niegdyś wyruszających na Pieczyngów¹⁵⁹. A przed wieczorem widziano Kuźmę w Ławrze¹⁶⁰. Siedział naprzeciwko wejścia pod usychającą akacją, obok chłopca-kaleki, patrząc z niewyraźnym i smutnym uśmieszkiem na białe ściany i ogrodzenie, na złoto niewielkich kopuł, odcinających się od czystego jesiennego nieba. Chłopak był bez czapki, z parcianą torbą przez ramię, w brudnych łachmanach na wychudzonym ciele; w jednej ręce trzymał drewnianą miseczkę z kopiejką na dnie, a drugą wciąż przekładał, niby obcą rzecz, swą potworną, do kolana obnażoną prawą nogę, zwiotczałą, nienaturalnie cienką, opaloną na czarno i porośłą złotawym włosem. Nikogo nie było dookoła, ale chłopak, sennie i męczeńsko odrzuciwszy w tył głowę ostrzyżoną i szczeciniastą od słońca i kurzu, ukazując cienkie dziecięce obojczyki, nie zwracając uwagi na muchy, obsiadające mu smarki, wyciągał bez przerwy:

Ach, popatrzcie, mamuńcie,
Jakie my nieszczęsne, cierpiące!
Ach, nie daj Boże, mamuńcie,
Takim cierpiącym być!

I Kuźma potakiwał mu:

— Tak, tak, racja!

Przemógłszy okres pijaństwa i usatkwawszy się, poczuł się stary. Od pobytu w Kijowie minęły trzy lata. Przez ten czas dokonało się w nim bezsprzecznie coś bardzo ważnego.

¹⁵²*gubernia czernihowska* — dawniej gubernia Imperium Rosyjskiego, leżąca na terenie Ukrainy Lewobrzeżnej. [przypis edytorski]

¹⁵³*Włodzimierz* (ok. 958–1015) — prawdopodobnie chodzi o Włodzimierza I Wielkiego, świętego kościoła prawosławnego i katolickiego, władcę Rusi Kijowskiej, który wprowadził tam chrześcijaństwo. [przypis edytorski]

¹⁵⁴*Ruś* — historyczna nazwa ziem wschodniosłowiańskich, na których powstały współczesne państwa Ukrainy, Białorusi oraz Rosji. [przypis edytorski]

¹⁵⁵*Dniepr* — rzeka płynąca przez Rosję, Białoruś i Ukrainę. [przypis edytorski]

¹⁵⁶*Sofijski sobór* — sobór św. Zofii w Kijowie to XI-wieczna katedra, jeden z najważniejszych zabytków Ukrainy i arcydzieło architektury bizantyjskiej. [przypis edytorski]

¹⁵⁷*kacapa* — pogardliwe określenie Rosjanina. [przypis edytorski]

¹⁵⁸*sarkofag Jarosława* — chodzi o grobowiec Jarosława Mądrego (978–1054), wielkiego księcia Rusi Kijowskiej, znajdujący się w kijowskim soborze św. Zofii. [przypis edytorski]

¹⁵⁹*Pieczyngowie* — związek kilku plemion koczowniczych, które wyemigrowały z Azji Środkowej i w VIII–IX wieku osiedliły się między dolnym biegiem Wołgi a rzeką Ural. [przypis edytorski]

¹⁶⁰*Ławra Peczerska* — średniowieczny klasztor prawosławny klasztor w Kijowie, jedno z największych chrześcijańskich centrów na Ukrainie. [przypis edytorski]

Przemiana, Literat, Praca,
Pozycja społeczna, Kondycja
ludzka, Pijaństwo, Upadek,
Książka

W jaki sposób to się stało, tego nawet on sam nie usiłował objaśnić. I życie jego własne, i życie ogółu było zbyt niezwykle w owych latach. Jeszcze w Kijowie zrozumiał, oczywiście, że u Kasatkina długo się nie utrzyma i że czeka go w przyszłości nędza i utrata godności człowieczej. I tak się też stało. Podpisano z nim jeszcze dwukrotnie umowę, ale przeżył ten czas w ciężkim i hańbiącym położeniu: wiecznie na wpół pijany, niechlujny, ochrypliwy, na wskroś przesiąknięty machorką, z wysiłkiem ukrywający swoją niezdarność do interesu... Potem upadł jeszcze niżej, wrócił do rodzinnego miasta i żył za ostatnie grosze; przez całą zimę nocował w ogólnym numerze¹⁶¹ w zajeździe Chodowa, a dnie zabijał w szynku Awdeicza na Babim Rynku. Z groszy tych dużo poszło na głupie przedsięwzięcie — na wydanie tomu poezji; a potem trzeba się było kręcić wśród gości Awdeicza i narzucać im książkę za pół ceny... Nie dość na tym: razu pewnego o mało nie został błaznem. W mroźny słoneczny ranek stał na targu przy sklepach z mąką i patrzył na włóczęgę, strojącego miny przed kupcem Mozzuchinem, który wyszedł na próg. Mozzuchin sennie drwiący, podobny do odbicia w samowarze, zajęty był raczej kotem, który lizał jego wyczyszczony but. Ale włóczęga nie dawał za wygraną. Uderzywszy się kulakiem w pierś, zaczął chrypliwie deklamować, unosząc ramiona:

„Kto pije po pijaństwie¹⁶²,
Ten mądrze sobie żyje...”

I Kuźma, błyskając zapuchniętymi oczami, nagle podchwycił:

„Niech żyje nam wesołość
I wódka niechaj żyje!”

A przechodząca staruszka, podobna do starej lwicy, zatrzymała się, spode łba popatrzyła na niego i, podniósłszy kij, rzekła dobitnie i gniewnie:

— Ale modlitwy na pewno tak nie umiesz!

Niżej już upaść nie można było. Ale to go właśnie uratowało. Przeszedłszy kilka strasznych ataków sercowych, Kuźma raptownie przestał pić, nieodwołalnie postanowiwszy rozpocząć zwyczajne pracowite życie — na przykład, wydzierżawić sad, ogród warzywny albo kupić gdzieś w rodzinnym powiecie pasiekę, jako że zostało mu jeszcze z półtorej setki...

Myśl ta początkowo go cieszyła. „Tak, to będzie świetnie”, rozważał z owym smętnie ironicznym uśmieszkiem, który sobie przyswoił od tak niedawna. „Pora do domu!”. Rzeczywiście, odpoczynek był mu potrzebny. Wprawdzie ta ogromna rozterka i w nim, i dokoła niego zaczęła się niedawno, ale zdążyła już dokonać swego. Kuźma nie był tym, kim był dawniej: bródka posiwała mu do reszty, włosy, kręjące się na końcach i rozczesane na przedział pośrodku głowy, zrzedły i przybrały kolor żelaza, a grubokoścista twarz ściemniała i jeszcze bardziej schudła. Wyostrzyła się też spostrzegawczość i rozwinął sceptycyzm, a dusza wysubtelniała i stała się chorobliwie wrażliwa, choć Kuźma umiał to ukryć pod poważnym, a niekiedy nawet twardym spojrzeniem swych maleńkich oczu pod lekko skrzywionymi brwiami. Wziął się w garść, zaczął mniej myśleć o sobie, a więcej o otoczeniu... Ale pragnął jednak wrócić „do domu”, odpocząć, popracować według chęci.

Przemiana

Z wiosną, na kilka miesięcy przed zawarciem pokoju z Tichonem, Kuźma dowiedział się, że jest do wydzierżawienia sad w Kszakowie, wsi w rodzinnym powiecie i udał się tam czym prędzej. Kąt to był zapadły, w pobliżu gniazda Krasowów, o glebie czarnej i tłustej.

Nadszedł początek maja; po wczesnych upałach powróciły chłody i deszcze, nad miastem ciągnęły jesienne mroczne chmury. Kuźma w starej kapocie i starej czapce, bez kaloszy, w samych tylko zdeptanych butach z niewyprawionej skóry szedł na dworzec za Puskarną Słobodą¹⁶³ i, kiwając głową, krzywiąc się od dymu utrzymanego w zębach

Wieś, Wiosna

¹⁶¹numer — tu: pokój gościnny; pokój hotelowy. [przypis edytorski]

¹⁶²pije po pijaństwie — w znaczeniu: na kacu. [przypis edytorski]

¹⁶³Puskarna Słoboda — wieś w rejonie siewskim obwodu briańskiego. [przypis edytorski]

papierosa, założwszy ręce za plecy pod kapotą, uśmiechał się: minął go właśnie biegnący naprzeciw bosonogi chłopak ze stosem gazet. Nie zatrzymując się, wykrzyknął spowszedniałe już zdanie:

— Strejk generalny!

— Spóźniłeś się, mały — powiedział Kuźma. — Nie masz tam czegoś nowszego?

Chłopak przystanął, błysnąwszy oczami.

— Nowy stójkowy odebrał na dworcu — odpowiedział.

— Piękna konstytucja! — jadowicie wyrzekł Kuźma i poszedł dalej, skacząc po błocie obok ściemniających od deszczu, zgniłych płotów, przemykając się pod gałęziami moknących ogrodów i pod oknami krzywych lepiarek, stojących przy górze, prowadzącej do końca miejskiej ulicy. „Oj, ludzie, ludzie — cuda w tej budzie!” — myślał, omijając kałuże. Dawniej w taką pogodę siedziano i ziewano po sklepikach, po szynkach, z rzadka bąkając jakieś słówko. Dzisiaj całe miasto gada o Dumie¹⁶⁴, o buntach, o pożarach, o tym jak „Muromcew¹⁶⁵ wygarnął primjerowi”. Ale niedługo już tego! Zmieknie im rura! W miejskim ogrodzie grają teraz żandarmi... Kozaków przysłali całą sotnię¹⁶⁶... A przed trzema dniami na ulicy Targowej¹⁶⁷ jeden z nich, pijany, podszedł do otwartego okna publicznej biblioteki i, rozpiąwszy spodnie, zaproponował panience-bibliotekarce, aby kupiła sobie „arychmetykę”. Stojący obok staruszek-dorożkarz zaczął mu robić wymówki, a wówczas kozak wyciągnął szablę, porąbał mu ramię i klnąc ordynarnie, rzucił się za przechodniami, uciekającymi gdzie oczy poniosą i oszalałymi ze strachu...

— Hycel, hycel, z kota ma sznycel! — zapiszczały za przechodzącym Kuźmą cienkimi głosikami dziewczynki, skaczące po kamykach płytkiego miejskiego strumienia. — Koty obdzierają, a jemu łapy dają!

— Tfu, parszywe! — syknął idący przed Kuźmą konduktor w straszliwie ciężkim płaszczu i zamachnął się na nie żelaznym pudłem. — Ot, żadnego poszanowania dla starszych!

Ale po głosie można było poznać, że ledwo powstrzymuje śmiech. Stare jego śniegowce całe oblepione były zaschłym błotem, a patka płaszcza wisiała na jednym guziku. Drewniany mostek, po którym szedł, leżał krzywo. Dalej, nad rowami opłukanymi wiosenną wodą, rosły mizerne łozy. Kuźma wesoło popatrzył i na nie, i na słomiane strzechy, rozsiadłe na słobodskiej górze, i na sinawe, dymne chmury nad nimi, i na rudego psa ogryzającego kość w rowie. Na dnie rowu przykucnął mieszczanin w kamizelce wdzianej na perkalową koszulę i z zażenowanym, bezmyślnym uśmiechem wybałuszzył oczy, które aż białały w twarzy zaczerwienionej z wysiłku. Kiedy Kuźma zrównał się z nim, człowiek skulony w rowie powiedział, aby ukryć zażenowanie:

— To na pana tak te smarkate mówiły? Te czorty od dzieciństwa przywykają do paskudnych słów!

— Sami ich tego uczycie — zasępiwszy się, odrzekł Kuźma.

„Tak, tak”, myślał idąc pod górę, „niedługo już tego!”. Wyszedłszy na wzgórze, odetchnął wilgotnym polnym wiatrem i ujrzawszy czerwone stacyjne budynki pośród pustych, zielonych pól, znowu się uśmiechnął. Parlament! Posłowie! A wczoraj było tak: wrócił właśnie z parku, gdzie z okazji święta odbywała się iluminacja, strzelały rakiety i orkiestra grała *Torreadora*¹⁶⁸, *Obok rzeczki, obok mostku*¹⁶⁹, *maxixe*¹⁷⁰ i *trojkę*¹⁷¹, wykrzykując: „He-ej, miła-a!”; wrócił więc i zaczął dzwonić do bramy swego zajazdu. Szarpie, szarpie za brzęczący drut — i nic. Nikogo nie ma. A wokoło cisza, zmierzch, w końcu

Polityka, Społeczeństwo

Święto

¹⁶⁴Duma — tu: niższa izba parlamentu Imperium Rosyjskiego. [przypis edytorski]

¹⁶⁵Muromcew, Siergiej Andriejewicz (1850–1910) — rosyjski prawnik, jeden z twórców rosyjskiego prawa konstytucyjnego, socjolog, publicysta i działacz polityczny, przewodniczący Pierwszej Dumy Państwowej. [przypis edytorski]

¹⁶⁶sotnia — pododdział wojska liczący setkę żołnierzy. [przypis edytorski]

¹⁶⁷Targowa — tu: historyczna ulica w Moskwie. [przypis edytorski]

¹⁶⁸Torreador — chodzi zapewne o *Pieśń Torreadora* z opery *Carmen*, skomponowanej przez Georges’a Bizeta (1838–1875). [przypis edytorski]

¹⁶⁹Obok rzeczki, obok mostku — rosyjska pieśń ludowa. [przypis edytorski]

¹⁷⁰maxixe — brazylijski taniec powstały w latach 70. XIX wieku, zwany też „brazylijskim tangiem”. [przypis edytorski]

¹⁷¹trojka — tu: popularny w Rosji muzyczny utwór ludowy, przeważnie instrumentalny, nawiązujący poprzez rytm dzwonek do tradycyjnego trójkonnego zaprzęgu. [przypis edytorski]

ulicy za placem widać na zachodzie zielonkawę, chłodne niebo, a nad głową — chmury... Wreszcie kuszytka ktoś za bramą, stęka, hałasuje kluczami i mruczy:

- Gire me przetrącił.
- Kto? — zapytał Kuźma.
- A kuń — odrzekł stróż i otwierając furtkę, dodał: — No, tera tylko dwóch zostało.
- Niby tych z sądu, co?
- A z sądu.
- Nie wiesz czasem, po co sąd przyjechał?
- Sądzić posła... Mówią, że chciał wodę w rzece zatruci.
- Posel? Durniu, czyż posłowie zajmują się takimi rzeczami?
- A cholera ich tam wi...

Na krańcu slobody¹⁷², u progu glinianej lepianki stał wysoki starzec w rozdeptanych, starych butach. W rękę trzymał długi, orzechowy kij i ujrawszy nadchodzącego, pośpiesznie schwycił kij w obie ręce, uniosł ramiona, nadał twarzy zmęczony i smutny wyraz i udał, że jest o wiele starszy niż w rzeczywistości. Wilgotny, zimny wiatr, dmący z pola, targał kosmyki jego siwych włosów. I Kuźma przypomniał sobie ojca, dzieciństwo... „Rosjo, Rosjo! Do czego dążysz?”¹⁷³, przyszedł mu do głowy okrzyk Gogola. Rosjo, Rosjo! Ach gaduły, śmierci na was nie ma! A najlepsze, że „poseł chciał rzekę zatruci”! Tak, ale do kogo o to można mieć żal? Nieszczęsny lud, przede wszystkim nieszczęsny!... I nagle, jak się to często zdarzało w ostatnich czasach, łzy napłynęły do malutkich, zielonkawych oczu Kuźmy. Niedawno wstąpił był do szynku Awdeicza na Babim Rynku. Wszedł na podwórze, tonąc po kostki w błocie, a z podwórza wlaź na piętro, na „szlachecką stronę”; wlaź po takich śmierdzących, zupełnie przegniłych, drewnianych schodach, że nawet jemu, człowiekowi, który niejedno już widział, zrobiło się niedobrze. Z trudem otworzył ciężkie, zatłuszczone drzwi, obite — zamiast uszczelniającego wálka — resztkami wojłoku i podartymi szmatami (drzwi były z blokiem sporządzonym ze sznurka i cegły). Otworzył je, oślepl od czadu, dymu, światła blaszanych reflektorów przy ściennych lampkach i ogłuchł od łoskotu naczyń za szynkwasem¹⁷⁴, od gwaru rozmów, od tupotu usługujących, którzy pędzili we wszystkie strony, i od nosowego ryku gramofonu. Potem przeszedł do dalszego pokoju, gdzie było mniej ludzi, usiadł przy stoliku, zamówił butelkę miodu... Pod nogami, na zdeptanej i oplutej podłodze, leżały plasterki wyssanej cytryny, skorupy po jajkach i niedopałki... A pod przeciwległą ścianą siedział wysoki chłop w łapciach i kręcąc kosmatą głową, z błogim uśmiechem przysłuchiwał się wrzaskom gramofonu. Na stoliku miał ćwiartkę wódki, kieliszek i obwarzanki, lecz nie pił i tylko kręcąc głową, patrzył na swoje łapcie; nagle, czując na sobie spojrzenie Kuźmy, rozszerzył wesoło oczy i podniósł przedziwnie dobrą twarz o rudej, falującej brodzie. „To dopiero trafilem!”, wykrzyknął radośnie, jakby zdumiony. I pośpiesznie dodał, niby się tłumacząc: „Ja, widzi pan, mam tu brata... Służy tutaj... Rodzony brat...” I, strząchnąwszy łzy, Kuźma aż zęby zacisnął. Tfu, przeklęci, do jakiego stopnia podeptali, przygnietli naród!, „Dobrze trafił”! Do Awdeicza „dobrze trafił”! Mało tego: gdy Kuźma, wstając, powiedział: „No, do widzenia!” — chłop również pośpiesznie zerwał się i pod wpływem radości przepełniającej mu serce, z głęboką wdzięcznością za światło, za „przepych” otoczenia i za to, że z nim po ludzku ktoś pogadał, prędko powiedział: „Pokornie przepraszam...”.

Rosja, Kondycja ludzka,
Chłop, Wiesz, Lud, Bieda,
Brod

Dawniej w wagonach mówiono tylko o deszczu, o suszy, o tym, że „ceny na zboże sam Bóg ustanawia”. Obecnie w wielu rękach szeleściły gazety, a mówiono teraz o Dumie, o swobodzie, o podziale ziemi — i nikt nawet nie dostrzegał ulewy dudniącej po dachach, choć wszyscy pasażerowie, kupcy zbożem, chłopci i mieszkańcy podmiejskich chutorów¹⁷⁵ pragnęli wiosennych deszczów. Przeszedł młody, beznogi żołnierz o czarnych, smutnych

Polityka, Wolność

¹⁷²sloboda (daw.) — osada. [przypis edytorski]

¹⁷³Rosjo, Rosjo! Do czego dążysz? — cytat z utworu *Martwe dusze* autorstwa Nikołaja Gogola (1809–1852). [przypis edytorski]

¹⁷⁴szynkwasy (daw.) — bufet, lada w karczmie lub tawernie. [przypis edytorski]

¹⁷⁵chutor — odosobniona niewielka osada w Rosji lub na Ukrainie. [przypis edytorski]

oczach. Szedł w żółtym szynelu¹⁷⁶, kusztykając, postukując kulą, zdejmując mandżurską papachę¹⁷⁷ i, jak żebrak, robiąc znak krzyża przy każdym otrzymywanym datku. Nagle wybuchł głośny, oburzony gwar rozmów o rządzie, o ministrze Durnowo i o jakimś skarbowym owsie... Wyśmiewano to, czym się poprzednio naiwnie zachwycano: wspomniano, jak „Witia”¹⁷⁸ kazał pakować swe kufry, żeby nastraszyć Japończyków w Portsmouth¹⁷⁹... Siedzący naprzeciw Kuźmy młody człowiek ostrzyżony na jeża zaczerwienił się wzburzony i pośpiesznie wmieszał się do rozmowy:

— Pozwólcie, panowie! Mówicie: „wolność...”. Ja, na przykład, służę za pisarza u inspektora podatkowego i od czasu do czasu posyłam artykułiki do stołecznych gazet... Cóż jego to obchodzi? Zawsze zapewniał, że także jest za wolnością, a kiedy się dowiedział, że napisałem o nienormalnym stanie naszego pożarnictwa, zawołał mnie i powiada: „Jeżeli ty jeszcze raz, sukinsynie, napiszesz taką rzecz, to ci łeb urwę!”. Przepraszam, ale jeżeli ja mam poglądy bardziej lewicowe niż on...?

— Poglądy? — krzyknął nagle altem karła siedzący obok sąsiad młodzieńca, gruby skopiec¹⁸⁰ w butach z wywróconymi cholewkami, mączarz¹⁸¹ Czerniajew, przez cały czas przypatrujący mu się z ukosa świńskimi oczkami, i nie dając mu oprzytomnieć, zawył: — Poglądy?! To niby ty masz poglądy? To niby ty jesteś tym lewicowcem? Przecież ja ciebie bez portek jeszcze widywałem! Przecież z głodu zdychałeś jak twój żebraczyna ojciec! Tyś inspektorowi nogi powinien myć, a tę wodę pić!

— Kon-sty-tu-u-cja! — zaśpiewał Kuźma cienkim głosem, przerywając skopcowi i podniósłszy się z miejsca, potrącając kolana siedzących, poszedł do drzwi wagonu.

Skopiec miał stopy małeńkie, tłuste i wstrętne jak nogi starej klucznicy, twarz — także babską, dużą, żółtą, mięsistą, jakby gumową, i cienkie wargi... A dobry sobie także i ten Połozow, nauczyciel progimnazjum, który tak uprzejmie kiwał głową, słuchając skopca i opierając się na lasce! Był to człowiek lat trzydziestu, krępy, wypiełgnowany, w trzewikach, których cholewki wsunął pod szare spodnie, w szarym kapeluszu i w szarej narzutce; oczy miał jasne, nos okrągły i wspaniałą rosyjską brodę, rozkładającą mu się szeroko na piersiach. Przecież to nauczyciel, a na wskazującym palcu nosi ciężki złoty sygnet! I domek już swój ma: posąg, wzięty z córką popa... Stopy także ma niewielkie, ręce — krótkie, palce — jak serdelki; czyścioszek i pedancik taki, że trudno o większego; chodzi co dzień do kąpieli, a mówią, że ścierwo! Niech Bóg broni! Nie, jednak chłopci i mieszczanie nie pasują do takich ludzi! I otworzywszy drzwi na platformę wagonu, Kuźma głęboko odetchnął zimną i pachnącą świeżością deszczu. Ulewa głucho szumiała po dachu platformy, z którego płynęły strumienie, opryskując Kuźmę. Po wyjeździe z miasta upajał zapach niw, zmieszany z podniecającym wyziewem dymu z lokomotywy. Wagony, kołysząc się, huczały wśród szumiącego deszczu, druty telegraficzne, opuszczając się i podnosząc, płynęły naprzeciw, po bokach biegingęte, jasnozielone krzaki leszczyny. Spod nasypu wyskoczyła nagle gromadka chłopaków, krzycząc coś dźwięcznym chórem; Kuźma roześmiał się z zadowoleniem i cała twarz pokryła mu się drobnymi zmarszczkami. Podniósłszy oczy, zobaczył na przeciwległej platformie pielgrzymę; jego chłopska twarz była dobra i zmęczona, brodę miał siwą, kapelusz — szerokoskrzydły, palto kortowe¹⁸² przewiązane sznurkiem, worek i blaszany czajnik na plecach, a na chudych nogach — łapcie. On się również uśmiechał i Kuźma zawołał do niego poprzez huk i szum:

— Jak się nazywasz, dziadku?

— Anton... Anton Bezpałyk — z miłą usługą odpowiedział słabym krzykiem starzec.

— Z pielgrzymki?

— Z Woroneża..

¹⁷⁶szynel — ciepły, dopasowany płaszcz, charakterystyczny dla rosyjskiego umundurowania. [przypis edytorski]

¹⁷⁷papacha — męska czapka, popularna na Kaukazie i wśród Kozaków. [przypis edytorski]

¹⁷⁸Witia, właśc. Siergiej Juljewicz Witte (1849–1915) — rosyjski polityk, minister finansów Rosji w latach 1892–1903, premier Rosji w latach 1905–1906. [przypis edytorski]

¹⁷⁹Portsmouth — miasto i dystrykt w pld. Anglii, w hrabstwie Hampshire; opisana sytuacja dotyczy traktatu pokojowego pomiędzy Japonią a Imperium Rosyjskim, zawartego tam w 1905 roku. [przypis edytorski]

¹⁸⁰skopiec — członek sekty religijnej. [przypis tłumacza]

¹⁸¹mączarz (daw.) — kupiec handlujący mąką i kaszą. [przypis edytorski]

¹⁸²kortowy — zrobiony z kortu, rodzaju sukna lub tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

Nauczyciel

Podróż, Deszcz

- A palą tam dwory?
- Palą...
- To świetnie!
- Co?
- Świetnie, mówię! — krzyknął Kuźma.

I odwróciwszy się, strząsając napływające łzy, zaczął drżącymi rękami skręcać papierosa... Ale myśli poplątały mu się znowu. „Więc pielgrzym — to lud, a skopiec i nauczyciel — nie lud? Niewolnictwo znieśli dopiero czterdzieści lat temu, zatem czego żądać od takiego ludu? Tak, ale kto winien? Ten sam lud! Rosja — pod jarzmem rosyjskim, rozmaici bracia¹⁸³ — pod tureckim, Haliczanie¹⁸⁴ — pod austriackim, o Polakach lepiej nie mówić!... Piękna ta wielka słowiańska rodzinka!”. I twarz Kuźmy znowu pociemniała i sposępniała. Zezując dookoła, zaczął przebierać palcami, wyłamywać je i trzaskać stawami.

Lud

Na czwartej stacji wysiadł z pociągu i najął wózek. Chłopi dorożkarze zażądali z początku siedem rubli (do Kazakowa było dwanaście wiorst), a potem pięć i pół. Na koniec jeden powiedział: „Dasz trzy — pojedę, a nie — szkoda gadania. Teraz nie takie czasy...”. Ale nie utrzymał się w tonie, dodał zwykle zdanie: „Do tego jeszcze pasza droga” i pojechał za półtora rubla. Błoto było nie do przebycia, wóz — malutki i rozklekotany, szkapina — słabiutka, o długich, oślich uszach. Z wolna wyjechali sprzed stacji i chłop, siedzący na koźle, zaczął się niecierpliwić, szarpiąc sznurkowe lejce, jakby chciał całą swoją istotą pomóc koniowi. Na stacji chwalił się, że „nie można go utrzymać”, a teraz widocznie się wstydził. Ale najgorszy ze wszystkiego był on sam: młody, ogromny, dość tęgi, w łapciach i białych onucach, w krótkiej kurtce, przepasanej krajką¹⁸⁵, i w starej czapce na sztywnych, złotych włosach. Czuć było od niego kurną¹⁸⁶ izbę i konopie: ot, kmiotek z czasów króla Ćwieczka! Twarz biała, bezwąsa, a gardło rozdęte i głos ochryply.

Chłop

- Jak się nazywasz? — zapytał Kuźma.
- Wołają Achfanasy...
- „Achfanasy!”, pomyślał Kuźma ze złością.
- A dalej?
- Mieńszow... Wio, ty antychryście!
- Choróbka? — wskazał Kuźma na gardło chłopca.
- No... Zaraz „choróbka” — bąknął Mieńszow, patrząc w bok. — Ot, wypilem zimnego kwasu...
- A przy łykaniu boli?
- Przy łykaniu... Nie, nie boli...
- No, to i nie gadaj na próżno — rzekł Kuźma surowo. — Lepiej byś jak najprędzej poszedł do szpitala. Żonaty?
- Żeniaty.
- Więc widzisz. Przyjdą dzieci, to im piękny prezent zostawisz!
- To już na pewniaka — zgodził się Mieńszow i męcząc się z koniem, zaczął szarpać lejce. — W-wio, sposobu na ciebie nie ma, ty antychryście!
- Wreszcie rzucił bezcelowe zajęcie i jakoś się uspokoił. Długo milczał, aż spytał:
- No i jakże, panie kupiec, zebrali tę Dumę czy nie?
- Zebrali.
- A Makarow¹⁸⁷, mówią, żyje, tylko nie kazał mówić.
- Kuźma aż ramionami wzruszył — czort wie, co się w tych zakutych łbach dzieje!

Wieś, Dom, Rodzina,
Zwierzęta

¹⁸³bracia — prawdopodobnie tzw. Mali Bracia; określenie to pojawiło się w czasie wojny rosyjsko-tureckiej 1877–78 i odnosiło się do Serbów i Bułgarów. [przypis edytorski]

¹⁸⁴Haliczanie — mieszkaniec Galicji; Galicjanin. [przypis edytorski]

¹⁸⁵krajka — dekoracyjny pasek materiału, który służył do obszywania i wzmacniania brzegów odzieży ludowej. [przypis edytorski]

¹⁸⁶kurna — kurna izba a. kurna chata to pomieszczenie bez przewodu kominowego. [przypis edytorski]

¹⁸⁷Makarow, Stiepan Osipowicz (1848–1904) — rosyjski dowódca morski, oceanograf, polarnik i budowniczy okrętów, który zginął w czasie wojny rosyjsko-japońskiej 1904–1905. [przypis edytorski]

„A jakie bogactwo!”, myślał, siedząc z niewygodnie podniesionymi kolanami na twardej dnie wózka na garstce słomy pokrytej rogożą¹⁸⁸ i rozglądając się po ulicy. Zrobiło się jeszcze chłodniej; z północnego zachodu szły coraz posępniejsze chmury nad tą żyzną glebą przesiąkniętą deszczami. Błoto na drogach połyskiwało sinawo i tłusto, zieleń drzew, traw i ogrodów była soczysto zielona, a ponad wszystkim siniał ten stalowy koloryt czarnej ziemi i chmur. Lecz chałupy lepiące z gliny — małe, a dachy — z suszonego nawozu. Obok nich stoją rozeschnięte beczki do wożenia wody, a woda w nich, naturalnie, z kijankami... Oto bogate obejście. Za warzywnikiem, za łożynami, za pasieką i sadzikiem z trzech czy czterech dzikich jabłoni stoi stara, ciemna stodoła. Zagrody, wrota i chata, wszystko mieści się pod wspólnym chruścianym okapem. Chata zbudowana jest z podwójnej cegły, ściany ozdobione kredowymi rysunkami: na jednej — kreska, a nad nią różki w kształcie choinki, na drugiej — coś w rodzaju koguta; okienka także obwiedzione kredowymi ząbkami. „Twórczość!”, ironicznie uśmiechnął się Kuźma. „Kamienna epoka, Boże odpuść, po prostu jaskiniowcy!”. Na drzwiach widać było wzorek z krzyżyków narysowanych węglem, a przy ganku stał duży kamień grobowy — dziadek czy babka przygotowali go już sobie na wypadek śmierci... Tak, to bogata zagroda! Lecz błoto nokoło po kolana, a na ganku leży świnia, po której, kołysząc się i trzepocząc skrzydełkami, chodzi żółciutkie pisklątko. Okienka malusieńkie, a w zamieszkałej części chaty pewnie ciemno i, jak zawsze, ciasno. Nary, warsztat tkacki, ogromny piec, ceber z pomyjami... A rodzina duża, dzieci mnóstwo, w zimie jeszcze też jagnięta i cielęta... Wilgoć, czad taki, że aż zielona para unosi się w powietrzu. Dzieci piszczą i wrzeszczą, obrywając co chwila po łbach; synowe wymyślają sobie: „Żeby cię piorun... Ty suko parszywa!” i przeklinają się wzajemnie: „Bodajżeś się udławiła w samą Wielkanoc”; staruszka-teściowa ciska warząchwiami i miskami, rzuca się na synowe ze szponami ciemnych żyłastych rąk, głos sobie nadrywa od wrzaskliwego urągania, pluje śliną i przekleństwami to na jedną, to na drugą... A stary również zły jest i chory; zamęczył wszystkich swymi pouczeniami, żonatych synów drze za włosy, ci zaś niekiedy po chłopsku wstrętnie płaczą...

— Czyja to zagroda? — zapytał Kuźma.

— Krasnowów — odpowiedział Mieńszow. — Także wszyscy mają choróbkę...

Za chatą Krasnowów skręcili na wygon. I wieś, i wygon były rozległe. Zbierał się tu dziś jarmark. Gdzieś tam sterczały już żerdzie namiotów, zwalone były koła i gliniane naczynia; dymił piec zmajstrowany naprędce, pachniały racuchy; szarzał mieszkalny wóz Cyganów, a przy jego kołach leżały na łańcuchach owczarki. Na lewo widać było chaty, na prawo — skład drzewa, dwa miejskie sklepiki i piekarnię. Dalej, obok państwowego monopolu, stała zbita gromada dziewczek i chłopów; słychać było stamtąd okrzyki.

— Hula naród! — powiedział w zamyśleniu Mieńszow.

— Niby dlaczego? — spytał Kuźma.

— Spodziewa się...

— Czego?

— Wiadomo... Diabła rogatego!

Hulano rzeczywiście... Na pustym wygonie w pochmurny zimny dzień te piski i dźwięki dwóch harmonii grających jednocześnie wydawały się żalosne i zatracaly się w czymś codziennym, starym i nudnym. „Lud przeżywa coś nowego i coś świętuje, ale czy wierzy w to święto? Oj, chyba nie!”, myślał Kuźma podjeżdżając i patrząc na białe, różowe i zielone spódnice dziewcząt, na obojętne a ordynarnie wymalowane twarze, na pomarańczowe, złociste i malinowe chusteczki. Wóz podjechał do tłumu i stanął. Mieńszow nie spuszczał z niego oczu i szczyrzył zęby. Dźwięki nie wydawały się już teraz żalosne. Harmonie zawzięcie akompaniowały jedna drugiej, a im do wtóru, wśród zachęcającego krzyku pijanych, rozlegały się zawadiackie przyspiewki.

— Hu-ha! — zawołał ktoś wśród rozgłośnego głuchego tupotu.

„Nie orać, nie kosić —
Dziewkom ciastka nosić!”

I niewysoki chłop, stojący poza tłumem, nagle zamachał rękami. Wszystko, co miał na sobie, robiło wrażenie czegoś domowego, czystego, trwałego: i łapcie, i onuce, i nowe

¹⁸⁸ rogoża — gatunek rośliny należący do rodziny palczowatych. [przypis edytorski]

parciane portki, i krótko, niemal kuso, skrajany a suto zmarszczony dół kaftana z niezwykle grubego, siwego sukna. Nigdy w życiu dotąd pewno nie tańczył, a teraz nagle miękko i zręcznie tupnął łapciami, machnął ręką, krzyknął tenorem: „Rozstąpcie się, dajcie kupcowi popatrzeć!” i skoczył w otwierający się przed nim krąg. Z zacięciem potrząsał portkami przed młodym wysokim chłopakiem, który, zsunąwszy czapkę na bakier, zawałdiacko wywijął butami, a wywijając tak, zrzucił z nowej perkalowej koszuli czarny kaftan bez rękawów. Twarz chłopaka była skupiona, ponura, zachmurzona, blada i spocona, toteż jego przenikliwe okrzyki wydawały się tym silniejsze i bardziej niespodziewane.

— Synek! Rodzony ty mój! — wyła wśród zgłębku i tupotu staruszka w sarafanie, wyciągając ręce. — Dosyć już, na miłość Boga! Rodzony mój, dosyć, nie wytrzymasz!

A synek nagle zadarł głowę, zacisnął pięści i zęby i z wściekłą twarzą, przytupując, krzyknął przez zęby:

— Cichaj, babka, nie kracz...

— A ona na pewno dla niego ostatnie płótno sprzedała — rzekł Mieńszow, jadąc dalej wygonem. — Kocha go bez pamięci, jak to wdowa, a on prawie co dzień tłucze ją po pijanemu... Widać warta tego.

— Niby jak to: „warta tego”? — zapytał Kuźma.

— Nie trza pozwalać...

Tak, w mieście, w wagonach kolejowych, po wsiach i wioskach — wszędzie czuło się coś niezwykłego, jakby oddźwięki jakiegoś wielkiego święta, jakiegoś dużego zwycięstwa i ogromnych nadziei. Ale już w miasteczku Kuźma pojął, że im dalej w te bezkresne pola, pod chłodne pochmurne niebo, tym odgłosy te stają się bardziej głuche, bezsensowne i dręcząco nudne. Ot i teraz: odjechali i krzyki tłumu przy szynku znowu wydały się żałosne. Tam świętują, usiłują „hulać”, a tu — nuda, głusza, pusta ulica, kurne izby, beczki ze śmierdzącą wodą ze stawu i znowu pola, siność i zimno dalekich przestrzeni, ciemny laszek na horyzoncie...

Przed jedną z chat z wybitym oknem i z kołem na zgniłym dachu siedzi na ławce wysoki chudy chłop — trzy ćwierci do śmierci! Podobny do Niekrasowa¹⁸⁹. Na ramiona, na długą i brudną samodziłową koszulę narzucił stary półkożuszek. Nogi, chude jak kije, tkwią w wojłokowych butach, a duże, martwe ręce leżą na ostrych kolanach, na przetartych portkach. Czapkę po starczemu nasunął na czoło, a oczy takie zamęczone, proszące... Chuda twarz tak nieludzko wyciągnięta... Popielate wargi na wpół otwarte...

— To Strach¹⁹⁰ — powiedział Mieńszow, wskazując chorego. — Umiera na brzucho już drugi rok.

— Strach? Co to? Przewisko takie?

— Przewisko...

— Głupie! — powiedział Kuźma.

I odwrócił się, żeby nie widzieć dziewczynki przy następnej chacie: przechylona do tyłu, trzymała na ręku dzieciaka w czepeczku, tępo gapiała się na przejeżdżających i, wysuwając język, żuła czarny chleb, przygotowując z niego dla dziecka smoczek... A w ostatnim ogrodzie obok gumna łożyny szumiały na wietrze i trzepotały pustymi rękawami przekrzywiony strach na wróble. Gumno otwarte na step robi zawsze wrażenie nieprzytulne i przykre, a do tego jeszcze ten strach, jesienne chmury, wiatr wyjący od pola rozdmuchujący ogony kur, które chodzą po klepisku porośłym lebiodą i łopuchem... Dalej — stodoła z rozprutą strzechą... Błękitna młocarnia-żniwiarka...

Lasek, siniejący na horyzoncie, a składający się z dwóch długich parowów¹⁹¹ zarosłych dębina, nazywał się Portoczki i przy tych właśnie Portoczkach złapał Kuźmę ulewny deszcz z gradem, towarzyszący już do samego Kszakowa. Mieńszow pod wsią zmuszał konia do galopu, a Kuźma, mrużąc oczy, siedział pod mokrą i zimną rogożą. Ręce kostniały mu z chłodu, a za kołnierz kapoty ciekły lodowate strumyki. Ciężką od deszczu rogożę czuć było zatechłą komorą, ziarna gradu były po głowie, chlapały pecyny błota, w koleinach

Deszcz, Błoto, Zwierzęta

¹⁸⁹Niekrasow, *Nikołaj Aleksiejewicz* (1821–1878) — rosyjski pisarz, dziennikarz, redaktor i wydawca. [przypis edytorski]

¹⁹⁰Strach — w oryg. ros. Чучень. [przypis edytorski]

¹⁹¹parów — zagłębienie terenu; mała, sucha dolina o płaskim dnie i nachylonych zboczach porośniętych roślinnością, powstały w wyniku erozji i przeobrażenia wąwozu (który ma bardziej strome, nagie zbocza). [przypis edytorski]

pod kołami szumiała woda, gdzieś beczały jagnięta... Na koniec zrobiło się tak duszno, że Kuźma odrzucił rogożę z głowy i chciwie łknął świeżego powietrza. Deszcz ustawał, zapadał zmierzch, obok wozu po zielonym wygonie w kierunku chałup biegło stado. Cienkonoga czarna owca odbiła się od gromady, a goniła ją bosa baba z narzuconą na głowę spódnicą, świecąca białymi łydkami. Na zachodzie za wsią rozjaśniało się, na wschodzie, na mglistym szarawoniebieskim tle chmur nad zbożami rozpinały się zielono-fioletowe tęcze. Silnie pachniało wilgotną zielenią pól, a od strony wsi czuć było ciepło ludzkiego osiedla.

— Gdzie tu dwór? — krzyknął Kuźma do tęgiej baby w białej koszuli i czerwonej wełnianej spódnicy.

Baba stała na kamieniu przy chacie soltysa i trzymała za rękę zanoszącą się płaczem dwuletnią dziewczynkę. Mała wrzeszczała tak głośno, że pytanie Kuźmy zginęło w tym krzyku.

— Dwór? — powtórzyła baba. — Czyj?

— Pański.

— Czyj? Nic nie słyhać... A żebyś się udławiła! Bodaj cię choroba!... — krzyknęła, szarpnąwszy dziewczynkę tak mocno, że dziecko się przewróciło i zawisło w powietrzu.

Pytali o drogę również przy drugiej chałupie. Przecięli szeroką ulicę, skręcili w lewo, potem w prawo i obok czyjejś staroświeckiej sadyby¹⁹² z domem, którego okna były na glucho zabite deskami, zaczęli zjeżdżać po stromej górze do mostu nad rzeczką. Z lica, z włosów i kurtki Mieńszowa spadały krople. Jego umyta tłusta twarz z białymi, grubymi rękami wydawała się jeszcze bardziej tępa. Z ciekawością wyglądał czegoś przed sobą. Spojrzał w tym kierunku i Kuźma. Po tamtej stronie, na pochyłym wygonie rozsiadł się ciemny kazakowski sad; szerokie podwórze ogrodzone było rozwalonymi czworakami i gruzami kamiennego muru; pośrodku, za trzema uschniętymi choinami, wznosił się pod rdzawoczerwonym dachem dom z szarych bali. Na dole, przy moście, stała gromadka chłopów, a naprzeciw, po stromej, rozmytej drodze człapała w błocie i z wytężeniem szła pod górę trojka chudych, roboczych koni zaprzężonych do bryczki. Oberwany, ale przystojny parobek, smukły, blade, z rudawą bródką i mądrymi oczami stał obok trojki, szarpał lejce i ze wszystkich sił krzyczał: „Wio, w-w-io!”, a chłopci ze śmiechem i gwizdaniem drażnili go: „Pr-r! Pr-r!”. Na bryczce siedziała młoda kobieta w żałobie i z rozpaczą wyciągała ręce; na jej długich rękach wisały wielkie łzy, a twarz wykrzywiona była przerażeniem. Strach i napięcie widać też było w turkusowych oczach grubego rudowłosego człowieka, siedzącego obok niej. Ślubna obrączka błyszczała na jego prawej ręce, ściskającej rewolwer; lewą machał ustawicznie i zapewne bardzo mu było gorąco w wielbłądziej kurtce i w miejskiej czapce, która mu się zsunęła na tył głowy. A na ławeczce naprzeciw z łagodną ciekawością rozglądały się dzieci — chłopczyk i dziewczynka — zawinięte w szale i blade z zimna i zmęczenia.

— To Miszka Siwierskij — głośno i ochryple rzekł Mieńszow, wymijając trojkę i obojętnie patrząc na dzieci. — Spalili go wczoraj... Widać wart tego...

Interesy państwa Kazakowów prowadził ekonom, dawny żołnierz-kawalerzysta, człowiek olbrzymi i ordynarny. Do niego do czeladnej skierował Kuźmę parobek, który wjeżdżał właśnie w podwórze z wozem skoszonej, pięknej, wilgotnej, zielonej trawy. Ale u ekonomy wydarzyły się tego dnia aż dwa nieszczęścia: umarło dziecko i zdechła krowa, toteż Kuźma został przyjęty bardzo zimno. Gdy pozostawiwszy Mieńszowa za bramą, zbliżał się do czeladnej, zobaczył zapłakaną ekonomową, która niosła z ogrodu pstrokatą kurę, siedzącą potulnie pod jej pachą. Pomiędzy kolumnienkami na zmurszałym ganku stał wysoki młody człowiek w szarawarach¹⁹³, w długich butach i w perkalowej zapiętej pod szyję koszuli. Zobaczywszy ekonomową, krzyknął:

— Agaño, a dokąd to ją niesiesz?

— Zarznąć — odpowiedziała ekonomowa poważnie i smutnie, zatrzymując się przy lodowni.

— Daj no, ja zarznę.

¹⁹²sadyba — tu: siedziba, domostwo. [przypis edytorski]

¹⁹³szarawary — szerokie, długie, bufiaste spodnie. [przypis edytorski]

Wies, Dziecko

Sluga, Praca, Wies

I młodzieniec skierował się ku lodowni, nie zwracając uwagi na deszcz, znowu mżący ze sposepniałego nieba. Otworzył drzwi, wziął z progu siekiere — i po chwili rozległo się krótkie uderzenie, a kura bez głowy, z czerwoną resztką szyi pobiegła po trawie, potknęła się i zakręciła, trzepocząc skrzydłami i rozrzucając na wszystkie strony pióra i bryzgi krwi. Młody człowiek rzucił siekiere i poszedł do ogrodu, a ekonomowa, złapawszy kurę, podeszła do Kuźmy:

- A ty czego tu chcesz?
- Ja... W sprawie ogrodu — powiedział Kuźma.
- Poczekaj na Teodora Iwanycza.
- Gdzież on jest?
- Zaraz wróci z pola.

I Kuźma czekał u otwartego okna czeladnej. Zajrzał do wnętrza i zobaczył w półświecie piec, nary, stół, a na ławie pod oknem — korytko służące jako trumienka. Leżało w nim martwe dziecko o dużej, nagiej główce i sinawej twarzyczce... Za stołem siedziała tłusta, ślepa dziewczka i wielką, drewnianą łyżką wylawiała z miski rozmoczone w mleku kawałki chleba. Muchy, niby pszczoły w ulu, brzęczały nad nią i laziły po twarzyczce trupa, a potem wpadały do mleka, ale ślepa, siedząc prosto niby nieruchomy bałwan i wybałuszając w ciemność zasze bielmem oczy, jadła i jadła... Przerażony Kuźma odwrócił się czym prędzej.

Zrywały się podmuchy zimnego wiatru i coraz ciemniej robiło się od chmur. Pośrodku podwórza stały dwa słupy z poprzeczką, a na niej wisiała, niby ikona, duża, żelazna płyta: widać, że mieszkańcy w nocy bali się i uderzali w nią często. Po podwórzu wałęsały się wychudłe charty. Pomiędzy nimi biegał chłopczyk mniej więcej ośmioletni i woził na wózku braciszka o białej, jakby nalanej głowie w dużej, czarnej czapce; wózek przeraźliwie skrzypiał. Dom był szary, ciężki i pewno diabelnie nudno musiało w nim być teraz, o zmierzchu. „Żeby choć światło zapalili!”, pomyślał Kuźma. Zmęczony był śmiertelnie i zdawało mu się, że z miasta wyjechał już chyba rok temu. Nagle rozległo się wycie i szczekanie — z bramy ogrodu wypadła przerażona para sprzęgniętych ze sobą psów: charcica z podwórzowym kundlem. Zwierzęta szarpały się w przeciwne strony, usiłując się rozłączyć... Za nimi, krzycząc coś, biegł panicz.

Dziecko, Trup

Wieczór i noc Kuźma spędził w ogrodzie w starej łaźni. Ekonom, przyjechawszy konno z pola, gniewnie powiedział, że „sad dawno wydzierżawiony”, a na prośbę o nocleg tylko zdumiał się beczelnie: „Ach, jakiś ty mądry!”, krzyknął ni z tego, ni z owego, „Znalazł sobie zajazd! Dużo was takich teraz włóczy się dookoła...”. Ale zlitował się i pozwolił iść do łaźni... Kuźma zapłacił Mieńszowowi i poszedł obok domu do wrót przed lipową aleją. Z ciemnych, otwartych okien, zza żelaznych siatek przeciw muchom, słychać było fortepian, którego dźwięki przepysny, niski tenor pokrywał misternymi pasażami, rażącymi na tle tego wieczora, na tle tego folwarku. Po brudnym piasku pochyłej alei, na końcu której, niby na skraju świata, mętnie bieleły obłoki na niebie, nie spiesząc się, szedł naprzeciw Kuźmie niewysoki chłop z wiadrem w ręku, rozchełstany, bez czapki i w ciężkich butach.

— Patrzcie, patrzcie! — drwiąco mówił, przysłuchując się ćwiczeniom. — Ależ się staha! Bodaj mu brzuch pękło!

— Kto to się tak stara? — zapytał Kuźma.

Chłopiek podniósł głowę i stanął.

— A panicz! Mówią: już tak siódmy hok — odrzekł wesoło, źle wymawiając literę „r”.

— A który to? Ten, co gonił psy?

— N-nie, dhugi... To jeszcze nic! Jak czasem zacnie krzyczeć: „Dzisiaj ty, jutho ja...”.

Po phostu sthach.

— Uczy się pewno?

— Dobha nauka!

— A tamten drugi co robi?

— Tamten? — chłopiek, uśmiechając się z powściągliwą ironią, westchnął. — A nic... albo mu to źle? Żahcie ma dobhe, zabawę także samo: Fed’ka rzuca mu buteleccki, a on

Dworek, Pan, Chłop, Bunt

do nich strzela; czasem odkupi od chłopu bhadę, obetnie ją i nabije do strzelby... Dla śmiechu! Także samo psy: psów tu masa! Jak w niedzielę uderzą we dzwony, a one zawyją całą gromadą, czysta Sodoma¹⁹⁴! Tamtego dnia zaghyżli chłopskiego kundla, to chłopcy poszli do dwóhu! „Dawaj na wiadho wódki i koniec. A nie, to szthejk zahaz zhobimy!”.

— No i co, dali?

— Jeszcze by nie dali... Da-a-a-dzą, bhatku! Jest tu młynarz... Poszedł phosto do ganku i powiada: „Wiath wieje tehas od pola, jaśnie panowie!”. No, zhozum co z tego! Panicz z początku się nasthoszył: „Co za wiath?”. „A taki!”, powiada młynarz. „Ja zagadkę dałem, a pan niech pomyślą...”. Od hazu mu, bhacie, objaśni!

Wszystko to powiedziane było jakby niedbale, niby mimochodem, z przerwami, ale z takim jadowitym uśmieszkiem i z tak gardłowym wymawianiem „r” — „od hazu” i „bhat”, że Kuźma uważnie popatrzył na spotkanego. Wygląda na głuptaska, włosy proste, długie, ostrzyżone z grzywką po chłopsku... Twarz niewielka, bez wyrazu, staroruska, jakby suzdalskiej¹⁹⁵ roboty. Buty ogromne, a ciało szczupłe i jakieś drewniane. Oczy pod dużymi, sennymi powiekami — jastrzębie ze złocistym krążkiem w źrenicy; gdy je opuści, zdawałoby się, że to tylko sepleniący głuptas, ale gdy je podniesie — człowiekowi robi się jakby nawet trochę straszno.

— Ty co...? W ogrodzie siedzisz?

— W ogrodzie. A gdzie mam siedzieć?

— Jak się nazywasz?

— Ja? Akim... A ty tu po co?

— Ja chciałem sad wydzierzawić.

— Ot... Zachciało ci się!

I Akim, drwiąco potrząsnąwszy głową, poszedł w swoją stronę.

Podmuchy wiatru stawały się coraz silniejsze i z jaskrawozielonych drzew spadały krople. Gdzieś nisko za ogrodem glucho rozlegał się grzmot; bładoniebieskie błyskawice rozświetlały aleję, a wszędzie dookoła śpiewały słowiki. I niezrozumiałym się zdawało, jak one mogą tak starannie, w takim zachwyceniu, tak słodko i silnie kłaskać i wyciągać trele pod tym ciężkim, ołowianopochmurnym niebem, wśród gęstych, mokrych krzaków i drzew, gnących się od wiatru. Ale trudniej jeszcze było zrozumieć, jak mogą stróże w sadzie spędzać noce na takim wietrze, jak mogą spać na wilgotnej ziemi pod daszkiem przegniłego szałas!

Było ich trzech, a wszyscy — chorzy. Jeden z nich, młody, szczupły, sympatyczny, dawny piekarz, zwolniony zeszłej jesieni za strajk, obecnie włóczęga, który nie zdążył jeszcze zatracić chłopskiego wyglądu, skarżył się na febrę. Drugi, również włóczęga, ale już zawodowy, miał gruźlicę, chociaż mówił, że „nic mu nie jest, tylko trochę go ziębi między łopatkami”. Akim chory był na „kurzą ślepotę” — z anemii zepsuł mu się wzrok i o zmierzchu źle widział. Kiedy Kuźma się zbliżył, piekarz, blady i dobrotliwy, siedział w kucki obok szałas i, zakasawszy na chudych, słabych rękach rękawy damskiej, watowanej bluzki, płukał w drewnianej czarce proso. Suchotniczy Mitrofan, człowiek niewielkiego wzrostu, barczysty i o ciemnej cerze, podobny był do mieszkańca Dahomeju¹⁹⁶. Miał na sobie mokre szmaty i buty tak zdeptane i sztywne, że wyglądały jak kopyta starego konia. Stał koło piekarza i uniósłszy ramiona, spoglądał czarnymi, błyszczącymi, rozszerzonymi, lecz beznamiętnymi oczami na jego robotę. Akim przydźwigał wiadro wody i dmuchając, rozpalał ogień w ulepionym z gliny piecyku stojącym przed szałasem. Od czasu do czasu wchodził do budki, wybierał tam pęczki trochę suchszej słomy i znowu wracał do ogniska płonącego pod żelaznym kotłem, skąd rozchodził się zapach dymu. Idąc, ciągle coś mruczał, świszcząc dyszał, uśmiechał się ironicznie, tajemniczo i niedbale z kpiniek towarzyszy, a chwilami odcinał się z ręcznie i złośliwie. Kuźma, siedząc na wilgotnej ławce obok szałas, mrużył oczy i wsłuchiwał się w rozmowę i w śpiew słowików. Gdy pod chmurnym niebem drgającym od błyskawic przy głuchych pomrukach grzmotów przelatywał po alei wilgotny wiatr, na Kuźmę sypały się lodowate bryzgi wody. Z głodu i z nadmiaru tytoniu ścisnęło go w dołku. Zdawało mu się, że jedzenie nigdy się

Wieś, Natura, Burza

Chłop, Choroba

Kondycja ludzka

¹⁹⁴Sodoma — biblijne miasto, które wraz z Gomożą zostało zniszczone przez Boga za grzechy mieszkańców. [przypis edytorski]

¹⁹⁵suzdalski — z Suzdału, rosyjskiego miasta w obwodzie włodzimierskim. [przypis edytorski]

¹⁹⁶Dahomej — historyczne królestwo w Afryce Zachodniej (dzisiejszy Benin). [przypis edytorski]

nie dogotuje i nie mógł się pozbyć myśli, iż może on też będzie musiał kiedyś żyć takim zwierzęcym życiem jak ci stróże... Czeką go tylko starość, choroby, samotność i nędza... Bolało go całe ciało, drażniły podmuchy wiatru i dalekie, monotonne grzmoty, irytowały słowiki oraz powolna a niedbale jadłowita mowa Akima i jego skrzypiący głos.

— Kupiłbyś sobie, Akimuszka, choć pasieczek — z udaną prostotą mówił kpiąco piekarz, zapalając papierosa i spoglądając ciągle w stronę Kuźmy, jakby zapraszając go, aby posłuchał odpowiedzi Akima.

— Poczekaj tylko — drwiąco i z roztargnieniem odpowiedział Akim, zlewając do czarki białą ciecz z kipiącego kociołka. — Ot, przebędziemy lato u gospodarza, to ci kupię buty „ze schrzypem”.

— „Ze schrzypem”? Przecież cię o buty nie proszę.

— Ale łazisz w człapakach.

I Akim zaczął starannie kosztować łyżką gotujący się płyn.

Piekarz stropił się i westchnął:

— Nie dla nas buty!

— Dajcie spokój — odezwał się Kuźma. — Powiedzcie lepiej, czy to u was tak co dzień: krupnik i krupnik?

— A ty czego byś chciał? Hybki może, szyneczki? — zapytał Akim, nie odwracając się i oblizując łyżkę. — Nieźle by było: ot, ósemkę wódeczki, hybki, suma tak ze trzy „chunciki”, szyneczki kawalek, owocowej hehbatki... A to nie jest żaden khupnik, tylko rzadziutka kaszka, khupnik to na przekąskę.

— A barszcz albo kartoflanę gotujecie?

— Mieliliśmy bahszcz, bratku, jeszcze jaki! Jak nim na kundla chlusnąć, to aż z siehści oblezie!

— No to kartoflanę...

— A kahtofli skąd wziąć? U chłopów, czohtów hogatych, nie można się dokupić! U chłopów to zimą nawet śniegu byś się nie doprosił...

Kuźma pokiwał głową.

— Pewno z choroby taki jesteś zły! Poleczyłbyś się trochę...

Akim, nie odpowiadając, przykucnął przed ogniem. Płomień przygasał, pod kociołkiem widniała tylko garstka drobnych węgielków; w ogrodzie ciemniało a ciemniało; błękitne błyskawice słabo oświeślały twarze podczas podmuchów wiatru, który rozdymał koszulę Akima. Mitrofan, oparty na kij, siedział obok Kuźmy; piekarz skulił się na pniu pod lipą. Usłyszawszy ostatnie słowa Kuźmy, spoważniał.

— Ja myślę — powiedział pokornie i smutno — że to wszystko od Boga. Jak Pan Bóg nie da zdrowia, to żadne doctory nic nie pomogą. Ot, Akim prawdę mówi: człowiek żyje aż do śmierci.

— Doktohy! — podchwycił Akim, wpatrując się w węgle i szczególnie jadłowicie wymawiając słowo „doktohy”. — Doktohy, bhatku, myślą o swojej kieszeni. A ja bym mu, takiemu doktohowi, za jego sphawki kiszki wypuścił.

— Nie wszyscy myślą tylko o sobie.

— No, ja tam wszystkich nie znam.

— To nie gadaj, jak nie znasz — surowo powiedział Mitrofan i zwrócił się do piekarza.

— Ale i z ciebie ładny kwiat: popatrz, jak się to roztkliwił, niczym sierota kazańska¹⁹⁷! Gdybyś się jak pies nie walał po ziemi, na pewno by cię tak połamano.

— Ale przecież ja... — zaczął piekarz.

Ale teraz ironiczny spokój opuścił Akima. I, wytrzeszczywszy swe bezmyślne, jastrzębie oczy, skoczył nagle i zawrzeszczał z zapalczywością idioty:

— Co? To niby, że ja nie mam gadać? A ty czy byłeś w szpitalu? Byłeś? A ja byłem! Siedem dni tam siedziałem! Myślisz, że mi dużo bułek dał ten twój doktoh, co? Dużo?!

— Głupis! — przerwał Mitrofan — bułki się nie każdemu należą: to jak w jakiej chorobie!

— A jakże! Jak w jakiej chohobie! Bodaj się udławił tymi bułkami, bodaj mu brzuch trzasło! — wykrzykiwał Akim.

Wieś, Jedzenie, Bieda

¹⁹⁷sierota kazańska (z ros.) — określenie człowieka udającego nieszczęśnika, by wzbudzić współczucie, robiącego z siebie ofiarę losu. [przypis edytorski]

I rozglądając się z wściekłością, cisnął łyżkę w „rzadziutką kaszkę” i poszedł do szalasu. Oddychając świszcząc, zapalił lampkę i w budce zrobiło się przytulniej. Potem wyciągnął gdzieś spod dachu łyżki i rzuciwszy je na stół, krzyknął: „Nieście już raz ten khupnik... Czy jak!”. Piekarz wstał i poszedł po kociolek. „Prosimy pokornie”, rzekł, przechodząc obok Kuźmy. Ale Kuźmie nieprzyjemnie było jeść razem z Akimem. Poprosił o chleb, grubo go posolił i żując z apetytem, znów powrócił na ławkę. Zrobiło się zupełnie ciemno. Bładoniebieski blask coraz szerzej, coraz częściej i jaskrawiej oświecał szumiące drzewa, jakby go wiatr rozdmuchiwał, a przy każdej błyskawicy martwozielone listowie na chwilę występowało wyraźnie niby w biały dzień, po czym znowu zalewała je grobowa ciemność. Słowiki umilkły; tylko jeden nad samym szalasem silnie i słodko kłaskał i trelował. A w budce przy lampce już znowu płynęła spokojna ironiczna rozmowa. „Nawet nie zapytali, kto jestem i skąd?”, myślał Kuźma. „Ależ ludzie, bodaj przepadli!”. I żartobliwie krzyknął w głąb szalasu:

— Akim, a tyś nawet nie zapytał, kto ja jestem i skąd przyjeżdżam?

— A na kiego diabła tyś mi potrzebny? — odpowiedział Akim obojętnie.

— Ja go tu o co innego pytam — rozległ się głos piekarza. — Ile to on myśli, że od Dumy ziemi dostanie? Jak myślisz, Akimuszka, co?

— Ja niepiśmienny — powiedział Akim. — Ty, jak na zwyczajny gnój popatrzysz, to już wszystko wiesz...

I widocznie piekarz znowu się zmieszał. Przez chwilę panowało milczenie.

— To on do nas pije — przemówił Mitrofan. — Opowiadałem kiedyś, że w Rostowie¹⁹⁸ biedny naród, proletariat znaczy, zimą ratuje się w nawozie...

— Wychodzą za miasto — wesoło podchwycił Akim — i dalej: do nawozu! Zakopią się jak świnię i po krzyku!

— Dureń! — odciął Mitrofan tak surowo, że Kuźma się odwrócił. — Bałwan ślepy, bydlak! Jak cię bieda przycisnie, to sam także się zakopiesz.

Akim, opuściwszy łyżkę, sennie popatrzył na niego. I nagle z tą samą niespodzianą zapalczywością otworzył swe puste, jastrzębie oczy i z wściekłością krzyknął:

— Aha, bieda! Zachciało ci się, widać, na godziny phacować!

— A czemu nie? — równie wściekle krzyknął i Mitrofan, rozdymając swe dahomejskie¹⁹⁹ nozdrza i wbijając błyszczące oczy w Akima. — Lepiej dobrać za dwadzieścia kopiejek?

— A! A ty byś chciał godzinę za hubla? Och, jaki chciwy, bodaj ci brzuch trzasło!

Lecz kłótnia równie szybko ścichła, jak rozgorzała. Po chwili Mitrofan mówił już spokojnie, parząc się krupnikiem.

— Niby to on sam nie chciwy! Przecie ten czort piekielny za kopiejkę powiesiłby się na ołtarzu. Dacie wiarę, że żonę za siedemdziesiąt pięć kopiejek sprzedał! Jak Boga kocham, nie żartuję. U nas, w Lipiecku, jest taki staruszek, nazywa się Pankow, przedtem także zajmował się ogrodem, ale teraz nic już nie robi i bardzo lubi takie rzeczy...

— To Akim także spod Lipiecka? — przerwał Kuźma.

— Ze Studienki²⁰⁰, ze wsi — obojętnie powiedział Akim, jakby to nie o nim była mowa.

— Tak, tak — potwierdził Mitrofan. — Najprawdziwszy chłop. Mieszka przy bracie, ziemię i dom mają wspólnie, ale on coś tak jakby niedojda, a żona, naturalnie, już od niego uciekła. I dlaczego? Właśnie dla tego samego: umówił się z Pankowem, że go zamiast siebie za siedemdziesiąt pięć kopiejek wpuści do komory. No i wpuścił.

Akim milczał, postukując łyżką po stole i patrząc w lampkę. Najadł się już, obtarł usta i teraz o czymś myślał.

— Łatwiej zelgać, jak ohać, bhatku — rzekł na koniec. — A jak nawet puściłem, to co: wylinieje baba od tego?

I oczekując odpowiedzi, wyszczerzył zęby w uśmiechu, podniósł brwi i jego radośna, a zarazem smutna suzdalska twarzyczka pokryła się głębokimi, jakby drewnianymi zmarszczkami.

¹⁹⁸Rostów — prawdopodobnie chodzi o Rostów nad Donem, miasto w południowej Rosji nad Morzem Azowskim. [przypis edytorski]

¹⁹⁹dahomejski — związany z Dahomejem, historycznym królestwem w Afryce Zachodniej. [przypis edytorski]

²⁰⁰Studienka — wieś w rejonie dobrzyńskim obwodu lipieckiego. [przypis edytorski]

— Ot, jakbym go ze strzelby!... — rzekł szczególnie skrzypiąco i sepleniąco. — Ażby się nogami zakhył!

— O kim to mówisz? — spytał Kuźma.

— A o słowiku... O tym nad budką...

Kuźma zacisnął zęby i zastanowiwszy się, rzekł:

— Ot, ścierwo chłop. Zwierzę...

— Pocałuj mnie w d...ę — odciął się Akim i czknąwszy, wstał. — Na co ogień po phóznicy palić?

Mitrofan zaczął skręcać papierosa, piekarz zbierał łyżki, on zaś wylazł zza stołu, odwrócił się tyłem do lampki i pośpiesznie przeżegnawszy się trzy razy, z rozmachem pokłonił się w stronę ciemnego kąta szalasu, potrząsnął lnianymi prostymi włosami i podniósłszy twarz, zaszepotał modlitwę. Cień jego upadł i przełamał się na jakichś drewnianych skrzyniach, a on sam wydawał się jeszcze mniejszy niż przedtem. Kuźma przypominał sobie, jak kiedyś stawał na komisji: wezwano pięciuset ludzi, choć potrzebnych było tylko stu dwudziestu. Wyciągnął numer czterysta dziewięćdziesiąty drugi — a jednak o mało co nie był zmuszony do rozebrania się, gdyż bardzo przebierano między tymi nagimi podrostkami, podobnymi do gołych wróbli dzięki rękom cienkim jak linki i dużym, wypiętym brzuchom. Akim znowu pośpiesznie się przeżegnał i z rozmachem schylił w pokłonie, a Kuźma spojrzał na niego już teraz z nienawiścią.

Taki Akim modli się — a spróbuj go zapytać, czy wierzy w Boga! Te jastrzębie oczy wylazłyby mu z orbit! Jemu się przecież zdaje, że nikt na świecie nie wierzy tak jak on. Do głębi duszy przekonany jest, że dla przypodobania się Bogu (i żeby ludzie nie osądzili) trzeba surowo, jak najsurowiej wypełniać nawet najmniejszą rzecz z tego, co ustanowiono w stosunku do cerkwi, do postów, do świąt i do dobrych uczynków. Wierzy, że dla zbawienia duszy — przecież nie z dobroci, naturalnie! — bezwzględnie trzeba wszystko to wypełniać: palić świece, w poście jeść rybki na oleju, a w święta — świętować i dogadzać popowi kurkę i pierogami... A wszyscy głęboko są przekonani, że Akim to człowiek prawdziwie wierzący, chociaż przez całe swoje życie nie pomyślał, co to właściwie jest Bóg, jak nigdy nie myślał ani o niebie, ani o ziemi, ani o narodzeniu, ani o śmierci... Po cóż ma myśleć! Inni to już za niego obmyślili! On ma na wszystko odpowiedzi, odpowiedzi ostateczne, przygotowane dlań już od tysięcy lat. Wie przecież, że w niebie jest raj, są anioły i sprawiedliwi, w piekle — diabły i grzesznicy, a na ziemi — ludzie, którzy orzą, budują, handlują, dorabiają się pieniędzy, żenią się i żyją dla swojej przyjemności... Nie wszyscy, naturalnie, nie wszyscy, ale na to nie ma rady... „Každy jednak powinien do tego dążyć, a kiedy przyjdzie jego czas, Akim też pokaże, co umie!”, pomyślał Kuźma, jak zawsze ze zdumieniem przypominając sobie pogromy. A tajemnica narodzin i śmierci — to nie jego rzecz. Po narodzeniu powinni dziecko przeżegnać, i to po naszymu, po rosyjsku, a nie po psiemu, po turecku, albo po francusku. Umierając, koniecznie trzeba przystąpić do komunii, inaczej nie wykręcisz się od piekła, a najlepiej — przyjąć ostatnie namaszczenie. Ot i wszystko. Są jeszcze na ziemi owady, kwiaty, rośliny, ptaki, zwierzęta... Ale Akim ani myśli zniżyć się do kwiatów lub owadów — rozgniała je po prostu. Z roślin uznaje tylko te, które przynoszą owoce lub jagody i służą jako pasza. Ptaki latają, śpiewają i najmiłsza rozrywka to strzelanie do tych, które się nadają do zjedzenia, a zabijanie pozostałych dla zabawy. Dzikie zwierzęta należy wszystkie do ostatniego wytępić, a z domowymi postępować rozmaicie: własne — tuczyć na pożytek sobie, a obcym i starym wybijać oczy lub łamać nogi...

„I co mu do tego” — z udręką myślał Kuźma — „co mu do tego, jeżeli sam nie gospodaruje, że od tygodnia leje deszcz, pada grad, huczy grzmot, migają błyskawice... Że może oświecają one teraz martwą, siną twarzyczkę w ciemnej izbie pełnej much, w której śpi ta ślepa dziewczyna...”

Wydawało się Kuźmie, że z miasta wyjechał już chyba rok temu i że teraz nie będzie mógł się tam dostać z powrotem. Ciężka mokra czapka, a nogi, ściśnięte brudnymi butami, głucho bolały. Twarz przez dzień spierzchła na wietrze i piekła go teraz. Ciało było rozbite i obolałe od wózka, niewygody i pragnęło odpoczynku. Ale spać — nie, na pewno nie uśnie. Podniósłszy się z ławki, Kuźma poszedł pod pachnący wilgocią wiatr do bramy wiodącej na pole, w stronę pustki od dawna nieużywanego cmentarza. Z szalasu padało na błoto słabe światło, ale gdy tylko Kuźma oddalił się, Akim zdmuchnął lampę, światło

Cień

Chłop, Wiara, Religia,
Obrzędy, Pozory, Obraz
świata

znikło i od razu zrobiła się noc. Niebieskawa błyskawica mignęła jeszcze mocniej i niespodziewanie, rozdarła niebo i ukazała całą głąb sadu aż do najbardziej oddalonych jabłoni, gdzie stała łaźnia, a potem wszystko pogrzyżyło się nagle w taką czarność, że Kuźmie aż się w głowie zakręciło. Znowu gdzieś nisko zahuczał daleki, głuchy grzmot, a poprzez szum drzew i łoskot słychać było urywany jazgot i szczekanie: gryzły się między sobą psy, rozdzierające za sadem zdechłą krowę. Postawszy chwilę i rozeznawszy w ciemnościach mętny prześwit w prostokacie bramy, Kuźma wyszedł na drogę przylegającą do wału, minął szumiące, stare lipy i zaczął z wolna chodzić tam i z powrotem. Na czapkę i na ręce znowu posypał mu się deszcz, ale Kuźma postanowił koniecznie dosnuć myśl do końca. Nagle znów rozdarły się głębokie ciemności, zamigotały krople deszczu i na pustej płaszczyźnie ukazał się w martwym, błękitnawym świetle zarys konia o chudej szyi. Na tle czarnym jak atrament błysnęło w oddali i znikło blade, metalicznie zielone pole owsa, a koń podniósł głowę — i nagle Kuźmie zrobiło się straszno. Koń wprawdzie natychmiast znikł w ciemnościach, ale Kuźmie przebiegło przez myśl pytanie, czyja by to mogła być szkapa? Czemu nie ma związanych nóg? Czemu wałęsa się bez opieki? I zawrócił do bramy. W rowie pod wałem, pośród pokrzyw i łopuchów ktoś ryczał czy też chrapał. Potykając się, wyciągając przed siebie ręce jak ślepiec, Kuźma zbliżył się do rynsztoka.

— Kto tu? — krzyknął.

Ale silne, zachłystujące się chrapanie śmiertelnie pijanego człowieka nie ustawało. Zresztą wszystko dookoła spało głębokim snem. Błyskawice gasły, drzewa senne, niewidoczne w ciemnościach szumiały głucho i ponuro w potokach wzmagającego się deszczu... Gdy Kuźma po omacku przedostał się wreszcie do łaźni, deszcz lunął na ziemię z taką siłą, że obudził (jak kiedyś w dzieciństwie) przerażające myśli o potopie... Kuźma potarł zapalną, zobaczył w kącie pod oknem szerokie nary i, zwinawszy kapotę, rzucił ją na legowisko. Po ciemku wlaź na tapczan i z głębokim westchnieniem rozciągnął się na nim, układając się na wznak jak starzec i zamykając zmęczone oczy. Boże wielki, cóż to za bezsensowna i ciężka podróż! W jaki sposób dostał się tutaj? We dworze teraz także jest ciemno i w zwierciadłach odbijają się jakby ukradkiem przelotne błyskawice... Akim śpi w szałasie pod ulewnym deszczem... A w tej łaźni z pewnością nie raz widziano diabła; ciekawe, czy też Akim wierzy chociażby w diabła tak, jak należy...? Nie. Przez tysiące lat wierzyli w niego i Akim wiarę tę odziedziczył. Ale, choć nie wierzy, opowiada z przeświadczeniem o tym, jak jego nieboszczyk dziad — koniecznie dziad i koniecznie nieboszczyk! — poszedł kiedyś do szopy po paszę, a tu diabeł siedzi sobie na sieczkarni, nóżki splótł, a kudłaty niby pies... Kuźma, wysunawszy kolano, przycisnął dłoń do czoła i wdychając tęsknie, zaczął drzemać...

Koń

Lato spędził w oczekiwaniu zajęcia. Nocą w kazakowskim ogrodzie zrozumiał, jak głupie były marzenia o dzierżawie sadów. Po powrocie do miasta zastanowił się dokładnie nad swoim położeniem i zaczął szukać posady subiekta albo pisarza; później zgodziłby się być i na byle co, aby mieć tylko kawałek chleba. Lecz poszukiwania, wysiłki, próśby na nic się nie zdały. Wówczas ogarnęła go rozpacz — jakżeż mógł dotychczas nie wiedzieć, że nie powinien mieć nawet nadziei! W mieście od dawna uchodził za wielkiego dziwaka. Pijaństwo i próżniactwo zrobiły z niego pośmiewisko. Życie jego początkowo dziwiło miasto, potem zaczęło wydawać się podejrzanym. Bo rzeczywiście: gdzie to widziano, żeby człowiek w jego wieku mieszkał w zajeździe, był nieżonaty i goły jak święty turecki, a w całym majątku miał kuferek i ciężki, stary parasol! Kuźma zaczął spoglądać w lustro; co też to w rzeczy samej za człowiek z niego? Nocuje w „ogólnym numerze”, pośród obcych wyjeżdżających i przyjeżdżających ludzi; z rana wlece się w upale na rynek, łaźni po szynkach, gdzie stara się dowiedzieć czegoś o wolnych posadach, po obiedzie śpi, potem siedzi przy oknie i czyta Kostomarowa²⁰¹, spogląda na zakurzoną białą ulicę i bładoniebieskie upalne niebo... Dla kogo i po co żyje ten mieszczanin o szerokich kościach, chudy i posiwiwały z głodu i ciężkich myśli, który sam siebie nazywa anarchista, ale nie potrafi dokładnie objaśnić, co to znaczy? Siedzi, czyta, czasem westchnie, przejdzie się po pokoju, przykucnie, otworzy swój kuferek, porządniej ułoży rozsypane książki i rękopisy,

Praca, Starość, Samotność,
Bieda, Mieszczanin

²⁰¹ Kostomarov, *Mykola Iwanowycz* (1817–1885) — ukraiński historyk, pisarz, etnograf i krytyk literacki ukraińskiej. [przypis edytorski]

dwie lub trzy spłowiełe koszule, stary surdut o długich połach, kamizelkę i zatartą mętrykę... A potem opuszcza ręce. Po co to wszystko? Jakież ubóstwo i samotność! A jaka przyszłość go czeka — strach pomyśleć! Tichon jest bezdzietny i bogaty, ale nawet na pogrzeb nie dałby ani grosza...

Lato ciągnęło się beznadziejnie. Dumę rozwiązano, ale to nie zmieniło jednostajności upalnych, długich dni. Oczekiwano wprawdzie wielkiego buntu na wsi, ale nikt się nawet nie zdziwił, kiedy nic wielkiego się nie stało. Urządzano znowu okrutne pogromy Żydów, codziennie zdarzały się nowe egzekucje i rozstrzelania, ale miasto przestało się nimi interesować. W powiecie po majątkach panowała obawa, zwłaszcza po owym osławionym dniu, gdy na skutek czyjegoś „rozporządzenia” chłopci się zbuntowali. Ale co może miasto obchodzić powiat? Przysłano jeszcze setkę kozaków. Miejscową gazetkę skonfiskowano trzy razy i na koniec wydawnictwo zamknięto, a sprzedaży pism stołecznych zabroniono. Na afiszach znowu zaczęto drukować: „Z pozwolenia władz przejazdem przez tutejsze miasto...”. Afisze teraz także zrobiły się jakieś marne: przyjechali Małorosjanie²⁰², kuszący do pójścia na „sławny historyczny dramat *Taras Bulba*²⁰³, zabójca swego rodzzonego syna...” („Udział bierze cała trupa”), obiecujący „trepaka²⁰⁴, wspaniałe kostiumy” i „bezpłatne podarunki” w postaci mlecznej krowy i serwisu do herbaty „wartości 75 rubli”. Zjawili się szybkobiegacze i wróżbiarze, jacyś szachraje pokazujący ludzkie potworności: zrosnięte bliźnięta, brodatą kobietę, czternastopudową²⁰⁵ dziewczynę, „cud XX wieku — żywe straszdyło złapane w Morzu Czerwonym²⁰⁶”, na wpół zdechłe, leżące w blaszanej wannie za perkalową firanką...

— Przeklęty dzień mojego urodzenia w tym po trzykroć przeklętym kraju! — mówił niekiedy Kuźma, rzucając gazetę na stół, przymykając oczy i zaciskając zęby. — Na cały świat trzeba by krzyczeć: „Ratujcie, kto w Boga wierzy!”.

— Czekaj, już ty się dokrzychysz! — odpowiadano mu spokojnie i rozmowa przechodziła na urodzaj lub suszę, a Kuźma milknął; zdarzenia były tak okropne, że wrażliwość ludzka tępiała.

W powiecie z rzadka padały deszcze, ale w mieście od samego maja do sierpnia panowała piekielna susza. Narożny dom zajezdny piekł się w słońcu. Nocami z braku powietrza krew uderzała do głowy i budził każdy dźwięk za otwartymi oknami; na sianie zaś nie dawały spać pchły, pianie młodych kogutów i woń gnojówki. Palić także zakazano: gospodarz był tęgi, słaby i nerwowy jak stara baba... Przez całe lato Kuźma nie tracił nadziei, że pojedzie do Woroneża. Ach, jakże nie umiał cenić dni swej młodości! Gdyby chociaż od pociągu do pociągu mógł teraz pochodzić po ulicach Woroneża, popatrzeć na znajome topole, na ten niebieski domek za miastem... Ale po co? Wydać dziesięć czy piętnaście rubli, a potem odmawiać sobie świeczki lub bułki? I przy tym wstyd staremu oddawać się miłosnym wspomnieniom! A co do Kłasy²⁰⁷... Jeszcze pytanie, czy to jego córka... Widział ją dwa lata temu — siedziała przy oknie, plotła koronki, wygląd miała miły i skromny, ale podobna była tylko do matki... Co jej powie, jeżeli nawet odważy się do niej wstąpić? Jakim wzrokiem popatrzy na starca, Iwana Siemionycza? I czas płynął niewypowiedzianie nudno. Nie było nawet przyjezdnych. Przez cały lipiec zatrzymał się tylko parę razy jakiś młody diak, dziwaczny jak każdy seminarzysta. Zjawił się u niego w odwiedziny jego krewny, ale odszedł z niczym: diak był na targu, a zamiast nazwiska swego — Krasnobajew — napisał na desce obce i po łacinie: Benediktow...

Jesienią Kuźma przyszedł do przekonania, że albo musi bezwarunkowo pójść na pielgrzymkę do świętych miejsc, do któregośkolwiek klasztoru, albo machnąć ręką i komuś na złość zacząć pić na nowo... Pewnego razu, otworzywszy kuferek, znalazł *Spowiedź* Tolstoją i przeczytał napis ołówkiem, skreślony po pijanemu jeszcze u Kasatkina: „Nie można wszystkich odzwyczaić od wódki”. Ze dwa miesiące temu byłby się tylko skrzywił — głupia uwaga! — teraz zaś uśmiechnął się i pomyślał: „Czy by nie rzucić tego wszystkiego do

Lato, Miasto, Rosja, Wieś,
Bunt, Antysemityzm

Córka

Jesień, Pijaństwo, Książka

²⁰²Małorosjanin a. Małorusin — członek ludu zamieszkującego Małorosję a. Małoruś, historyczny obszar obejmujący pld.-zach. ziemie Rusi. [przypis edytorski]

²⁰³Taras Bulba — powieść Nikołaja Gogola (1809–1852) z 1835 roku. [przypis edytorski]

²⁰⁴trepak — popularny ukraiński i rosyjski taniec ludowy. [przypis edytorski]

²⁰⁵czternastopudowy — pud to dawna rosyjska jednostka wagowa, odpowiadająca 16,38 kg. [przypis edytorski]

²⁰⁶Morze Czerwone — morze śródłądowe między Afryką a Półwyspem Arabskim. [przypis edytorski]

²⁰⁷Klasza (ros. Клавда) — zdrobnienie imienia Клавдия, Kławdia. [przypis edytorski]

ciężkiej cholery, nie przepuścić wszystkiego do ostatka, a potem przejechać sobie brzytwą po gardle?” Nadchodziła jesień. Na rynku pachniały już jabłka i śliwki. Powrócili też uczniowie do gimnazjum... Zaczęły się wyścigi. Słońce zachodziło za Szczepnym Placem; po wyjściu wieczorem z bramy i po skręceniu za róg można było oślepnąć. Na lewo cała ulica, kończąca się w oddali placem, zalana była niskim, jednostajnym blaskiem. Ogrody za parkanami stały w kurzu i w pajęczynie „babiego lata”. Naprzeciw idzie Połozow w narzutce, lecz kapelusz zamienił już na czapkę z bączkiem²⁰⁸. W miejskim parku — ani żywego ducha. Muszla, w której grała orkiestra, zabita deskami; zamknięto kiosk, gdzie latem sprzedawano kumys i lemoniade; zamknięto drewniany bufet. I kiedyś, siedząc obok tej muszli, Kuźma poddał się takiej beznadziejnej rozpacz, że nie na żarty pomyślał o samobójstwie. Słońce zachodziło, blask jego stał się czerwony, na aleję padało drobne, różowe listowie, dał zimny wiatr. W soborze dzwoniono na nieszpory i w takt tych głębokich sobotnich dźwięków duszę ogarniała nieznosna, ssąca tęsknota. Nagle gdzieś spod muszli rozległ się kaszel, postękiwanie. „Mot’ka”, pomyślał Kuźma. I rzeczywiście, spod schodków wylał Motia-Kacza-Główka. Miał na sobie wyrudziałe żołnierskie buty, bardzo długi gimnazjalny mundur, cały obsypany mąką — widocznie rynek urządził sobie zabawę — a na głowie słomiany kapelusz, po którym widać niejednokrotnie przejechały koła. Nie otwierając oczu, plując i chwiejąc się po pijanemu, przeszedł, nie prosząc nawet o papierosa. Hamując łzy, Kuźma zawołał go:

— Mot’! Chodź no, pogadamy, zapalimy sobie...

Mot’ka zawrócił, siadł na ławce i wznosząc wysoko brwi, zaczął sennie zwiijać papierosa; ale zdaje się, że nie bardzo zdawał sobie z tego sprawę, kto siedzi obok niego, kto skarży mu się na los...

A nazajutrz ten sam Mot’ka przyniósł Kuźmie kartkę od Tichona. I pętla dusząca Kuźmę nagle została zerwana.

W końcu września Kuźma przeniósł się do Durnowki.

III

Durnowska posiadłość miała charakter chutoru. Dawniej tak ją nawet nazywano: chutor. Rodzina Durnowo posiadała kilka majątków, a mieszkała w głównym, w Zuszy. Afanasy Iljicz, ten sam, który zaszczuł Cygana, z rzadka tylko, wracając z polowania, zajeżdżał do Durnowki. Był on marszałkiem szlachty i nie miał czasu na zajmowanie się majątkami: całe życie urządzał obiady, pił *xeres*²⁰⁹ w klubie i sławny był ze swej otyłości, z apetytu, z dźwięcznego szeptu (miał protezę — srebrne gardło), ze szczodrości, z dowcipów i z roztargnienia. Syn jego, ułan, noszący imię dziada, równie rzadko zaglądał do Durnowki. Ułan uchodził jeszcze za bogatego ziemianina. Po przejściu w stan nieczynny postanowił zdobyć miliony i pokazać, jak należy gospodarować. Jednakże jeździć w pole nie lubił, a poza tym niszczyła go namiętność do zakupów: kupował nieomal wszystko, na co padało jego spojrzenie. Rujnowały go także wyjazdy do Moskwy i kochliwość...

Syn jego, który nawet liceum nie skończył, odziedziczył już tylko dwa chutory: Łauchino i Durnówkę. Zniszczył je do tego stopnia, że w ostatnim roku jego pobytu stróżem w Durnowce była stara kucharka, chodząca po nocy z kołatką, otulona w zrudziałą cybetową szubę²¹⁰... „Cóż”, pomyślał Kuźma, do łez ucieszywszy się propozycją Tichona, ale głęboko ukrywając swą radość. „Chutor? Niech będzie chutor! Może to i naprawdę lepiej: przynajmniej kąt zapadły, dzicz zupełna!”.

Kiedyś Ilja Mironow mieszkał w Durnowce przez dwa lata. Kuźma był wtedy jeszcze dzieckiem; pozostały mu tylko w pamięci ciemnozielone, pachnące zagony konopi, w których tonęła Durnówka, i pewna czarna noc letnia... We wsi nie było wówczas ani jednego światła, a obok ich chaty przechodziło, bielejąc w ciemności koszulami, „dziewięć dziewczyn, dziewięć bab, a dziesiąta — wdowa”; wszystkie bose, o prostych włosach, z miotłami, dębczakami, widłami... Ogłuszający był hałas i stuk uderzeń w blaszane

Przemiana, Podróż, Brat,
List

Upadek, Dziedzictwo

Obrzędy, Zabobony

²⁰⁸ *czapka z bączkiem* — rodzaj czapki wojskowej, używanej m.in. w armii carskiej. [przypis edytorski]

²⁰⁹ *xeres* (hiszp.) — sherry. [przypis edytorski]

²¹⁰ *cybetowa szuba* — płaszcz z cywety, gatunku drapieżnika z rodziny wiwerowatych, dość egzotycznego (zamieszkującego Afrykę: Gwineę, Kongo, Przylądek Dobrej Nadziei i Etiopię); tu może chodzić o podobne, miejscowe zwierzę, np. szopa. [przypis edytorski]

drzwiczki pieców i w patelni, a zgiełk ten pokrywała chóralna dzika pieśń. Wdowa ciągnęła pług, obok niej szła dziewczyna z dużą ikoną, a reszta dzwoniła i stukwała... Kiedy wdowa niskim głosem zawodziła: „Ty krowia śmierci, nie wchodź do naszej wsi!”, chór przeciągle, jak na pogrzebie, podchwytywał: „Orzemy, orzemy...” i smętnie, gardłowo ciągnął: „Z kadzidłem, z krzyżem...”.

Teraz durnowskie pola miały wygląd codzienny. Znikły zagony konopi, a jesień spustoszyła pola, sady i opłotki. Kuźma jechał z Worgołu wesoły i z lekka podchmielony; Tichon Iljicz ugościł go przy obiedzie nalewką, a Nastasja Pietrowna — przy poobiedniej herbacie — dwoma rodzajami konfitur. Tichon Iljicz był tego dnia bardzo łagodny, wspominał dni młodości i dzieciństwa, kiedy to jadali gryczane placki, pohukiwali za „Psim pistoletem” i uczyli się u Bielkina. Żonę nazywał ciotunią, podrwiwał z jej świętobliwych pielgrzymek do mniszki Półkarpii, a mówiąc o wynagrodzeniu Kuźmy, powiedział: „Porachujemy się braciszku, porachujemy... Nie skrzywdzę...”. O rewolucji krótko rzekł: „Jakby ptak za wcześniej nie zaśpiewał, to by go kot nie pożarł!”. Kuźma jechał na burym mierzynie²¹¹; wokoło rozciągało się morze suchych, rudych pastwisk. Słońce prawie letnie, przezroczyste powietrze i jasne, bładniebieskie niebo radowały i obiecywały długi spokój. Tak dużo było siwego, poskręcane piołunu, wydartego wraz z korzeniami przez pługi, że go wywożono wozami. Pod samym domem pasła się szkapina z ostami zaplątanymi w grzywie i stał wóz wysoko naładowany piołunem, a obok leżał Jakow — bosi, w krótkich, zakurzonych butach i w długiej, zgrzebnej koszuli. Przycisnąwszy boki wielkiego, szarego psa, trzymał go za ucho, a pies wyl i spoglądał zezem.

— Gryzie? — krzyknął Kuźma.

— Zły, aż strach! — śpiesznie odezwał się Jakow, podnosząc swą krzywą bródkę. — Do mordy koniom skacze...

Kuźma roześmiał się z zadowoleniem: ot, prawdziwy chłop, prawdziwy step! Droga szła po pochyłości i horyzont się zwężał. W oddali zieleniał nowy, żelazny dach spichrza, zdający się tonąć w głuchym, niskopiennym sadzie. Za sadem, na przeciwległym skłonie góry stał długi rząd krytych słomą chat z niewypalanych cegieł. Na prawo za pastwiskami ciągnął się duży parów, łączący się z tym, który oddzielał dwór od wsi. W miejscu, gdzie się parowy schodziły, błyszczał w słońcu staw, a na wąskim skrawku między nimi sterczały skrzydła dwóch wiatraków, otoczonych kilkoma chatami jednodworców — „tych z Cypla²¹²”, jak mówił o nich Oska; na wygonie białą budynek szkoły, pomalowany kredą.

— A cóż dzieciaki... Uczą się...?

— Wiadomo... — powiedział Oska. — Ucznia mają, że no!...

— Jak to ucznia? Chyba nauczyciela?

— No, wszystko jedno, niech mu będzie nauczyciel. Wyuczył bachory, że lepiej nie potrzeba. To żołnierz: wali, nie pyta, ale jaki ma porządek! Zajechaliśmy jakoś z Tichonem Iljiczem, a tu jak nie skoczą wszystkie razem, jak nie wrzasną: „Zdrowia życzymy!”. Niczym żołnierz!

I Kuźma znowu się zaśmiał.

A kiedy przejechali obok gumna, ubitą drogą minęli wiśniowy sad i skręcili na lewo w długie podwórze, już nieco wyschłe i złocące się w słońcu, aż serce w jadącym zabiło: oto na koniec jest w domu. I wszedłszy na ganek, przestąpiwszy próg, Kuźma westchnął i nisko pokłonił się przed ciemną ikoną w kącie przedpokoju...

Przez dłuższy czas przestał się zastanawiać nad tym, czy rosyjski naród ma przyszłość czy też jej nie ma. Chodził po folwarku, po wsi, godzinami przesiadywał na progach chat i stodoł, przyglądając się mieszkańcom Durnowki, rozkoszując się możliwością oddychania czystym powietrzem i gawędzenia z nowymi sąsiadami.

Naprzeciwko domu, tyłem do Durnowki, odwrócone do szerokiego parowu stały spichrze. Z ganku widać było połowę wsi, a za spichrzami — staw i część cypla: wiatrak i szkołę. Słońce wschodziło na lewo za polami, za kolejną na horyzoncie. Rankami staw świecił się w jasnych, świeżych oparach, a z sadu za domem ciągnął zapach czerwonych i czarnych liści, jabłek, chwastów i rosy. Pokoje były małe i puste. W gabinecie,

Brat, Interes,
Wspomnienia, Dzieciństwo

Wiś, Pies

Nauczyciel

Chłop, Gospodarz, Praca,
Przemiana, Wiś, Natura,
Obraz świata

²¹¹ mierzyn — niski, bardzo odporny koń pociągowy. [przypis edytorski]

²¹² z Cypla — w oryg. ros. Мысов (Mysowowie) od ros. Мыс: przylądek, cypel; stąd: ludzie z Cypla. [przypis edytorski]

wytapetowanym nutami, usypane było żyto, w „salonie” i w „bawialni” stało tylko kilka wiedeńskich krzeseł z podartymi siedzeniami i duży, rozsuwany stół. Okna bawialni wychodziły na ogród i prawie przez całą jesień Kuźma, nie zamykając ich, nocował tam na wygniecionej kanapie. Podłóg nigdy nie zamiatano. W roli kucharki czasowo mieszkała u niego wdowa jednodwórka, dawna kochanka młodego Durnowo, która musiała i swoje dzieci oporządzić, i co nieco ugotować sobie oraz Kuźmie z parobkiem. Kuźma sam nstawiał z rana samowar, a potem siedział pod oknem w salonie i pił herbatę z jabłkami. W porannym blasku za jasnym oparem nad pastwiskami przejeżdżał z rana pociąg, a nad nim biegly wstecz różowe kłęby. Gęsto dymiły we wsi chaty. Sad woniał świeżością, na spichrzach leżał srebrzysty szron. W południe słońce stało nad wsią, na dworze było gorąco, a w ogrodzie czerwieniały klony i lipy, cicho roniąc liście. I przezroczyste, suche powietrze pól, i rozległa dal pełne były ciszy i spokoju. Ogrzane przez słońce gołębie cały dzień spały na pochyłości dachu nad kuchnią, żółcącego się nową słomą na jasnym szafirowym niebie. Parobek odpoczywał po obiedzie, jednodwórka szła do domu, a Kuźma wałęsał się dookoła lub szedł na gumno, ciesząc się słońcem, twardą drogą, wyschłymi chwastami, zszarzałymi łopuchami, miłym niebieskim kolorem późnej cykorii i latającym w powietrzu puchem ostromlecza. Pastwiska w polu połyskiwały w słońcu jedwabistymi sieciami ledwo widocznej pajęczyny, osnuwającej je nieskończenie daleko. W ogrodach, na wyschłych badylach siedziały szczygły. Na gumnie w głębokiej ciszy, w słonecznym żarze zawzięcie grały świerszcze... Z gumna Kuźma przechodził przez wał i wracał do domu ogrodem przez jodłowy las. W sadzie gawędził z mieszczanami, dzierżawiącymi ogród, z Młodą i z Kozą, które zbierały spadłe owoce, wlażył za nimi w gęstwinę pokrzyw, gdzie leżały najdojrzalsze jabłka. Niekiedy chodził do wsi, do szkoły... Odmłodził, opalił się i był prawie szczęśliwy.

Koza zadziwiała go swym zdrowiem, wesołą tępotą, bezmyślnie błyszczącymi, egipskimi oczami. Młoda była ładna, ale dziwna: w obecności i jego, i Tichona nic nie mówi, słowa z niej nie można wydostać, a gdy odejdą — śmieje się przenikliwie, droczy się z sadownikami lub niespodzianie śpiewa:

Niech mnie biją, niech gadają,
Moje oczki wciąż mrugają...

Żołnierz-nauczyciel, głupi z natury, w służbie zgłupiał do reszty. Z wyglądu był to zupełnie zwyczajny chłop lat około czterdziestu. Ale mówił zawsze tak niezwykle i gadał takie bzdury, że można było tylko ręką machnąć. Z najwyższą przebiegłością uśmiechał się stale z jakichś nieznanых przyczyn, zmrużonymi oczami patrzył na rozmówcę pobłażliwie, a na pytania nigdy nie odpowiadał od razu.

— Jak się nazywasz? — zapytał go Kuźma, po raz pierwszy wstąpiwszy do szkoły.

Żołnierz zmrużył oczy i pomyślał.

— Owieczka i baran także imienia nie mają — rzekł na koniec, nie śpiesząc się. — Ale i ja pana coś zapytam także samo: Adam to jest imię czy nie?

— No jest...

— Właśnie. A, na ten przykład, ile ludzi od tej pory umarło?

— Nie wiem — odpowiedział Kuźma. — A dlaczego pytasz?

— A dlatego, że my nigdy w życiu tego nie zrozumiemy. Weźmy chociażby takiego, co naród burzy. Buntujesz? Buntuj, kochanku, może będziesz marszałkiem! Albo też doskonale cię rozciągną bez portek dla egzekucji! Jeśliś chłop, to do roli; bednarz, znaj swoją robotę! Ja, na ten przykład, żołnierz jestem i konował. Idę sobie niedawno po jarmarku, patrzę, a tu koń z sapem²¹³. Ja zaraz do strażnika: tak i tak, wasza wielmożność. „A potrafisz tego konia piórem zarżnąć?”. „Z miłą chęcią”.

— Jakim piórem?! — zapytał Kuźma.

— A gęsim. Wziąłem, zaostrzyłem, wepchnąłem w żyłę, dmuchnąłem kapkę, niby w pióro! I gotowe. Myślałby kto, że łatwo, a zrób to!

Żołnierz chytrze mrugnął i stuknął się palcem w czoło:

Żołnierz, Nauczyciel,
Głupota

Koń, Śmierć

²¹³sap — tu: nosaczyna (ang. *SAP, Sinonasal Angiomatous Polyp*), rzadka, groźna choroba zakaźna koni. [przypis edytorski]

— Jeszcze tu coś jest!

Kuźma wzruszył ramionami i umilkł. A dopiero przechodząc obok chaty swojej kucharki, dowiedział się od jej syna, Sien'ki²¹⁴, imienia żołnierza. Okazało się, że mu było Parmien²¹⁵.

— A co macie zadane na jutro? — dodał Kuźma, z ciekawością patrząc na ogniste włosy Sien'ki, na jego żywe, zielone oczy, bladą twarz, szczupłe ciało i popękane z brudu ręce i nogi.

— Zadania, wiersze — powiedział Sien'ka, podtrzymując prawą ręką wzniesioną nogę i skacząc w jednym miejscu.

— Jakie zadania?

— Zliczyć gęsi. Leciało stado gęsi...

— A, wiem — powiedział Kuźma. — A co jeszcze?

— I myszy...

— Także policzyć?

— Tak... Szło sześć myszy, niosło po sześć groszy... — prędko zamamrotał Sien'ka, patrząc z ukosa na srebrny łańcuszek od zegarka Kuźmy. — Jedna mysz słabsza, gorsza niosła pół grosza... Ile będzie razem...?

— Doskonale. A jakie wiersze?

Sien'ka puścił nogę.

— Wiersze? — *Kto on?*

— A umiesz?

— Umiem...

— No?

I Sien'ka jeszcze prędzej zatrząsał o jeźdźcu, jadącym nad Newą²¹⁶ lasami, gdzie była tylko: „jodła, sosna i mech srybny...”.

— Srebrny — powiedział Kuźma — a nie srybny.

— Niech będzie srebrny — zgodził się Sien'ka.

— A ten jeździec to kto...?

Sien'ka pomyślał.

— No, czarownik przecie — odrzekł.

— Ta-a-a-k. No, powiedz matce, żeby ci choć pejsy obcięła. Przecież to dla ciebie gorzej, jak nauczyciel ma za co drzeć.

— E, to on za uszy złapie! — niefrasobliwie powiedział Sien'ka, chwytając się znowu za nogę, i zaczął skakać po wygonie.

Cypel i Durnowka, jak to zawsze bywa z sąsiadującymi wsiami, żyły ze sobą w wiecznej niezgodzie i wzajemnej pogardzie. Mieszkańcy Cypla uważali tamtych z Durnowki za rozbójników i żebraków, a Durnowcy mówili to samo o „tych z Cypla”. Durnowka była, „pańska”, a na Cyplu mieszkali „biedaki” jednodworcy, a raczej resztki tych spośród nich, którzy się przesiedlili do guberni tomskiej²¹⁷. Tylko jednodwórka-kucharka trzymała się z dala od awantur i kłótni. Niewysoka, chuda, schludna, żwawa i równa, spostrzegawcza była i przyjemna w zachowaniu. Każdą rodzinę i na Cyplu, i w Durnowce знаła jak swoją własną i pierwszą zawiadamiała dwór o wszystkich, choćby najmniejszych, zdarzeniach we wsi. Jej życie również wszyscy znali doskonale. Zresztą niczego przed nikim nie ukrywała. Spokojnie i prosto opowiadała o mężu, o Durnowo, i o tym, jak po jego wyjeździe zabrała się do stręczenia.

— Cóż robić? — mówiła, leciutko wzdychając. — Bieda była okrutna. Chleba nawet do przednówka nie starczało. Mój, prawdę trzeba powiedzieć, kochał mnie, ale cóż? Trzeba się było zgodzić; pan dał za mnie całe trzy wozy żyta. „Jakże to będzie?”, mówię do mojego chłopca. „Musi być... Pójdiesz”, mówi. Pojechał po żyto, nosi miarę za miarą, a lży mu kap, kap.... — I pomyślawszy, uśmiechała się. — No, a potem, kiedy pan wyjechał, a mąż

Wieś, Kłótnia, Konflikt,
Bieda, Pogarda, Kobieta,
Pozycja społeczna

²¹⁴Sien'ka (ros. Сенька) — zdrobnienie od Семён, Siemion. [przypis edytorski]

²¹⁵Parmien — ros. Пармен, czyli Parmenas. [przypis edytorski]

²¹⁶Newa — rzeka w europejskiej części Rosji. [przypis edytorski]

²¹⁷gubernia tomska — samodzielna gubernia Imperium Rosyjskiego ze stolicą w Tomsku, funkcjonująca w latach 1804–1925. [przypis edytorski]

poszedł do Rostowa, zaczęłam zmawiać ludzi, kto z kim się nadarzył... Rozpustne z was psy, Boże odpuść!

W dzień pracowała, nie szczędząc rąk, w nocy cerowała, szyła lub kradła na kolei zastawki. Razu pewnego późnym wieczorem Kuźma wybrał się do Tichona Iljicza, wjechał na pochyłość wzgórza i skamieniał ze strachu — nad pastwiskami tonącymi w mroku, na słabo tlejącym pasmie zachodu rosło i płynnym ruchem zbliżało się do Kuźmy coś czarnego, ogromnego...

— Kto to? — krzyknął słabym głosem, ściągając lejce.

— Och! — równie słabo i z przestachem krzyknęło to coś, co tak szybko i płynnie rosło na tle nieba; i nagle rozsypało się z trzaskiem.

Kuźma ocknął się i od razu poznał w ciemności jednodwórkę. To ona biegła prosto na niego, lekka i bosa, a zgięta pod ciężarem naładowanych na plecy dwóch sążnistych zastawek, które stawiane są zimą wzdłuż kolei jako ochrona przed śnieżycą. Uspokoiwszy się, zaszeptała z cichym śmiechem:

— Przestraszyłam się, że o mało nie umarłam. Kiedy człowiek w nocy tak biega, to aż się trzęsie... Ale co robić? Cała wieś pali nimi w piecach, przecież tylko to nas ratuje...

Za to parobek Koszel był człowiekiem zupełnie nieciekawym. Nie można z nim było o niczym mówić, a zresztą on sam także niezbyt lubił rozmawiać. Jak wszyscy w Durnowce powtarzał tylko stare, niemądre sentencje albo potwierdzał to, co od dawna było wiadome. Jeżeli pogoda się psuła, spoglądał w niebo:

— Psuje się pogódka. Teraz deszczyk dla traw to najważniejsza rzecz.

Gdy nawożono zeszłoroczny ugór, robił uwagę:

— Nie nawieziesz, głodny będziesz. Tak mawiali starzy.

Niegdyś służył na Kaukazie, ale żołnierka nie zostawiła na nim żadnych śladów. Nie umiał powiedzieć słowa „poczta”, które wymawiał, „poszta”. Absolutnie niczego nie potrafił opowiedzieć o Kaukazie oprócz tego, że „góra tam stoi na górze”, a z ziemi biją strasznie gorące i dziwne wody: „Jak włożyć baraninę — w minutę się ugotuje, a jak nie wyjąć w porę — znowu stanie się surowa...”. I zupełnie się nie pysznił, że widział kawał świata; dla ludzi obytych miał nawet pogardę: przecież ludziska „pętają się” tylko z musu albo z biedy. Nie wierzył żadnym pogłoskom: „wszystko łgarstwo”, ale wierzył i zaklinał się na Boga, że niedawno pod Basówką toczyło się o zmroku koło od wozu — była to wiedźma. A pewien chłop, nie dureń, wziął i złapał to koło, wsunął w otwór pas i zawiązał go na supeł.

— No i co? — spytał Kuźma.

— Ano — odpowiedział Koszel — obudziła się wiedźma rankiem, patrzy, a tu z gęby i z tyłka sterczy jej pas, zawiązany na brzuchu...

— To czemu go nie rozwiązała?

— Widać, że węzeł był przeżegnany.

— I nie wstyd ci wierzyć w takie głupstwa?

— Czego ma być wstyd? Ludzie kłamią jedno, a ja drugie.

Kuźma lubił słuchać tylko jego przyśpiewek. Siadywał w ciemności przy otwartym oknie: nigdzie ani światelka, wieś ledwo się czerni za parowem, cisza taka, że słychać spadanie jabłek ze stojaków za węglem domu, a Koszel z wolna chodzi po podwórzu z kołatką i przeciągłym, spokojnym głosem wyśpiewuje falsetem: „Zamilcz, ptaszku-karnarku”... Do rana pilnował domu, a w dzień spał. Roboty prawie nie było: ze sprawami Durnowki Tichon Iljicz tego roku uporał się wcześniej i z bydła zostawił tylko konia i krowę. W obojętności było cicho i nawet nudno.

Jasne dni ustąpiły zimnym, sinawo szarym i bezdźwięcznym. Szczygły i sikory zaczęły gwizdać po nagim ogrodzie, wśród jodeł zacykały krzywodzioby, pojawiły się jemiołuszki, śniegulki i jakieś małe, nieruchawe ptaszki, przelatujące chmurami z miejsca na miejsce po gumnie, którego klepisko porosło już jaskrawozieloną, późną trawą; niekiedy taki milczący, leciutki ptaszek siedział gdzieś w polu na uschłym badyłu... Na zagonach pomiędzy spichrzami za Durnówką wykopywano resztę kartofli. I od czasu do czasu pod wieczór stał tam któryś z chłopów, zamyślony i zapatrzonego w pole, trzymając na plecach plecionkę z pozbieranymi kłosami. Wcześniej zapadał zmrok i na folwarku mówiono: „Jak późno teraz przejeżdża pociąg!”, chociaż rozkład jazdy zupełnie się nie zmienił... Kuźma, siedząc przy oknie, przez cały dzień czytał gazety; opisał swą wiosenną podróż do

Bieda, Wieś, Kradzież

Zabobony, Kłamstwo

Ptak, Jesień, Wieś

Kazakowa i rozmowy z Akimem; w starej książce do rachunków notował wszystko, co widział lub słyszał we wsi...

Najwięcej interesował go Szary.

We wsi było pusto. Wielu pojechało zbierać koniczyny. Tryfon umarł na Wniebowzięcie Matki Boskiej: udusił się kawałkiem surowej szynki. Komar, jeden z głównych burzycieli znany ze swego rozumu, siły i śmiałości w obcowaniu z panami, dostał na początku września posadę w gorzelni pod Jelcem, zasnął pijany i udusił się w suszarni, bo nie wiedzano, że w niej został i zamknięto drzwi zasuwą; Komar aż ją pogiął, starając się wyrwać na powietrze, ale śmierć taka była mu już widać pisana. Drugi wicherzyciel, Czerwony Wańka, znowu poszedł do donieckich kopalń. Rymarz pracował po majątkach, Rod'ka — na kolei. Deniska gdzieś przepadał. A wszyscy udawali, że żałują Szarego, korzystając przy tym z okazji, aby drwić i z ojca, i z syna. Jakowowi, gdy zaczynał mówić o Szarym, trzęsły się ręce. Jakżeby mogło być inaczej! Co ten Szary robił z ziemią, którą on, Jakow, gotów był „garściami żreć”? Nikt w całej Durnowce nie przecierpiał setnej części tego, co Jakow. Gdy rozeszły się wieści o buntach, podpalaniach, wywłaszczaniach, milczał z ową wrodzoną skrytością i zaciętością, które z mlekiem matki wessały w siebie tysiące jego przodków. Zresztą zaparłoby mu dech, gdyby zaczął mówić. Teraz, kiedy pogłoski stawały się coraz bardziej niepokojące, pogodził się dla owej ziemi nawet z synem Waśką. Syn był dziobaty, barczysty i ordynarny; gdy miał dwadzieścia lat, urosła mu broda tak szeroka, tak kędzierzawa i tak mocna, że nawet kleszcze nie wyrwałyby z niej ani jednego włoska. Dzięki owej wielkiej brodzie, ostrzyżonej głowie i czerwonej koszuli podobny był do aresztanta, a żonę ubierał jak mieszczkę. Ale chciwością wrodził się w ojca i zaczął już ukradkiem handlować wódeczką, machorką, mydłem, naftą. Jakow pogodził się z nim w nadziei, że przy jego pomocy zagarnie więcej ziemi, wzbogaci się i zacznie ją wydzierżawiać. Ale dlaczego pogodził się Szary z Denisem, który nieraz „zalał mu sadła za skórę”? Czego się spodziewał, próżnując jak ostatni włóczęga? Ziemię wydzierżawiał i nie mieszkał we wsi. W domu siedział o chłodzie i głodzie, a przemyślał tylko nad tym, jakby tu pohulać, zakurzyć — bez fajki nie mógł się obyć ani dnia. Bywał na wszystkich wiecach, ale przychodził zawsze pod ich koniec. Nie opuszczał ani jednego wesela, ani jednego pogrzebu, ani jednych chrzcin, chociaż stał skulony przy drzwiach, i, wyciągając rękę do gospodarza, obnoszącego gościom jadło, nieraz dostawał tylko ordynarne wyzwiska. Szary nie był chciwy na wódkę, ale żadne poczęstunki nie obeszły się bez niego: brał udział nie tylko w ogólnych gromadzkich, ale i w sąsiedzkich z okazji kupna, sprzedaży, wymiany. A sąsiedzi już tak przyzwyczaili się do tego, że nawet się nie dziwili, gdy zbliżał się Szary. Zresztą można go było z zajęciem posłuchać.

„Na gębę miasta bierze”, mówiono o Szarym. Rzeczywiście: jeżeli w duszy jego panował spokój — a spokój był wówczas, gdy kapciuch miał pełen tytoniu — jakimże pracowitym, poważnym chłopem mógł się Szary wydawać!

— Ot teraz trzeba syna żenić — rozważał nieśpiesznie, trzymając w zębach fajkę i mocno rozcierając w rękach tytoń. — Ożeni się, każdy grosz do domu będzie ciągnął; jak żuk w gnoju zacznie dla domu grzebać... A roboty my się, bracie, nie boimy! Zeby tylko była!

Ale Szary nie miał prawie nigdy spokoju ani roboty. Powierzchnowość jego w zupełności usprawiedliwiała przezwisko: szary, chudy, średniego wzrostu, ramiona miał obwisłe, półkożuszek — zbyt krótki, podarty i wyluszczony, wojskowe buty — zbite i podszyte parcianką, a o czapce lepiej nie mówić. Gdy siedział w izbie, nigdy nie zdejmując czapki, nie wypuszczając z zębów fajki i z zakłopotaną miną rozmyślając nad czymś, wyglądał tak, jak gdyby ciągle czegoś oczekiwał. Ale uważał, iż mu się diabelnie nie wiedzie. Po prostu nie trafiała mu się odpowiednia robota, ot co! No, a na zabawę nie miał ochoty. Każdy, naturalnie, tylko przemyślał, jakby go oszukać...

— Język przecież nie ma kości — mówił Szary. — Ty wprzód daj mi co do ręki, a potem sobie gadaj.

Ziemi miał sporo: trzy dziesięciny, ale z podatkami zalegał tak, że starczyłoby i na dziesięć. Zresztą odpychało go teraz od ziemi: „Mimo woli rzuciłby ją człowiek! Ziemię-matkę trzeba utrzymywać w porządku, jak należy, no, a jaki tu może być porządek?!”.

Ziemia, Chłop

Obsiewał nie więcej niż pół niwy, a i to sprzedawał na pniu — „młile za niemłile oddawał” — a potem znowu mawiał rozważnie: „Doczekaj się, popróbuj doczekać się!”. „Jednak lepiej, na ten przykład, doczekać się...” — mamrotał w odpowiedzi Jakow, patrząc gdzieś w bok i złośliwie się uśmiechając. Szary również się uśmiechał, ale smutnie i pogardliwie.

— Lepiej! — chrząkał. — Tobie dobrze gadać: dziewczkę wydałeś, chłopca ożeniłeś. A u mnie, popatrz tylko, pełna izba dzieciaków... Przecie to nie cudze. Ot, kożę dla nich trzymam, prosiaka tuczę... Także przecież chcą pić i jeść.

— No, koza, na ten przykład, temu niewinna — z rozdrażnieniem odpowiadał Jakow. — Na ten przykład, nam w głowie tylko jedno: wódeczka i fajeczka... Fajeczka i wódeczka...

I aby się z sąsiadem bez sensu nie pokłócić, pośpiesznie oddalał się od Szarego. A ten spokojnie i rzeczowo dodawał w ślad za nim:

— Pijak, bracie, prześpi się, a głupi głupim zostanie...

Po rozejściu się z bratem długo tułał się Szary po mieszkaniach, godził się do służby i w mieście, i na folwarkach. Chodził też na koniczyny. I tutaj kiedyś mu się poszczęściło. Brygada robocza, do której przyczepił się Szary, zgodziła się na młóckę dużej partii za osiemdziesiąt kopiejek od puda, a tymczasem koniczyna obrodziła przeszło dwa razy tyle. Przy młóceniu Szary odgarniał wraz z plewami ziarno, po czym kupił te zmiotki, no i z bogacił się; tejże jesieni wybudował ceglana chałupę. Ale nie obliczył, że chałupę trzeba opalać. A pytanie czym, kiedy nawet i do żarcia nic nie było. Musiał spalić poszycie chaty, więc rok stała bez dachu, aż cała poczerniała. Komin poszedł za chomąta²¹⁸. Wprawdzie konia jeszcze nie było, ale przecież kiedyś trzeba oporządzić gospodarstwo... Wreszcie Szary machnął ręką: postanowił chałupę sprzedać, a wybudować inną, glinianą, tańszą. Rozumował w taki sposób: z chałupy wydostanie, no, w najgorszym razie dziesięć tysięcy sztuk cegły, za tysiąc dadzą mu pięć albo i sześć rubli; razem, znaczy się, będzie z pół setki, a z pół setki!... Ale okazało się, że cegły było tylko za trzy i pół tysiąca, a za gruz dostał nie pięć rubli, lecz tylko dwa i pół... Przez długi czas zamiast wymarzonej pięknej chaty sterczał i twardniał pod deszczem goły pagórek śmieci; nie było ich czym wywieźć i ręce po prostu opadały na widok takiej masy pracy. Jakow dawał nauki moralne: „Trzeba było, na ten przykład, od razu taniej kalkulować...”. „A na długo by to starczyło, do diabła, to tańsze?”, myślał Szary. I kłopotąc się o nową chatę, przez cały rok przewidywał się jedynie o takie, które wcale nie były na jego kieszeń, a z obecną pogodził się tylko dlatego, że marzył o przyszłej — mocnej, obszernej i cieplej.

— W tej to, prawdę mówiąc, wcale mieszkac nie można — odciął się pewnego razu.

Jakow uważnie popatrzał na niego i machnął czapką.

— Tak... Widać czekasz, aż okręty przypłyną?

— A żebyś wiedział, przypłyną... — odpowiedział Szary zagadkowo.

— Oj, rzuć już raz te bzdury! — powiedział Jakow. — Idź gdzie do roboty. A miejsca, na ten przykład, zębami się trzymaj...

Ale myśl o przyzwoitym domu, o porządku, o jakiejś składnej i prawdziwej robocie zatruwała życie Szaremu. Nudziła go praca na miejscu.

— Widać robota i w domu nie miód? — mówili sąsiedzi.

— Ale! Byłaby miód, żeby dom był ludzki.

— Tak. To znaczy, znów weźmiesz miejsce na miesiąc, do czasu robót?

— A tak... Bo dozór w domu potrzebny. Czy nie?

— A jak w domu siedzisz, to fajczkę palisz!

— A cóż? Czy mnie teraz i palić nie wolno?

I Szary, ożywiwszy się nagle, wyjmował z ust zimną fajkę i zaczynał ulubioną opowieść, jak to on, będąc kawalerem, całe dwa lata uczciwie i porządnie przebył u popa pod Jelcem.

— A niechbym i teraz tam poszedł, z otwartymi rękami mnie przyjmą! — wykrzykiwał. — Niechbym słowo tylko powiedział: „Przyszedłem, ojczulku, dla was popracować; weźmiecie czy nie?”. „A cóż ty się pytasz, kochanku?”, powie. „Cóż to, czy ja ciebie nie znam? Ależ to się wie! Boże wielki! A bądź że tu choćby do śmierci!”.

— To, na ten przykład, poszedłbyś...

Dom, Bieda

²¹⁸ *chomąto* — rodzaj jarzma używanego do zaprzęgania zwierząt pociągowych. [przypis edytorski]

— Poszedłbym! Ale ot, popatrz, cała izba pełna bachorów! Wiadomo, cudza bieda nie boli... A tu człowiek bez sensu przepada...

I tak bez sensu przepadał Szary i przez bieżący rok. Całą zimę z zafrasowaną miną przesiedział w domu bez ognia, o chłodzie i głodzie; w wielkim poście dostał się w jakiś sposób do Rusanowów pod Tułę; w rodzinnych stronach już go nie brano. Ale miesiąc nie przeszedł, a już mu diablo dopiekła rusanowska oszczędność.

— Oj, chłopie — powiedział raz pewnego pisarz — ja ciebie na *durch*²¹⁹ widzę: szykujesz się zwać! Wybieracie, sukinsyny, pieniądze naprzód, a potem nogi za pas!

— To może jaki włóczęga tak robi, a nie my — odciął się Szary.

Ale pisarz nie zrozumiał przytyku. I trzeba było postąpić bardziej stanowczo. Pewnego razu kazano Szaremu przywieźć paszy dla bydła. Chłop pojechał na gumno i zaczął ładować na wóz słomę. Wtem podszedł pisarz.

— Czy ja tobie nie powiedziałem ludzkim językiem: „Paszy nakładaj”?

— Tera nie pora na to — stanowczo odparł Szary.

— Niby dlaczego?

— Porządne gospodarze paszę dają w południe, a nie na noc.

— A to co?! Nauczyciel się znalazł!

— Nie lubię bydła mordować. Ot i całe nauczycielstwo!

— A słomę wiesz?

— Kuźda rzecz ma swój czas.

— Rzuć to w tej chwili!

Szary zbladł.

— Nie, pracy nie rzucę. Pracy nie wolno rzucać.

— Dawaj widły, sobako! I nie wódź mnie na pokuszenie...

— Ja nie sobaka, a krześcijański człowiek. Odwiozę i pónkę, całkiem pónkę.

— To jeszcze, bratku, nie wiadomo! Pójdiesz, a w prędkim czasie z powrotem cię do gminy sprowadzą.

Szary zeskoczył z wozu i rzucił widły w słomę:

— To niby mnie sprowadzą?

— A ciebie!

— Oj, bracie, nie ciągnij za język! I o tobie różne rzeczy wiemy! Także by gospodarz nie pochwalił...

Tłuste policzki pisarza aż zsiniały od napływu krwi, a białka oczu wylazły na wierzch. Pięścią zsunął czapkę na tył głowy i dusząc się, wykrztusił szybko:

— A-a-a, to tak... Nie pochwali...? Gadać zaraz, o co chodzi! Za co...?

— Ja ta nie mam o czym mówić — mruknął Szary, czując, że ze strachu ociężyły mu nogi.

— O nie, bratku, nie wykręcisz się... Powiesz!

— A gdzie mąka się podziła? — niespodzianie krzyknął Szary.

— Mąka? Jaka mąka?

— A taka: ze młyna...

Pisarz silnym chwytem złapał Szarego za kołnierz, przydusił i na moment obydwaj znieruchomieli.

— A ty co, za gardło chwytasz...? — spytał Szary spokojnie. — Udusić chcesz? — I nagle z wściekłością zapiszczał: — No, bij, bij, póki czas!

Szarpnął się, wyrwał i schwycił widły.

— Ludzie! — zaryczał pisarz, chociaż nikogo w pobliżu nie było. — Po wójta! Słuchajcie! Chciał mnie zakłuć, sukinsyn!

— To nie pchaj się, bo se nos przytniesz! — powiedział Szary, trzymając widły w dół ostrzami. — Teraz nie tamte czasy!

Ale w tej chwili pisarz zamachnął się i Szary runął głową w słomę...

Ssąca tęsknota znów zaczynała ogarniać Kuźmę wraz ze zmianą pogody i rosła w miarę tego, jak poznawał Durnowkę i Szarego. Zrazu było to tylko smutne i śmieszne: „Co za niedorzeczny człowiek!”, potem stało się i przykre, i wstrętne: „Wyrodek jakiś!”. Całe lato przesiedział on na progu chaty, kurząc i wyczekując łaski od Dumy. Jesienią wałęsał się od

Pan, Chłop, Praca, Pozycja
społeczna, Konflikt

²¹⁹na *durch* (z niem.) — na wskroś. [przypis edytorski]

domu do domu w nadziei, że przyczepi się do kogokolwiek, jadącego na koniczynie... W gorący słoneczny dzień zapaliła się sterta zboża na skraju wsi. Szary zjawił się pierwszy do pożaru, krzyczał, aż ochrypl, opalił sobie rzęsy, przemókł do nitki, kierując wozowodami i tymi, którzy rzucali się z widłami w ogromne różowo-złote płomienie, rozrzucając na wszystkie strony ogniste snopy. Komenderował też tymi, co po prostu biegali wśród żaru, wśród syku lejącej się wody, wśród zgiełku, wśród wywalonych przed izby kadzi, ikon, wrzecion, derek, wśród szlochających bab i sypiących się z opalonych łozin czarnych liści... Ale czy zrobił coś do rzeczy?

Pożar

W październiku, kiedy po ulewnych deszczach i po gradowej burzy zamarzał staw, a wieprz z sąsiedztwa, ześlizgnąwszy się z obmarzłego brzegu, przebił lód i zaczął tonąć, Szary pierwszy z rozpędu rzucił się do wody na ratunek. Ale dlaczego? Żeby być bohaterem dnia, mieć prawo przyjścia wprost ze stawu do czeladnej i zażądać wódki, tytoniu i przekąski. Z początku był siny, dzwonił zębami i ledwo poruszał białymi wargami, przebijając się w cudze ubranie, w rzeczy Koszela. Potem ożył, podchmielił sobie, zaczął się chwalić i opowiadać, jak to on uczciwie i porządnie służył u popa i jak to kilka lat temu zręcznie wydał za mąż córkę. Siedział za stołem, żuł chciwie, popijał wódką kawałki surowej szynki i zadowolony z siebie opowiadał:

— No, dobrze. Zwąchała się, znaczy, Matrioszka z tym Jegorką... Zwąchała się, to się zwąchała. Niech będzie, siedzę sobie jakoś wieczorkiem przy okienku, aż tu patrzę, Jegorka przeszedł koło chaty raz, dwa... A ona wciąż hop do okna, hop do okna... „Znaczy się, obmyślił wszystko”, myślę sobie. I powiadam do baby: „Ty tutaj bydłu daj żarcie, a ja pónđę na wiec, posłucham”. Usiadłem za chatą w słomie, siedzę, czekam. A już śnieżek napadał. Widzę, znowu skrada się Jegorka. A ona już także jest! Poszli do piwnicy, a potem hyc, do nowej chaty, takiej pustej, co zbudowana przy mojej. Poczekalem jeszcze trochę...

Wieś, Kochanek, Córka,
Seks, Hańba, Przemoc,
Podstęp

— To dopiero historia! — powiedział Kuźma i uśmiechnął się boleśnie, ale Szary zrozumiał to jako pochwałę, jako zachwyt nad jego rozumem i przebiegłością i, czując się bohaterem, ciągnął, to podnosząc głos, to znijając go zjadliwie: — Czekaj, posłuchaj, co dalej będzie. Poczekalem, znaczy, trochę i za nimi... Skoczyłem przez próg i tak go wprost na niej złapałem! Przestraszyli się okropnie. On upadł na ziemię jak worek, choć zarżnij.... A ona leży jak kaczka, niby martwa... „No”, powiada on, „teraz mnie bij”. A na co mi to! Zabrałem jego kaftan, kurtkę także, został w gaciach i w czym go matka urodziła... „No”, powiadam, „a teraz idź, dokąd chcesz...”. I poszedłem do domu. Patrzę, a on idzie za mną: śnieg biały i on biały, idzie i jęczy... Dokąd pójść? Co robić? A moja Matriona Mikoławna, jak tylko wyszedłem z chaty, dalej w pole! Jak poleciała, to dopiero pod samą Basówką sąsiadka złapała ją za rękaw i do mnie przyprowadziła. Dałem jej odpocząć i powiadam: „Czy my jesteśmy biedne ludzie czy nie?”. Milczy. „A matka twoja głupia czy mądra?”. Ona dalej milczy. „Jakżeś ty mogła nam takiego wstydu narobić? Co? To ty myślisz, że mi tu pełne kąty narzucasz tych twoich bękartów, a ja tylko będę patrzył i oczami mrugał? Przy naszej biedzie tyś powinna na siebie dobrze uważać, a nie chichotać i po kątach się tłuc, ty ścierwo!”. No, i zacząłem ją łupić... A bacik miałem do-o-obry... Po prostu można powiedzieć, po pas do krwi stłukłem, że więcej nie można... Ona pełźnie do nóg, całuje buty, a on siedzi na ławie i jęczy. Wziąłem się później do niego, do gołąbka...

— I ożenił się?

— Ho-ho! — wykrzyknął Szary i czując, że wódka go rozbiera, zaczął zgarniać z talerza kawałki szynki i wpychać je do kieszeni w portkach. — Jeszcze jakie weselisko było! Ja, bracie, na wydatki nie poskąpię...

„To dopiero!...”, myślał tego wieczora Kuźma...

Pogoda się zepsuła. Nie chciało mu się pisać, a nuda rosła. Nędza i nieróbstwo Szarego i Denisa zdumiewały go — wieś gnije! Potworna historia Młodej w sadzie i śmierć Rod'ki oszołomiły go, życie Tichona Iljicza dziwiło. A czyż jego można było czymkolwiek tak łatwo zdziwić? Czyż nie znał swego kraju i swego narodu? Z goryczą i gniewem wylewał swe serce przed Tichonem Iljiczem, prawił mu morały i dokuczał... Lecz gdyby Tichon Iljicz wiedział, z jaką radością rzucał się Kuźma do okna, ujrzawszy przy ganku jego czapkę, kapotę i szarą brode! Jak się bał, że brat nie zanocuje, jak starał się zatrzymać go na dłużej, wciągając w rozmowę, we wspomnienia... Nudził się Kuźma późną jesienią, och,

Wieś, Upadek, Rosja, Lud

jakże się nudził! Całą rozrywką było czyjekolwiek przyjście z prośbą. Kilka razy przyjechał Gołolobij z Basowki (chłop zupełnie łysy i w ogromnej czapie), prosząc o napisanie skargi na kuma, który mu złamał obojczyk. Przyszła wdowa Butyłoczka z Cypla o napisanie listu do syna; miała na sobie łachmany mokre i obmarzłe na deszczu. A gdy zaczęła dyktować — w płacz!

— Miasto Sierpuchow²²⁰, przy pańskiej łaźni, dom Żeltuchina...

I płacze.

— No? — pytał Kuźma, żałośnie marszcząc brwi i ponad binoklami, niby starzec, patrząc na Butyłoczka. — No, napisałem. Co dalej?

— Dalej? — pytała Butyłoczka szeptem i, starając się opanować głos, ciągnęła: — A dalej to pisz, kochany, mądrze... Żeby oddali, znaczy, Michałowi Nazaryczowi Chłusowowi do własnych rąk...

A potem zaczyna albo z przestankami, albo zupełnie bez zatrzymania:

— List do naszego kochanego i drogiego syneczka naszego Miszy co ty Misza zapomniałeś o nas nie ma żadnej wiadomości od was... Sam wiesz my na mieszkaniu, a teraz nas wypędzają, gdzie się teraz podziejemy... Drogi nasz synku Misza prosimy ciebie na Boga świętego przyjeżdżaj do domu jak tylko prędko możesz...

I znowu przez łzy i szeptem:

— My tu sobie choć jaką jamę w ziemi wykopiem, a będziemy swój kąt mieli...

Znów dręczyły burze i lodowate ulewy, dni podobne do zmierzchu, błoto na całym folwarku, usianym drobnymi, żółtymi liśćmi akacji, nieobjęte okiem pastwiska oraz oziminy wokoło Durnowki i bez końca ciągnące nad nimi chmury. Napawały nienawiścią do tego przeklętego kraju, gdzie przez osiem miesięcy szaleją śnieżyce, a przez cztery padają deszcze i gdzie za potrzebą można tylko wyjść w obejście albo do wiśniowego sadu. Kiedy zaczęły się niepogody, trzeba było bawialnie zabić na głucho deskami i przenieść się do sali; przez całą zimę Kuźma i nocował tutaj, i jadał obiady, i palił papierosy, i przepędzał długie wieczory przy mętnej kuchennej lampeczce, chodząc z kąta w kąt w kapocie i czapce, ledwo co nieco ratujących od zimna i wiatru dmącego przez szczeliny. Niekiedy okazywało się, że zabrakło nafty i Kuźma przepędzał zmierzch bez światła, a wieczorem zapalał jakikolwiek ogarek tylko po to, aby zjeść na wieczrę kartoflaną i ciepłą pszenną kaszę, które w milczeniu i z surową twarzą podawała Młoda.

„Dokądby tu pojechać?” myślał niekiedy.

Sąsiadów w pobliżu było tylko trzech: stara księżna Szachowa, która nie przyjmowała nawet marszałka szlachty, uważając go za człowieka źle wychowanego; były żandarm Zakrzewskij, przez hemoroidy zły, a przy tym zarozumiały i głupi, który na próg nie puściłby Kuźmy; i zaściankowy szlachcic Basow, mieszkający w chałupie, a ożeniony z rozpustną wdówką po żołnierzu, rozmawiający tylko o chomątach i o bydle. Pewnego razu odwiedził Kuźmę ojciec Piotr, duchowny z Kołodezi, parafii Durnowki, ale ani jeden, ani drugi nie mieli chęci podtrzymania tej znajomości. Kuźma przyjął popa tylko herbatą, a ten, ujrawszy na stole samowar, zaśmiał się nieprzyjemnie i ostro: „Samowarek? Świetnie! Jak widzę, nie będzie z nas pary: nie rujnujesz się na przyjęcie!”. Kuźma szczerze oświadczył, że nigdy w cerkwi nie bywa ze względu na swe przekonania, a pop roześmiał się jeszcze dziwniej, jeszcze krzykliwiej i głośnie: „A-a-a! Nowe idejki? Świetnie! I przy tym — taniej!”. Śmiech ten wcale do niego nie pasował. Zdawało się, że śmieje się ktoś inny zamiast tego wysokiego, chudego człowieka z dużymi łopatkami, z czarnymi, grubymi włosami i z rozbieganymi, chciwymi oczami; miał wygląd lęklawie roztargnionego, myślącego przez cały czas o czymś innym, łatwo się obrażającego i niezręcznie udającego swobodę. „Ale na noc? Na noc to pewnie żegnasz się jednak, co? Strach bierze?”, powiedział głośno i prędko, ubierając się w przedpokoju, gdy zmęczony już Kuźmę rozpytywaniem o gospodarstwo (i nieoczekiwanie przeszedł na „ty”). „Ano, żegnam się”, ze smutnym uśmiechem przyznał Kuźma. „Ale przecież strach to nie wiara, a ja robię ten znak nie w imię waszego Boga”.

Kuźma nie był zbyt często u brata. Tamten zaś przyjeżdżał tylko, gdy był czymś zdenerwowany. I samotność dokuczała tak beznadziejna, że Kuźma nazywał siebie niekie-

Ksiądz, Wiara, Pozory,
Pobożność

²²⁰ Sierpuchow (ros. Сѣрпухов) — miasto w Rosji w obwodzie moskiewskim. [przypis edytorski]

dy Dreyfusem²²¹ na Wyspie Diabelskiej²²². Porównywał się także z Szarym. Ach, przecież i on, jak tamten, nędzny jest, ma słabą wolę, wykoleił się i przez całe życie czeka na jakieś szczęśliwe dni do pracy!

Z „dzielności”, z opowiadania i z chępienia się podchmielonego Szarego pozostało mu przykre wspomnienie. Ale zazwyczaj i po pijanemu Szary był gadatliwy, czymś zakłopotany i nieśmiało wesoły. Zresztą podchmielić sobie udawało mu się może z pięć razy do roku. Nie był chciwy na wódkę w przeciwieństwie do tytoniu. Dla tytoniu zgodziłby się na wszelkie poniżenie, gotów był godzinami siedzieć obok palącego, potakiwać mu i pochlebiać, a wszystko po to, aby, wyczekawszy odpowiednią chwilę, niby przypadkiem powiedzieć: „Daj no, kumie, do fajki...”. Namiętnie lubił także karty, długie rozmowy, wieczorne zebrania po chałupach — po tych chałupach, gdzie żyły liczne rodziny, gdzie było ciepło, gdzie się ogień palił, gdzie przechodzący robotnicy czesali wełnę, a wędrowni krawcy szyli półkożuszki. Lecz po chatach jeszcze się ludzie nie zbierali i Szary siedział w domu... Odwiedziwszy go kilkakrotnie, Kuźma poczuł, że nie należy ani gniewać się na Szarego, ani z niego podrwiwać. Szary żył z tego, co zarobiła latem na dniówki jego żona, cicha, milcząca, głupkowata baba, i z tego, co udawało mu się wyprosić od Deniski, zjawiającego się z rzadka w Durnowce z kuferkiem, z białym chlebem, z kielbasą, za którą przepadał, a który, nie krępując się, wymyślał na cara i na dziedziców. Gdy spadł pierwszy śnieg, Szary gdzieś poszedł, przepadł na cały tydzień. Do domu powrócił zaszępiiony.

— Cóż, znowu chodziłeś do Rusanowa? — spytał sąsiedzi.

— Chodziłem — odpowiedział Szary.

— Po co?

— Namawiali, żeby się nająć.

— Aha! I cóż, nie zgodziłeś się?

— Nie głupszym ja od nich i nigdy głupi nie będę... Toż nie podpisywałem się krwią serdeczną!

I Szary, nie zdejmując czapki, zasiadł na ławie i przesiedział tak całą zimę. Smutno było o zmierzchu patrzeć na jego chałupę. Za szerokim, zaśniewanym parowem jakoś przykro czerniała Durnowka ze swymi gumnami i łożinkami w opłotkach. Ale gdy zapadały ciemności i światła zajaśniały, wydawało się, że w chatach jest spokojnie i przytulnie. Tylko izba Szarego smutno czerniała, głucha była i martwa. Kuźma już wiedział: gdy wejdzie do ciemnej, półotwartej sieni, poczuje nieomal na progu zapach zwierzęcego legowiska; pachnie tam śniegiem, poprzez dziury w dachu widać ponure niebo, wiatr szumi w nawozie i w chruscie, narzuconym byle jak na krokwie; gdy po omacku znajdzie pochyloną ścianę i otworzy drzwi, przywita go chłód i ciemność oraz ledwo szarzące w mroku okienko... Nie widać nikogo, ale łatwo można odgadnąć, że gospodarz siedzi na ławie: fajeczka jego żarzy się niby węgielek; gospodyni cichutko buja skrzypiącą kołyskę, w której huśta blade i senne z głodu, rachityczne dziecko. Dzieciaki wlaży na ledwie ciepły piec i z ożywieniem o czymś sobie opowiadają. W zgnilej słomie pod narami grzebią się i szeleszczą dwaj wielcy przyjaciele, koza i prosiak. Człowiek boi się rozprostować z obawy, że uderzy głową w sufit. Nie ma też odwagi, żeby się odwrócić: odległość zaledwie pięciu kroków dzieli próg od przeciwległej ściany.

— Kto tam? — brzmi z ciemności cichy głos.

— Ja.

— Czyżby Kuźma Iljicz?

— Tak, ja.

Szary posuwa się, opróżnia miejsce na ławie. Kuźma siada i zapala papierosa. Po mału rozpoczyna się rozmowa. Przygnębiony ciemnością Szary staje się prosty, smutny i przyznaje się do swych błędów. Głos jego chwilami drży...

Zima była długa i śnieżna.

Wieś, Rodzina, Bieda

Zima, Wieś, Choroba

²²¹Dreyfus, Alfred (1859–1935) — francuski oficer żydowskiego pochodzenia, niesłusznie skazany za zdradę i zesłany do kolonii karnej na Wyspie Diabelskiej (Île du Diable) w Gujanie Francuskiej. [przypis edytorski]

²²²Wyspa Diabelska — (fr. Île du Diable) wyspa ta należy do archipelagu Îles du Salut w Gujanie Francuskiej. [przypis edytorski]

Pola, słabo bielejące pod sinawym, chmurnym niebem, stały się jakieś szersze, większe i jeszcze bardziej pustynne. Na tle pierwszego śniegu jaskrawiej odcinały się chałupy, stodoły, łożyny i gumna. Potem przyszły zawieje, które namioty i nawaliły tyle śniegu, że wieś nabrała jakiegoś północnego, dzikiego wyglądu; czerniały już tylko drzwi i okienka, ledwie widoczne spod nawisłych czap śniegu i spomiędzy bieli gęstych zasp. Po zamieciach, nad szary, stwardniały śnieg na polach przyszły ostre wiatry i zerwały ostatnie brązowe liście z samotnych dębów w parowie. Mieszkaniec Cypla, Taras Miliajew, wyglądający na sybiraka i po sybirsku zamilowany w polowaniu, polazł i aż zatonął w olbrzymich zaspach, upstrzonych zajęczymi śladami; beczki do wozenia wody zamieniły się w zamrożnięte bryły; wokoło przerębli narosły śliskie lodowe pagórki; poprzez śnieżne zasy przetarto drogi i popłynęły zwykle, codzienne, zimowe dni. Po wsiach zapanowały epidemie przeróżnych chorób: ospa, febra, szkarlatyna, krup. Lecz choroby te od wieków zimą nie porzucają wsi i ludzie tak się do nich przyzwyczaili, że nie mówi się o nich więcej niż o zmianie pogody. Wokoło przerębli, z których pila cała Durnowka, nad śmierdzącą wodą koloru ciemnych butelek po całych dniach stały zgięte baby ze spódnicami podkasanymi powyżej nóg, sinych kolan, z owiniętymi głowami i w mokrych łapciach. Z napełnionych popiołem kociołków wyciągały swe zgrzebne szare koszule naszyte do pasa perkalem, męskie parciane portki, dziecinne zapaskudzone powijaki, płukały je, tłukły kijankami i gadały ze sobą, komunikując wzajemnie, że „ręce zaszyły od pary”, że w chałupie u Makarowów umiera z gorączki babka, że synowej Jakowa założyło gardło... Dziewczynki wyskakiwały z chat tylko w koszulach, biegły prosto z przypiecków za węgiel na kupy zamrożłego śniegu. Chłopaki w ojcowskich szmatach pędziły na saneczkach z górk, tarzwały się, piszczwały, zachłystywały okropnym kaszlem i wracały pod wieczór do domów zgorączkowane, z ciężkimi, zamroczonymi głowami, tak przemarznięte, że ledwo poruszały wargami, prosząc o coś do picia, a napiwszy się, włożyły z płaczem na przypiecek. Ale nawet matki nie zwracały uwagi na chorych... Zmrok zapadał już o trzeciej i kudłate psy siedziały na dachach, które zniżyły się teraz prawie do poziomu zasp. Żywa dusza nie wiedziała, czym się te psy karmiły, jednakże wszystkie żyły, a nawet były rozzarte.

Zima, Głód, Pies

W domu budzono się wcześniej. O brzasku, w sinawej ciemności, gdy po chałupach zapalały się światełka, gdy rozpalano ogień na kominach i poprzez strzechy wiał się pomału gęsty, mleczny dym, a w oficynie z szarymi, zamrożłymi oknami robiło się zimno jak w sieni, Kuźmę budził stuk drzwi i szuranie zamrożłej, pełnej śniegu słomy, którą Koszel taszczył z sani. Rozlegał się jego cichy, ochrypły głos, głos człowieka, który wstał przed wszystkimi i na czczo przemarzł. Młoda łomotała rurą samowaru i rozmawiała surowym szeptem z Koszelem. Spała teraz nie w czeladnej, gdzie karaluchy gryzły do krwi w ręce i w nogi, lecz w przedpokoju, i cała wieś była przekonana, że „ma to swój powód”. Wieś dobrze wiedziała, co przeżyła Młoda jesienią, gdy zwała się na nią hańba i śmierć Rod'ki; wiedziała, że matka, zamknawszy pustą izbę, poszła na żebry. Młoda, milcząca, przybita ciężarem nieszczęścia, była surowa i smutna niby zakonnica. Ale co obchodzi wieś cudze zmartwienia? Kuźma wiedział już od jednodwórki, co opowiadali we wsi i, budząc się, zawsze wspominał o tym ze wstydem i wstrętem. Stukał w ścianę, dając znak, że czeka na samowar i chrząkając, zapalał papierosa — uspokajało to serce i robiło dobrze na piersi. Leżał pod tulupem²²³ i, nie mogąc się zdecydować na opuszczenie ciepłego legowiska, palił i myślał: „Bezwestny naród! Przecież mam córkę prawie w jej wieku...”. Fakt, że za ścianą nocowała młoda kobieta, budził w nim tylko ojcowską tklivość. W ciągu dnia Młoda była milcząca i poważna, skąpa w mowie, dziewczczo nieśmiała. A gdy spała, miała w sobie coś nieomal dziecięcego, smutnego i osamotnionego. Razu pewnego zasnęła po obiedzie na swoim kuferku w przedpokoju, okręciwszy głowę szalem, podwinawszy pod siebie nogi i obnażywszy kolano. Leżące nogi wydawały się bardzo kobiece, a obnażone kolano bieleło jak u dziewczynki. Kuźma, mijając ją, odwrócił się i zawołał na nią, żeby się obudziła i okryła. Ale czy wieś temu uwierzy? Nie uwierzyłby i Tichon Iljicz, jakoś bardzo dziwnie uśmiechał się od pewnego czasu. Zawsze był podejrzliwy, nieufny, w podejrzeniach swoich ordynarny, a teraz do reszty stracił rozum — cokolwiek mu się powie, na wszystko ma jedną tylko odpowiedź.

²²³tulup — duże futro baranie. [przypis edytorski]

— Słyszałeś, Tichonie Iljiczu? Mówią, że Zakrzewskij umiera na katar płuc. Zawieźli go do Orła²²⁴.

— Łgarstwo! Znamy takie katary!

— Felczer²²⁵ mi przecież mówił.

— Właśnie! Słuchaj tylko, co felczer opowiada... Powiesz mu: „Gazetkę chcę zaprenumerować”. A on na to: „Daj mi, proszę, dziesięć rubli zaliczki na rachunek pensji”.

— Hm! Że też są ludzie, którym się chce nabijać sobie głowę bzdurami. Zresztą, przyznam ci się, że mam przy sobie wszystkiego siedemdziesiąt pięć kopiejek czy nawet tylko dwadzieścia...

Weszła Młoda z opuszczonymi rękami.

— Tichonie Iljiczu, mąki nam została tylko odrobina...

— Jakże to, odrobina? Oj, kręcisz, babo!

I wykrzywia brwi, zaczyna dowodzić, że mąki powinno było starczyć jeszcze co najmniej na trzy dni, a ciągle przenikliwie spogląda to na Kuźmę, to na Młodą. Raz nawet, uśmiechnąwszy się, zapytał:

— Jakże się wam śpi? Dobrze, ciepło?

I Młoda, dla której w ogóle zawsze przykre były jego odwiedziny, silnie poczerwieniała i wyszła z pochyloną głową, a Kuźmie ze wstydu i złości aż palce zziębły.

— Wstydzilibyś się bracie, Tichonie Iljiczu — bełkotał, odwracając się w stronę okna. — Zwłaszcza po tym, co mi wyjawileś...

— To czego tak poczerwieniała? — zapytał Tichon Iljicz, uśmiechając się ze złością i zakłopotaniem.

Najbardziej nieprzyjemne było poranne mycie. W przedpokoju od zwalonej tam słomy wiał mróz, w miednicy pływał lód niby potłuczone szkło. Niekiedy Kuźma zabierał się do herbaty, umywszy zaledwie tylko ręce, a wtedy, prosto ze snu, wydawał się pełnym staruszką. Z niechlujstwa i zimna bardzo wychudł i posiwił w ciągu jesieni. Ręce mu zeszczuplały, skóra na nich stała się cieńsza, bardziej błyszcząca, pokryła się jakimiś drobnymi, liliowymi plamkami.

„Dobiły siwka strome góry”, rozmyślał.

Ranek był szary. Na świętego Filipa²²⁶ wieś zrobiła się szara pod szarym, zamarzłym śniegiem. Bielizna rozwieszona na poprzeczkach pod dachami stodół wyglądała jak skostniałe, szare drewno. Gdy wokół izb zamarzało — lano pomyje i sypano popiół. Oberwane chłopaki pędziły pomiędzy chałupami i stodółami do szkoły, wdrapywały się na zasy, zsuwały się z nich na łapciach; wszystkie miały płócienną worki z tabliczkami i z chlebem. Naprzeciw, uginając się pod koromysłami²²⁷ z dwoma wiadrami, niezgrabnie stąpając w niekształtnych, zaskorupiałych, wołokowych butach, obszytych świńską skórą, szedł tylko w kaftanie, stary, chory, o ciemnej twarzy Czugunok, z którego lekkości nie pozostało nawet śladu. Zatkana słomianym wiechciem beczka do wozienia wody staczała się z pagórka na pagórek i rozkołysana chlapała wodą; za nią biegł białooki jękała Kobylaj. Przechodziły baby, pożyczając jedna od drugiej to soli, to jagieł, to garstkę mąki na placki lub prażuchę²²⁸. Na gumnach było pusto, tylko u Jakowa para buchała z wrót stodoły, gdyż, naśladując bogatych wieśniaków, młócił zimą. A za gumnami, za nagimi łozinkami, poza opłotkami, pod niskim, bladym niebem rozścielało się szare, śnieżne pole niby falująca pustynia śniegu zamarzłego po odwilży. Na wsi było przytulniej, lecz okazało się, że wieś była zarażona: niemal w każdej chacie była ospa albo plamisty tyfus.

Czasami Kuźma szedł na śniadanie do czeladnej, do Koszela — na kartofle gorące jak ogień albo na odgrzany barszcz z poprzedniego dnia. Wspominał miasto, gdzie przeżył całe życie i dziwił się, że go tam wcale nie ciągnie. Dla Tichona miasto było najgorętszym marzeniem, wsi nienawidził i pogardzał nią z całej duszy — Kuźma zaś tylko usiłował ją nienawidzić. Z jeszcze większym niż dawniej strachem spoglądał wstecz na swe życie:

Brud, Starość

Wieś, Miasto, Zima,
Konflikt wewnętrzny,
Kondycja ludzka

²²⁴Orzeł — miasto w zachodniej części Rosji, położone nad Oką. [przypis edytorski]

²²⁵felczer — dawniej pomocnik lekarza, uprawniony do wykonywania prostych obowiązków medycznych. [przypis edytorski]

²²⁶Filip a. Filip Apostoł — jeden z dwunastu apostołów Jezusa, święty Kościoła katolickiego, anglikańskiego, ewangelickiego, ormiańskiego, koptyjskiego oraz prawosławnego; jego święto przypada w kalendarzu gregoriańskim 27 listopada. [przypis edytorski]

²²⁷koromysło — drewniane ramię do noszenia dwóch naraz wiader z wodą. [przypis edytorski]

²²⁸prażucha — rodzaj dawnej słowiańskiej potrawy mącznej. [przypis edytorski]

zdziaczał w tej Durnowce do reszty; nic nie robił, tęsknił, męczył się swą bezczynnością, często nie mył się, nie zdejmował kapoty, chciwie jadł z jednej miski z Koszelem. Ale najgorsze było to, że jakkolwiek lekkiem przejmowało to życie, które go postarzało z godziny na godzinę, czuł jednak, że życie takie mimo wszystko jest mu przyjemne, że widocznie wrócił w przeznaczoną mu od urodzenia koleinę; nie darmo, widać, miał w sobie krew durnowską! Jednakże do bólu gniotła go ta niekończąca się durnowska zima, te chałupy, przeręble, chłopaki, psy na dachach, brud, chłód, choroby, bydlęce lenistwo chłopów... Przecież nieomal codziennie wspominał Mieńszowa, Akimkę, Szarego...

Po śniadaniu przechadzał się niekiedy po folwarku albo po wsi. Wstępował na gumno do Jakowa, do izby Szarego albo Koszela, gdzie żyła samotnie jego stara, uchodząca za czarownicę. Była ona wysoka i przeraźliwie chuda, szczyrzyła zęby jak śmierć, mówiła ordynarnie i stanowczo, kurzyła fajkę niby chłop. Ot, rozpali ogień na kominie, siądzie na narach i kurzy sobie fajkę, kiwając cienką nogą w ciężkim, czarnym łapciu... Przez cały post Kuźma wyjeżdżał z domu tylko dwukrotnie: był na poczcie i u brata. Wyjazdy te były przyjemne, ale ciężkie. Kuźma marzył do tego stopnia, że nie czuł w ogóle, czy ma nogi. Na początku jesieni miał jeszcze wygląd schludny, a spojrzenie stanowcze, ale stanowczość ta naprędce znikła, a odzież zaczęła się drzeć i niszczyć. Wystrzępiły się kołnierze u koszul, wytarły łokcie w marynarce; buty z niewyprawionej skóry zrudziały niemal do czerwoności, wytarły się i gdzieś tam popękały; barani tułup służył już od tak dawna, że wyłysiał płatami. A wiatr w polu dął okrutny. Po zaduchu Durnowki nie można się było do syta nadyszeć odurzającą świeżością zimowego powietrza. Po długim patrzeniu na wieś zadziwiała śnieżno-szare płaszczyzny i siniejące po zimowemu dale wydawały się bezgraniczne a piękne jak na obrazie. Koń, parszcząc, szedł szparko pod ostry wiatr, a spod kopyt leciały zamrożłe grudki, uderzając ze stukiem w przód sanek. Koszel, którego policzek odmrożony był na kolor czarno-fioletowy, raźnie zeskakiwał z kozła na zakrętach i biegnąc, wskakiwał na niego bokiem z powrotem. A wiatr przewiewał do szpiku kości, nogi w słomie zmieszanej ze śniegiem bolały i kostniały, a w czole i skroniach łupało z zimna...

W niziutkim pokoju urzędu pocztowego w Ulianowce było tak nudno, jak tylko nudno być może w urzędowych biurach na głębokiej prowincji. Czuć było pleśń i lak. Oberwany pocztylion stukał pieczętką, ponury Sacharow, podobny do goryla, wrzeszczał na chłopów ze złości, że Kuźma nie domyślił się i nie przyśle mu z pięć kur albo chociaż z pud mąki. „Imię... Nazwisko?“, pytał urywając i przewracając w szafie, mówił stanowczo: „Nie ma nic!“. Obok domu Tichona Iljicza podniecał zapach dymu z lokomotywy, przypominając, że są gdzieś na świecie miasta, ludzie, gazety, nowości. Przyjemnie także było pogadać z bratem, odpocząć i ogrzać się trochę. Ale rozmowa się nie kleiła. Brata co chwila odwoływano do sklepu, do gospodarstwa, a zresztą mówił on tylko o gospodarstwie, o plotkach, o podłości i złości chłopów, o konieczności jak najprędszego pozbycia się folwarku.

Nastasja Pietrowna budziła żal. Widocznie zaczęła strasznie bać się męża; nie w porę wszczyniała rozmowę, nie w porę chwaliła jego rozum, bystre oko gospodarza i to, że we wszystkie, absolutnie wszystkie gospodarskie sprawy sam wnikał.

— Już ta-a-aki rozumny na wszystko, taki rozumny! — mówiła, ale Tichon Iljicz brutalnie jej przerywał, a Kuźma nie wiedział, co ma powiedzieć, żeby nie wywoływać sprzeczki.

Zmieniły się role: teraz nie on, lecz brat napawał lękiem i nie on, lecz brat dowodził, że nie można żyć w Rosji. Po godzinie takiej pogawędki Kuźmę ciągnęło do domu na folwark. „Gdzież ja się podzieję?“, myślał ze strachem, słuchając brata mówiącego o sprzedaży majątku. „I czy naprawdę odbędzie się ten okropny ślub Deniski z Młodą? Dlaczego Tichon twierdzi z takim uporem, że powinien się odbyć? Pomyłony, jak Boga kocham, pomyłony!“, mruczał w drodze do domu, przypominając sobie posępną i złą twarz Tichona, jego skrytość, podejrzliwość i męczące powtarzanie wciąż jednego i tego samego. Wołał na Koszela, żeby poganiał; śpieszył do domu, aby ukryć w nim zarówno starą, przewiewną odzież, jak swą udrękę, samotność i tklivość, którą w nim budziła myśl o miłej, smutnej twarzy Młodej, o jej kobiecości i milczącym usposobieniu. „Ech, jakżeż ona mogła być nie przepaść tutaj!“, rozmyślał z żalem, patrząc o zmroku na rzadkie światełka w Durnowce...

Czarownica, Zabobony

Żona, Mąż

Brat, Kobieta

Około Bożego Narodzenia do Kuźmy przyczepił się Iwanuszka z Basowki. Był to chłop dawnego pokroju, na wpół zdziecinniały ze starości, niegdyś sławny ze swej niedźwiedziej siły. Barczysty, zgięty w pałąk, nigdy niepodnoszący kudłatej głowy, stawiający stopy palcami do siebie, zrobił na Kuźmie jeszcze większe wrażenie niż Mieńszow, Akim i Szary. Podczas cholery w roku dziewięćdziesiątym drugim wymarła cała liczna rodzina Iwanuszki. Ocalał tylko jeden syn, żołnierz, będący teraz dróżnikiem na kolei w odległości pięciu wiorst od Durnowki. Iwanuszka mógłby dożywać swych dni u syna, ale wołał włóczyć i żebranię. Lekko i niezdarnie wchodził w podwórze z kijem i czapką w lewej ręce, a z sakwami w prawej; na odkrytej głowie biał śnieg. Owczarki, nie wiadomo dlaczego, nie szczekały na niego. Wszedłszy do domu, mawiał: „Daj Boże wszystkiego dobrego temu domowi i jego gospodarzowi”, po czym siadał na ziemi pod ścianą. Kuźma odrywał się od książki i ze zdziwieniem oraz zakłopotaniem patrzył na niego ponad binoklami, jakby to był jakiś zwierz ze stepu, którego obecność w pokoju wydawała się dziwna. Milcząc, z opuszczonymi rękami, z lekkim, dobrym uśmiechem, miękko stąpając łapiami, zjawiała się Młoda, podawała Iwanuszcze miskę gotowanych kartofli i dużą kromkę chleba aż szarego od soli, po czym stawiała przy drzwiach. Młoda nosiła łapcie, miała szerokie i mocne ramiona, a jej ładna, bladawa twarz była tak po chłopsku prosta i staroświecka, że, zdawało się, nie mogła inaczej zwracać się do Iwanuszki jak „dziadku”. Uśmiechając się do starego, mówiła niegłośnie:

— Podjedźcie se, dziadku, podjedźcie!

On zaś, nie podnosząc głowy, lecz poznając jej pieszczotliwość tylko po głosie, cicho stękał w odpowiedzi, a czasem mruczał: „Niech cię Pan Bóg, wnusiu...”, po czym szeroko i niezręcznie, jakby łapą, robił znak krzyża i chciwie zabierał się do jedzenia. Śnieg tajał na jego włosach burch, nieludsko gęstych i grubych. Z łapci ciekło po podłodze. Od zniszczonej, rudej kurtki wdzianej na brudną, zgrzebną koszulę szedł zapach kurnej izby. Ręce zniekształcone przez długą pracę oraz koślawe, niezginające się palce z trudem wyławiały kartofle.

— Chyba zimno tak tylko w kurtce? — pytał głośnie Kuźma.

— Hę? — słabym jękiem odzywał się Iwanuszka, nastawiając ucho zakryte włosami.

— Zimno ci chyba?

Iwanuszka zamyślał się.

— Dlaczego zimno? — odpowiadał z przestankami. — Wcale nie zimno... Ot, w dawnych czasach to większa zimnica była.

— Podnieś głowę, popraw włosy!

Iwanuszka z wolna kręcił głową.

— Tera to już, bracie, nie idzie... Gnie do ziemi...

Ze słabym uśmiechem robił wysilek, żeby podnieść swą straszną twarz, zarosłą włosami, i małeńkie przymrużone oczy.

Najadłszy się, wzdychał, robił znak krzyża, zbierał i dojadał okruszki z kolan, a potem, namacawszy przy sobie worek, kij i czapkę, uspakajał się i zaczynał nieśpieszną pogawędkę. Mógłby przesiedzieć w milczeniu choćby cały dzień, ale Kuźma i Młoda wypytawali go, a on jak we śnie, jakby skądś z daleka, odpowiadał im. Swym prostackim, staroświeckim językiem mówił, że car jest cały ze złota i że nie może jeść ryby, bo „strasznie słona”; że prorok Ilja pewnego razu przebił sobą niebo i spadł na ziemię, bo był „za ciężki”; że Jan Chrzciciel²²⁹ urodził się kudłaty jak baran i chrzcząc człowieka, bił go po głowie żelaznym kosturem, żeby go „rozczmuchać”²³⁰; że każdy koń w dniu świętego Floriana²³¹ stara się człowieka zabić... Opowiadał, że w dawnych czasach żyto było takie, że wąż nie mógł przez nie przepełznąć, a koszone je po dwie dziesięciny dziennie, bo tyle wypadło na każdego żniwiarza; że miał walach, którego trzymał na łańcuchu, bo był taki silny i straszny; że kiedyś, ze sześćdziesiąt lat temu, ukradli mu ducę²³², której nie sprzedałby nawet za

Zabobony

²²⁹Jan Chrzciciel a. Jan Baptysta (ok. 6/2 p.n.e.–ok. 32) — żydowski pustelnik, prorok dla chrześcijan i muzułmanów, święty katolicki i prawosławny. [przypis edytorski]

²³⁰rozczmuchać (daw.) — otrząsnąć z senności. [przypis edytorski]

²³¹Florian (2. poł. III w.–304) — rzymski oficer, męczennik chrześcijański, święty katolicki i prawosławny; jego święto przypada 4 maja. [przypis edytorski]

²³²duga (daw.) — pałąk w zaprzęgu konnym. [przypis edytorski]

dwa ruble... Przekonany był, że rodzina jego nie umarła na cholere, ale z tego powodu, że po pożarze przeniosła się na nocleg do nowej chałupy, nie dając się w niej przedtem przespać kogutowi, on zaś, Iwanuszka, uratował się z synem tylko dzięki przypadkowi, gdyż spał w stodole. Pod wieczór Iwanuszka wstawał i odchodził bez względu na pogodę, nie dając się namówić, aby pozostał do rana... Toteż przeziębził się i około Trzech Króli²³³ umarł w budce u syna. Syn prosił go, żeby się wyświadczył, ale Iwanuszka nie zgodził się, mówiąc, że wtedy na pewno umrze, on zaś stanowczo postanowił „nie dać się” śmierci. Przez całe dni leżał nieprzytomny, ale nawet w malignie prosił synową, żeby powiedziała, iż go nie ma w domu, gdyby śmierć po niego zastukała. Pewnej nocy odzyskał przytomność, zebrał siły, zszedł z pieca i ukląkł przed obrazami oświetlonymi lampką oliwną. Ciężko wzdychając, długo mruczał i powtarzał: „Boże Ojczy, wybac moje grzechy...”. Potem zamyślił się, długo milczał i głową przypadł do ziemi. Nagle wstał i rzekł stanowczo: „Nie, nie dam się!”. Ale z rana zobaczył, że synowa robi pierogi i mocno napaliła pod kuchnią...

— To na mój pogrzeb? — spytał drgającym głosem.

Synowa nie odpowiedziała. Stary znów zebrał siły, znów zszedł z pieca i wyszedł do sieni. Tak, prawda, o ścianę stała wsparta ogromna, fioletowa trumna z białymi, ośmioramiennymi krzyżami! Wtedy przypomniało mu się nagle, co to się zdarzyło trzydzieści lat temu sąsiadowi, staremu Łukjanowi. Łukjan zachorował i kupili mu trumnę — także drogą, dobrą trumnę! Przywieźli z miasta maki, wódki, solonego sandacza, a Łukjan tymczasem wziął i wyzdrowiał! Co tu zrobić z trumną? Jak odbić sobie wydatki? Łukjana potem chyba przez lat pięć przeklinali, zgładzili go ze świata wymówkami, zamorzyli głodem, zadręczyli wszami i brudem... Iwanuszka, przypomniawszy sobie to wszystko, zwiesił głowę i pokornie podreptał do izby. A w nocy, leżąc na plecach nieprzytomny, zaczął drżącym, żałosnym głosem śpiewać, śpiewać coraz ciszej, ciszej... I nagle zatrzęsł kolanami, zaczął, pierś podniosła mu się głębokim westchnieniem i z pianą na otwartych ustach stary zeszywniał...

Chłop, Śmierć

Kuźma przeleżał prawie miesiąc w łóżku z powodu Iwanuszki. Z rana w dzień Trzech Króli mówiono, że nawet ptak w locie zamarza, a Kuźma nie miał wojłokowych butów. Jednak pojechał, żeby spojrzeć na zmarłego. Ręce jego, skostniałe i złożone poniżej ogromnych piersi na czystej, zgrzebnej koszuli a zniekształcone naroślami i odciskami, nabytymi przez osiemdziesiąt lat pierwotnej, ciężkiej pracy, były tak ordynarne i straszne, że Kuźma pośpiesznie się odwrócił. A na włosy i na martwą, zwierzęcą twarz Iwanuszki nie miał odwagi nawet spojrzeć i czym prędzej zarzucił na nią biały perkal. A wówczas spod płachty uderzył duszący, wstrętny, słodkawy zapach... Aby się rozgrzać, Kuźma napił się wódki i posiedział przed rozżarzonym piecem. W budce dróżnika było ciepło i po świątecznemu czysto; u wezglowia szerokiej, fioletowej trumny zakrytej perkalem mrugał złocisty ogienek woskowej świeczki, przylepionej do narożnego ciemnego obrazu... Jaskrawo barwił się łubkowy²³⁴ obraz: sprzedaż Józefa przez braci²³⁵. Rozmowna żołnierka lekko podnosiła na hakach i wsuwała do pieca pudowe kotły, wesoło mówiła o rządowych drwach i wciąż upraszała gościa, aby pozostał do powrotu ze wsi jej męża. Ale Kuźmę rozbierała gorączka. Twarz pałała od wódki, która niby trucizna rozeszła się po całym przemarzłym ciele, a do oczu zaczęły bez przyczyny napływać łzy... I nie rozgrzawszy się, Kuźma pojechał wśród białych, falujących pól do Tichona Iljicza. Pokryty szronem, białe, kudłaty mierzyn biegł szybko, śledziona w nim grała, i a z nozdrzy były mu słupy szarej pary; płozy skrzypiały i piszczały na twardym śniegu; z tyłu w mroźnych kręgach żółciło się słońce; z przodu, z północy, leciał wiatr, którego lodowaty podmuch aż dech tamował; drogowskazy pochylały się pod gęstym, kędzierzawym szronem; szare, duże dzwońce leciały chmarą przed koniem, rozsypywały się po połyskującej drodze,

Trup

Zima, Droga, Wiosna

²³³Trzech Króli — święto w będące w Kościele prawosławnym częścią święta Objawienia Pańskiego (także: Święto Epifanii, Święto Jordanu), obchodzonego na pamiątkę chrztu Jezusa w rzece Jordan i pierwszego objawienia się Trójcy Świętej, przypadającego 19 stycznia (wg kalendarza gregoriańskiego, tj. 6 stycznia wg kalendarza juliańskiego), dwa tygodnie po prawosławnym Bożym Narodzeniu. [przypis edytorski]

²³⁴łubkowy — z cienkiej drewnianej deszczulki; tu: malowany na takiej deszczulce. [przypis edytorski]

²³⁵sprzedaż Józefa przez braci — Józef to patriarcha biblijny, który za młodu został sprzedany przez swych braci w niewolę. [przypis edytorski]

dziobały zmarzły nawóz, znów się podrywały i znów rozlatywały. Kuźma spoglądał na nie przez ciężkie, białe rzęsy i czuł, że zdrewniała twarz z białymi kłakami wąsów i brody stała się podobna do karnawałowej maski... Słońce zachodziło, śnieżna falistość pól przybierała martwy, zielonkawy odcień w jego pomarańczowym blasku, a od jej wypukłości i zapadlin ciągnęły się niebieskie cienie... Kuźma zawrócił na miejscu konia i popędził go z powrotem do domu. Słońce zaszło; w domu, za zamarzniętymi, szarymi szybami mętnie błyskało światło. Zapadł szarawy, siny zmierzch, na świecie zrobiło się odludnie i zimno. Śniegułka, wisząca w klatce przy oknie do ogrodu, zdechła, prawdopodobnie z powodu machorki, i leżała do góry nóżkami, napuszywszy piórka i rozdawszy czerwone gardziółko.

— Już gotowa! — powiedział Kuźma i wziął ją do wyrzucenia.

I nagle cała ta Durnowka, zakopana w zamarzłym śniegu, tak zupełnie oddalona od świata w smutny wieczór wśród stepowej zimy, przeraziła Kuźmę. To już chyba koniec! Rozpalona głowa taka otumaniona i ciężka; trzeba zaraz się położyć... Ale pewno nigdy się już wówczas nie wstanie... Skrzypiąc łapciami po śniegu, zbliżała się do ganku Młoda z wiadrem w ręku.

— Chory jestem, Duniuszka — z serdecznością w głosie powiedział Kuźma w nadziei, że od niej również posłyszysz dobre słowo.

Ale Młoda obojętnie i sucho powiedziała:

— To nastawić samowar czy co?

I nawet nie zapytała, co mu się stało. Nie spytała też o Iwanuszkę... Kuźma wrócił do ciemnego pokoju i drżąc na całym ciele, pomyślał, jak i dokąd będzie teraz chodził za potrzebą. Po czym położył się na kanapie... A następnie wieczory pomieszały się z nocami, noce z dniami i rachunek ich zagubił się zupełnie.

W czasie pierwszej nocy Kuźma obudził się około trzeciej i zastukał pięścią w ścianę, żeby mu dano coś do picia; przez sen męczyło go pragnienie oraz myśl, czy aby wyrzucono śniegułkę. Nikt się na stukanie nie odezwał, gdyż Młoda poszła na noc do czeladnej. Wtedy Kuźma przypomniał sobie i poczuł, że jest śmiertelnie chory, i ogarnął go taki smutek, jakby przebudził się w mogile. Więc pusto jest w przedpokoju, gdzie pachnie śniegiem, słomą i uprzężą! Więc on, chory i bezradny, leży samotny w tym ciemnym, obmarzłym domku, gdzie okna mętnie szarzeją wśród martwej ciszy niekończącej się zimowej nocy, a przy jednym z nich wisi bezużyteczna klatka!

— Boże, zmiłuj się nade mną, Boże, zmiłuj się choć trochę! — szeptał, podnosząc się i drżącymi rękami szukając czegoś po kieszeniach.

Chciał zapalić zapalniczkę. Szept jego był gorączkowy, w rozpalonej głowie szumiało i dzwoniło, a ręce i nogi lodowaciały... Przyjechała Kławdia, raptownie otworzyła drzwi, złożyła jego głowę na poduszce i usiadła na krześle przy kanapie... Ubrana była jak pani: szubka aksamitna, czapeczka i mufka z białego futra; ręce jej pachniały perfumami, oczy błyszczały, policzki zarumieniały się od mrozu... „Ach, jak dobrze wszystko się rozwiązało!”, szeptał ktoś... Ale niedobrze, że Kławdia nie zapaliła z jakiegoś powodu światła. Przyjechała nie do niego, lecz na pogrzeb Iwanuszki... Potem zaśpiewała niespodzianie z akompaniamentem gitary: „O rycerzu śmiały, jakże biedny dom twój...”²³⁶. Potem wszystko od razu znikło, Kuźma otworzył oczy — z owego tajemniczego, zatrważającego i przykrego, co napędliało mu głowę niedorzecznymi bzdurami, nie zostało ani śladu. Zobaczył znowu ciemny, zimny pokój, rozumiał, że wszystko wokół jest proste, bardzo proste, a on — taki chory i sam, zupełnie sam...

W śmiertelnym lęku zatruwającym mu duszę na początku choroby Kuźma bredził o śniegułce, o Kławdii, o Woroneżu, ale nawet w malignie nie opuszczała go myśl, iż musi powiedzieć komuś, żeby choć w tym wypadku ulitowali się nad nim i nie pochowali go w Kołodezi. Ale, mój Boże, czyż nie szaleństwem jest nadzieja, że w Durnowce ktokolwiek będzie miał litość! Pewnego dnia, gdy palono w piecu, Kuźma oprzytomniał i spokojne głosy Koszela oraz Młodej wydały mu się tak bezlitosne, obce i dziwne, jak bezlitosne, obce i dziwne wydaje się zazwyczaj chorym codzienne życie zdrowych. Chciał zawołać,

Choroba, Samotność

Choroba, Obcy

²³⁶ *O rycerzu śmiały, jakże biedny dom twój...* — fragment popularnej pieśni *Oduważny Chas-Bulat*, skomponowanej przez Aleksandra Ammosowa (1823–1866), do której słowa napisała Olga Agreniewa-Sławianskaja (1847–1920). [przypis edytorski]

kazać samowar nastawić, ale oniemiał, o mało nie zapłakał, usłyszawszy zły szept Koszela mówiącego, naturalnie, o nim, o chorym... A Młoda odpowiedziała urywkowo:

— Ach, niech go tam! Jak umrze, to go pochowają...

Potem ssący smutek zaczął słabnąć. Przedwieczne słońce świeciło w okna poprzez gałęzie akacji. Siniał dym z tytoniu. Przy łóżku siedział staruszek-felczer, pachnący lekarsstwami i mrozną świeżością, a oddzierający od wąsów sople lodu. Na stole kipiał samowar, a Tichon Iljicz, wysoki, siwy i surowy, stojąc przy stole, zaparzał wonną herbatę. Felczer wypijał osiem, dziesięć szklanek, mówił o swoich krowach, o cenach na mąkę i masło, a Tichon Iljicz opowiadał, jak pięknie i bogato pochowano Nastasję Pietrownę i jak jest zadowolony, że znalazł się na koniec kupiec na Durnowkę. Kuźma zrozumiał, że Tichon Iljicz dopiero co wrócił z miasta i że Nastasja Pietrowna umarła tam nagle w drodze na dworzec; zrozumiał, że pogrzeb kosztował Tichona Iljicza strasznie dużo i że wziął już zadatek na Durnowkę... Ale był zupełnie obojętny...

Obudziwszy się pewnego razu późno i nie czując ani osłabienia, ani drżączki w nogach, zasiadł do samowaru. Dzień był pochmurny, ciepły, a śnieg spadł ogromny. Znacząc go śladami krzyżyków od łapci, przeszedł pod oknem Szary. Wokoło niego, obwąchując jego obdarte łachmany, biegły owczarki, on zaś ciągnął za uzdę wysokiego, brudnokasztanowatego konia, koślawego ze starości i chudości, z grzbietem przetartym od chomąta, z pobitym zadem i z nieczystym, rzadkim ogonem. Zwierzę kuszykało na trzech nogach, a czwartą, złamaną powyżej kolana, wlokło za sobą. I Kuźma przypomniał sobie, że trzy dni temu Tichon Iljicz kazał Szaremu uraczyć owczarki: znaleźć dla nich na zarżnięcie starego konia. Zresztą Szary niekiedy zajmował się tym, że skupywał na skórę bydło zdechłe albo już nieprzydatne. Tichon Iljicz opowiedział pewnego razu, że Szaremu zdarzył się niedawno straszny wypadek: przed zarżnięciem jakiejś szkapy Szary zapomniał spętać jej nogi i tylko ją związał oraz odciągnął w bok mordę; kiedy przeżegnał się, uderzył ją cienkim nożykiem w żyłę przy obojczyku, koń zaryczał i rycząc tak, szczerząc z wściekłości i bólu żółte zęby, rzucił się na swego zabójcę, długo, jak człowiek, gonił go, a fontanna czarnej krwi biła z jego szyi; byłby go dopadł, ale na szczęście „śnieg był głęboki”... Na Kuźmie zrobił ten wypadek takie wrażenie, że teraz, spojrzawszy przez okno, znowu poczuł ciężar w nogach. Prędko zaczął łykać gorącą herbatę i jakoś mu się lepiej zrobiło. Zapalił papierosa, posiedział... Wreszcie wstał, wyszedł do przedpokoju i spojrzał na nagi, rzadki sad za odtajalym oknem: w sadzie, na śnieżnobiałym tle polany czerwieniał wielki, krwawy kadłub zwierzęcia z długą szyją i odartym ze skóry łbem; dwa stare granatowo-czarne kruki podskakiwały bokiem do padliny, podrywały się, kiedy psy z wyciem rzucały się na nie, i znowu przysiadły na dziewiczo czystym śniegu. „Iwanuszka, Szary, kruki...”, pomyślał Kuźma. „Te kruki pamiętają może jeszcze czasy Iwana Groźnego²³⁷... Boże, zlituj się nade mną, wyprowadź mnie stąd!”

Niedomagał Kuźma jeszcze ze dwa tygodnie. Myśl o wiosnie wzruszała go, napęniała smutkiem i radością: oby jak najprędzej wydostać się z tej Durnowki! Kuźma wiedział, że do końca zimy jeszcze daleko, ale zaczęło już tajać. Pierwszy tydzień lutego był ciemny i mglisty. Mgła skrywała pola i pochłaniała śnieg. Wieś czerniała, między brudnymi zaspami stała woda; pewnego dnia strażnik, cały opryskany końskim gnojem, stępa przejechał przez wieś. Koguty piał, z wentylatora ciągnęła wiosenna wilgoć... Kuźmie zachciało się żyć, żyć, wyczekiwać wiosny, wyjechać do miasta... Żyć, poddawać się losowi i robić byle co, choćby za suchy kawałek chleba... Aby tylko koniecznie — u brata, bez względu na to, jaki on jest... Przecież gdy Kuźma był chory, Tichon proponował mu już przeniesienie się na Worgol.

— Dokądże mam ciebie wyganiać — rzekł wówczas, pomyślawszy. — Od pierwszego marca sprzedaję także sklep z domem. Wiesz co, bracie? Jedźmy do miasta! Aby dalej od tych hyclów!

Bo rzeczywiście byli to hycle. Przyszła jednodwórka i opowiedziała szczegóły niedawnej historii, która się przytrafiła Szaremu. Wrócił z Tuły Deniska; wałęsał się bez zajęcia, rozpowiadając po wsi, że chce się żenić, że ma pieniądze i że wkrótce zacznie żyć jak pan. Wieś z początku nazywała to gadanie kłamstwami, ale potem, dzięki aluzjom Deniski, zrozumiała, o co to chodzi. A wtedy uwierzyła. Nawet Szary uwierzył i zaczął starać się

Koń, Śmierć,
Okrucieństwo, Cierpienie

²³⁷*Iwan Groźny* a. *Iwan IV Groźny* (1530–1584) — car Rosji z dynastii Rurykowiczów. [przypis edytorski]

o względy syna. Lecz obdarlszy konia, otrzymawszy od Tichona Iljicza rubla i zarobiwszy na skórze 50 kopiejek, zhardział i zahulał — pił dwa dni, zgubił fajkę i wreszcie położył się na piec, żeby wypocząć. Głowa go bolała i nie miał co palić; zaczął więc zrywać na papierosy gazety i różne obrazki, którymi Denis okleił sufit. Robił to, naturalnie, ukradkiem, ale pewnego razu Deniska przyłapał go na gorącym uczynku. Przyłapał i jak nie wrzaśnie!... Szary po pijanemu także zrazu ryknął, a Denis ściągnął go z pieca i tak długo okropnie bił, dopóki nie zbiegli się sąsiedzi. Co prawda zgoda została zawarta już na drugi dzień przy wódce i obwarzankach, ale Kuźma zastanawiał się, czy Tichon Iljicz nie jest również łajdakiem jak tamci, jeżeli z takim uporem wariata obstaje przy małżeństwie Młodej z jednym z tych hyclów?

Przemoc

Po raz pierwszy usłyszawszy o tym, Kuźma stanowczo postanowił nie dopuścić do ślubu. Toż to okropne! Toż to bezsensowne! A potem, gdy po chorobie wracał do zdrowia, nawet cieszył się tym nonsensem: zadziwiła go i uderzyła obojętność Młodej dla niego, dla człowieka chorego. „Zwierzę!” myślał, „dzikuska” i przypominając sobie projektowane małżeństwo, dodawał ze złością: „Doskonale! Dobrze jej tak!”. Teraz po chorobie znikły stanowczość i złość. Pewnego razu zagadnął Młodą o zamiary Tichona Iljicza, a ta odrzekła spokojnie:

— No cóż? Mówiłam już o tym z Tichonem Iljiczem. Niech Pan Bóg da mu dobre zdrowie, dobrze to wymyślił.

— Dobrze? — zdumiał się Kuźma.

Młoda popatrzyła na niego i pokiwała głową.

— A dlaczego nie dobrze? Dziwny z pana człowiek, Kuźmo Iljczu, jak Boga kocham! Pieniądze obiecuje, wesele wyprawi... Nie wynalazł także jakiegoś wdowca, a chłopca jak się patrzy, bez feleru, nie zgnilego, nie pijaka...

— Za to łajdaka, awanturnika i skończonego durnia — dodał Kuźma, a Młoda spuściła oczy, zamilkła, westchnęła i odwróciwszy się, poszła do drzwi.

— To już pańska rzecz — rzekła z drżeniem w głosie. — Jak tam pan uważa... Może wola boska...

Kuźma szeroko otworzył oczy i krzyknął:

— Czekaj! Zwariowałaś czy co! Czy ja ci źle życzę?

Młoda odwróciła się i zatrzymała.

— A może nie? — ordynarnie i z oburzeniem rzekła, poczerwieniawszy i błyskając oczami. — Gdzież ja podług pana pójdę? Wiecznie cudze progi obijać, cudzy chleb jeść? Włóczyć się jak ta bezdomna żebraczka? A może wdowca starego szukać? Za mało leż wylałam? — głos jej się załamał, rozpłakała się i wyszła.

Wieczorem Kuźma przekonał ją, że ani myślał psuć jej zamiarów, ona zaś uwierzyła na koniec i uśmiechnęła się ciepło i nieśmiało.

— No, to dziękuję pięknie — rzekła owym miłym tonem, jakim mówiła z Iwanuszką.

Ale nagle na rękach jej ukazały się znowu lzy i Kuźma aż ręce rozłożył.

— No, i czego teraz bucysz? — spytał, a Młoda odpowiedziała z cicha:

— Toż przecież i Deniska nie radość...

Koszal przywiózł z poczty gazety prawie z półtora miesiąca. Dni mijały ciemne, mgliste i Kuźma od rana do wieczora czytał, siedząc przy oknie. A przeczytawszy, skamieniał oszołomiony ilością nowych egzekucji. Przedtem przy czytaniu gazet dusiła go wściekłość, wściekłość bezpłodna, gdyż wrażliwość człowieka wprost nie mogła pojąć przeczytanego. Teraz już tylko ziębły mu palce. Tak, tak, wściekanie się, nie pomoże. Wszystko rozwija się planowo... Wedle stawu grobla... Podniósł pan głowę: białe ziarenka śniegu sypały ukośnie, padając na nędzną wioszczynę, na wyboiste, brudne drogi, koński nawóz, na lód i wodę; szary tuman zakrywał bezgraniczne pola, całą tę wielką pustynię z jej śniegami, lasami, siołami²³⁸ i miastami, całe to królestwo głodu i śmierci...

Obraz świata, Rosja

— Awdotia! — krzyknął Kuźma, podnosząc się z mejsca. — Powiedz Koszelowi, niech zaprzęga konia do sanek. Jadę do brata.

Tichon Iljicz był w domu. W perkalowej, zapiętej na ramieniu koszuli, śniady, z białą

Brat

²³⁸*sioło* (daw., gw.) — wieś. [przypis edytorski]

brodą, z nastroszonymi, siwymi brwiami, wielki i silny, siedział przy samowarze i zaparzał herbatę.

— A! Braciszek! — zawołał przyjaźnie, nie rozchmurzając brwi. — Wylazłeś na świat boży! Słuchaj no, czy by nie za wcześnie?

— Bardzo się już stęskniłem, bracie — całując się z nim, odpowiedział Kuźma.

— No, jakieś się stęsknił, to siadaj, ogrzej się i pogadamy...

Wypytawszy jeden drugiego, czy nie ma jakich nowości, w milczeniu zaczęli pić herbatę, a potem zakurzyli.

— Bardzoś wychudł, bracie — powiedział Tichon Iljicz, zaciągając się i spode łba patrząc na Kuźmę.

— Jest z czego — odpowiedział cicho Kuźma. — Nie czytasz gazet?

Tichon Iljicz uśmiechnął się.

— Co, te łgarstwa? Jakoś Bóg strzeże!

— Gdybyś wiedział ile egzekucji!

— Egzekucji? Dobrze im tak! Nie słyszałeś, co się stało pod Jelcem, w chutorze braci Bykowów? Pamiętasz chyba, tych co to „r” mówią jak „h”? Siedzą sobie podobno razu pewnego, jak my teraz we dwóch, wieczorkiem i grają w szachy... Nagle... Co się dzieje? Tupot na ganku, krzyki: „Otwierać!”. I zanim jeszcze tamci zdążyli, bracie, choćby okiem mrugnąć, wwała się do pokoju ich parobek, chłop w rodzaju Szarego, a za nim dwa draby jakieś, krótko mówiąc, agitatory... A wszyscy z łomami w rękach... Podnieśli te łomy i wrzeszczą: „Ręce do góry! Psia wasza mać!”. Bykowowie przestraszyli się, naturalnie, śmiertelnie, zerwali się i krzyczą: „O co chodzi?”. A ci swoje: „Do góry!” i „Do góry!”

Tichon Iljicz uśmiechnął się ponuro i zamyśliwszy się, umilkł.

— Dokończ — powiedział Kuźma.

— Nie ma co kończyć... Podnieśli, naturalnie, ręce i pytają: „Czego właściwie chcecie?” „Szynki dawaj! Gdzie masz klucze?”. „A ty, sukinsynu, sam nie wiesz, gdzie są? No, tam, wiszą przy drzwiach na gwoździu...”

— I to wszystko z podniesionymi rękami? — przerwał mu Kuźma.

— Naturalnie, że z podniesionymi. No, ale dostaną oni teraz za te ręce! Powieszą ich naturalnie. Siedzą już, gołąbki, w kryminale...

— Za szynkę powieszą?!

— Chyba nie pochwałą, Boże odpuść — odrzekł na wpół z gniewem, na wpół żartobliwie Tichon Iljicz. — Przestań się indyczyć, jak Boga kocham, przestań z siebie robić Bałaszkina! Najwyższa pora już raz przestać...

Kuźma szarpnął swoją siwą bródkę. Jego wymęczona, szczupła twarz, smutne oczy i podniesiona w górę lewa brew odbijały się w lustrze. Popatrzywszy na siebie, zgodził się cicho:

— Indyczyć się? Pewnie, że pora... Najwyższy czas...

I Tichon Iljicz skierował rozmowę na interesy. Widocznie dlatego zamyślił się niedawno w trakcie rozmowy, że przypomniał sobie coś o wiele ważniejszego niż więzienie i egzekucje, że przypomniał sobie o jakimś interesie.

— Powiedziałem Denisce, żeby zrobił już raz koniec z tą całą historią — przemówił twardo, wyraźnie, surowo, garścią podsypując herbatę do czajnika. — I proszę cię, braciszku, weź i ty w niej udział, niby... W tej całej historii. Rozumiesz, że mnie to jakoś niezręcznie. Potem przeprowadź się tutaj. Świetnie nam, bracie, będzie! Jak już raz postanowiliśmy wszystko skasować, nie ma po co tam siedzieć bez sensu. Tylko wydatki robią się podwójne. A jak się przeprowadzisz, to zaprzężemy się razem. Zwalimy z pleców ciężar, dostaniemy się, da Bóg, do miasta i dopiero tam weźmiemy się do roboty, do prawdziwej roboty! Tutaj, w tej dziurze, nie można się rozwinąć. Otrząśniemy tutejszy pył z naszych sandałów i niechaj to wszystko diabli porwą! Nie zakopimy się tu przecież żywcem! Ja, bracie, zauważ — dodał, marszcząc brwi, wyciągając przed siebie ręce i zaciskając pięści — jeszcze dam sobie radę! Za wcześnie, żeby leżał na przypiecku! Ja jeszcze diabła za rogi schwycić potrafię!

Kuźma słuchał, patrząc prawie ze strachem na jego nieruchome, obłąkane oczy, na wykrzywiające się usta, które drapieźnie i dobitnie wymawiały każde słowo — słuchał i milczał. Wreszcie spytał:

Przemoc, Kradzież,
Jedzenie, Bunt, Własność,
Chłop, Kara

Miasto, Brat, Praca, Siła,
Nadzieja

— Powiedz ty mi, bracie, na miłość boską, co ci przyjdzie z tego małżeństwa? Nie rozumiem, Bóg mi świadkiem, że nie rozumiem! Na tego twojego Deniskę po prostu patrzeć nie mogę. To taki nowy typek, taka nowa Rosja! Będzie jeszcze gorsza niż dawna! Nie zwracaj uwagi na to, że on udaje wstydliwego, sentymentalnego, że robi ze siebie głuptaska: w rzeczywistości to tylko cyniczne zwierzę! Opowiada o mnie, że żyję z Młodą...

— No, ty w niczym nie znasz miary — przerwał, zasępiwszy się, Tichon Iljicz. — Sam ciągle przecież gadasz w kółko: nieszczęsny lud, nieszczęsny lud! A teraz nagle: zwierzę!

— Tak jest, gadam i zawsze będę gadał! — gorąco podchwycił Kuźma. — Ale sam już teraz nic nie wiem! Nic już nie rozumiem: albo nieszczęsny, albo... Posłuchaj, sam przecież tego chłopaka nienawidzisz! Obydwaj nienawidzicie się wzajemnie! On inaczej przecież o tobie nie mówi, jak „hycel, aż do krwi żre naród”, a ty znowu od hycłów wymyślasz jemu! Chwali się bezczelnie po wsi, że on teraz pański kum...

— Wiem, wiem! — znowu przerwał Tichon Iljicz.

— A wiesz, co mówi o Młodej? — nie słuchając, ciągnął Kuźma. — Taka jest przecież ładna, ma taką delikatną, białą cerę, a wiesz, jak to głupie zwierzę o niej mówi? „Niczym z kafi, ścierwo!” Zrozum, na koniec, że przecież on teraz nie będzie żył we wsi: na łańcuchu nie utrzymasz przecież na wsi tego włóczęgi. Jakiż to gospodarz? Jaka z niego głowa rodziny? Wczoraj, słyszę, idzie po wsi i śpiewa kurwim głosikiem: „Przepiękna jak anioł w niebiosach, przebiegła jak demon i zła...”²³⁹.

— Wiem! — krzyknął Tichon Iljicz. — We wsi mieszkać nie będzie, za żadne skarby nie będzie! No i niech go diabli! A że marnym jest gospodarzem, to co? Przecież i my obaj także jesteśmy ładni gospodarze! Kiedyś w karczmie o interesie mówiłem do ciebie, a ty, pamiętasz, przepiórki słuchałeś. A co dalej, co dalej było...?

— Jak to, co dalej? I jaki to ma związek z przepiórką? — zapytał Kuźma.

Tichon Iljicz zabębnił palcami po stole i surowo, dobitnie oddzielając słowa, powiedział:

— Zauważ: wodę ważyć, woda będzie. Słowo moje święte jest na wieki wieków. To, co raz powiedziałem, zrobię. Aby zmazać mój grzech, nie będę świeczki stawiał, ale wyświadcę komuś dobro. Chociaż jedną ofiarę zrobię, ale taką, że Bóg o mnie nie zapomni.

Kuźma zerwał się z miejsca.

— Bóg, Bóg! — wykrzyknął falsetem. — Jaki tam dla nas Bóg! Jakiego Boga może mieć taki Deniska, Akimka, Mieńszow, Szary, ty albo ja?

— Poczekaj — surowo powiedział Tichon Iljicz. — Co to znowu za jakiś Akimka?

— Ot, jak leżałem, prawie już zdychałem, to dużo o nim myślałem! Jedno tylko myślałem: że nic o nim nie wiem i myśleć w ogóle nie umiem! — krzyczał Kuźma. — Nie nauczyli!

I, rozglądając się wokół rozbiegany, cierpiącymi oczami, zapinając i rozpinając marynarkę, przeszedł przez pokój i stanął tuż przed Tichonem Iljiczem.

— Zapamiętaj sobie, bracie — powiedział, a skóra na jego wystających kościach policzkowych poczerwieniała. — Zapamiętaj sobie: nasza piosenka skończona. I żadne świeczki nas nie uratują. Słyszysz? My jesteśmy tylko durnowcy. Z nas już ani Pan Bóg, ani diabeł pociechy mieć nie będzie!

I zamilkł ze wzruszenia, nie mogąc znaleźć słów. Ale Tichon Iljicz już rozmyślał nad czymś innym i nagle potwierdził:

— Racja. Po diabła taki naród! Pomyśl tylko...

Uderzony nową myślą, ożywił się:

— Pomyśl tylko, orzą już tysiąc lat. Co mówię, więcej niż tysiąc! Ale nikt nie umie porządnie orać! Jedyna to ich praca, a i tej nie potrafią wykonać! Nie wiedzą, kiedy należy w pole jechać, kiedy kosić, kiedy siać! „Jak inni robią, tak i ja!”, mówi każdy. Zauważ tylko! — marszcząc brwi, surowo krzyknął Tichon Iljicz, jak niegdyś na niego krzyczał Kuźma. — „Jak inni robią, tak i ja!”. Żadna baba nie potrafi upiec chleba: z wierzchu cała skórka odpada, a pod nią kwaśna woda!

Kuźma stropił się, czując, że myśli mu się płaczą.

„Zwariował!”, pomyślał, wodząc bezmyślnymi oczami za bratem, zapalającym lampę.

Pan, Chłop, Pozycja społeczna, Ślub

Przemijanie,
Rozczarowanie, Naród, Lud

Wies, Praca, Upadek

²³⁹ *Przepiękna jak anioł w niebiosach, przebiegła jak demon i zła...* — słynny cytat z poematu Michaiła Lermontowa (1814–1841) *Tamara*. [przypis edytorski]

A Tichon Iljcz, nie dając mu oprzytomnieć, z uniesieniem ciągnął dalej:

— Lud! Wiecznie klnący, próżniaki, łgarze, a tacy bezwstydni, że jeden drugiemu nie wierzy. Zauważ — krzyknął, nie widząc, że zapalony knot płonie i kopci aż pod sufit. — Rozumiesz, nie tylko nie wierzą nam, ale sami sobie nawzajem! A wszyscy oni jednacy, wszyscy! — zakrzyczał płaczącym głosem i z hałasem nasadził szkło na lampę.

Za oknami posiniało. Świeży, biały śnieg sypał się na kałuże. Kuźma spoglądał nań i milczał. Rozmowa wzięła tak niespodziewany obrót, że jego uniesienie zgasło. Nie wiedząc, co począc, nie odważając się patrzeć we wściekle oczy brata, zaczął skręcać papierosa. „Zwariował!”, myślał beznadziejnie. „Ale dobrze mu tak! Zresztą wszystko jedno! Wszystko jedno! Koniec wszystkiemu”.

Tichon Iljcz zakurzył również i powoli się uspokoił. Usiadł i patrząc w płomień lampy, zamruczał cicho:

— A ty mówisz „Deniska”... Słyszałeś o tym, co narobił pielgrzym Makar Iwanowicz? Wspólnie z przyjacielem złapał na drodze jakąś babę; zawlekli ją we dwóch do stróżówki w Kliuczykach i przez cztery dni chodzili do niej i kolejno ją gwałcili... No, teraz siedzą w kryminale...

— Tichonie Iljczu — dobrotliwie powiedział Kuźma — Co ty pleciesz? Po co? Chyba jesteś niezdrów. Przeskakujesz od jednego do drugiego, teraz twierdzisz to, a za chwilę co innego... Czy ty nie za wiele pijesz?

Tichon Iljcz nie odpowiedział. Machnął tylko ręką, a w oczach utkwionych w ogień błysnęły łzy.

— Pijesz? — niegłośnie powtórzył Kuźma.

— Piję — cichutko odpowiedział Tichon Iljcz. — Jakże tu nie zacząć pić? Myślisz, że łatwo zdobyłem złotą klatkę? Myślisz, że łatwo było przeżyć niby pies na łańcuchu i do tego ze staruchą? Dla nikogo, bracie, nie miałem litości... Ale i mnie nikt nie pożałował! Myślisz, że nie wiem, jak mnie nienawidzą? Myślisz, że gdyby się tak chłopkom rewolucja udała, gdyby tak popręg puścił, nie zamordowałiby mnie w okrutny sposób? Poczekaj, poczekaj, doczekamy się tego jeszcze! Dosyć nadokuczaliśmy im!

— A za szynkę... To trzeba zaraz wieszać? — zapytał Kuźma.

— No, zaraz wieszać!... — odezwał się Tichon Iljcz ze zboląłą miną. — Ja to przecież tylko tak przy okazji powiedziałem.

— Ale przecież ich powiesz! —

— To już nie nasza sprawa. Przed Wszechmocnym będą odpowiadali tamci.

I ściągnawszy brwi, zamknął oczy w zamyśleniu.

— Ach — powiedział ze skrucą, wdychając głęboko. — Ach, bracie miły, niedługo i my staniemy na sądzie przed jego tronem. Czytam wieczorami brewiarz i płaczę, szlocham nad samą tą książką. W głowę zachodzę, jakże to można było takie słodkie słowa wymyślić! Ot, poczekaj...

I, uniósłszy się pośpiesznie, wyciągnął zza lustra grubą książkę w kościelnej okładce, drżącymi rękami włożył okulary i ze łzami w głosie, śpiesząc się, jakby w obawie, że mu ktoś przerwie, zaczął czytać:

— Płaczę i szlocham, gdy wspomnę o śmierci i widzę piękność naszą, stworzoną na obraz boży, leżącą w grobie, wstrętną, oniemiałą, pozbawioną ludzkiego wyglądu... Zaiste, wszystko ludzkie: proch i marność, życie to sen i mara. Albowiem bezcelowe jest życie wszystkiego ziemskiego. *Pismo Święte* mówi: „Wówczas pokój osiągniemy, gdy legniemy w grobie, gdzie wspólnie przebywać będą królowie i żebracy...”.

— Królowie i żebracy! — z zachwytem i smutkiem powtórzył Tichon Iljcz i pokiwał głową. — Przepadło życie, braciszku! Miałem ja kiedyś, rozumiesz, kuchtę niemowę; podarowałem jej chustkę zagraniczną, a ona, głupia, zniszczyła ją, nosząc na lewej stronie... Rozumiesz? Z głupoty i chciwości. Szkoda jej było nosić na prawej stronie na co dzień, ot, aby święta doczekać. A gdy święto przyszło, z chustki już same lachmany pozostały... Tak i ja... Z życiem swoim zrobiłem. Zaprawdę, tak zrobiłem!

W powrotnej drodze do Durnowki Kuźma odczuwał tylko jedno: jakąś tępą nudę. I w tym nastroju przeszły ostatnie dni jego pobytu na wsi.

Lud, Rosjanin

Kobieta, Przemoc

Pijaństwo, Alkohol, Chłop,
Krzywda, Nienawiść,
Rewolucja

Książka, Życie snem,
Vanitas, Król, Żebrak,
Sprawiedliwość

Dar, Chciwość, Święto,
Kondycja ludzka

Przez cały ten czas padał śnieg. W zagrodzie Szarego na to czekano tylko, aby się drogi poprawiły na dzień wesela.

Pod wieczór dwunastego lutego w półmroku zimnego przedpokoju odbywała się cicha rozmowa. Pod piecem stała Młoda, nasunawszy na czoło żółtą chustkę w czarne groszki i patrzyła na swoje łapcie. Koło drzwi stał krótkonogi Deniska bez czapki, w ciężkim, zwieszającym się z ramion kaftanie. I on również patrzył w dół na półbuciki o podkutych obcasach, które trzymał w rękach: były one własnością Młodej. Deniska naprawił je i przyszedł, aby odebrać należne za robotę pięć kopiejek.

— Ależ nie mam pieniędzy — mówiła Młoda. — A Kuźma Iljicz właśnie śpi. Poczekaj do jutra.

— Ja czekać nie mogę — przeciągle i w zamyśleniu odpowiedział Deniska, dłubiąc paznokciem koło podkówki.

— No, to co będzie?

Deniska pomyślał, westchnął i potrząsnawszy gęstą czupryną, nagle podniósł głowę.

— Na co po próżnicy mleć ozorem — powiedział głośno i stanowczo, nie patrząc na Młodą i starając się przemóc zażenowanie. — Czy Tichon Iljicz mówił z tobą?

— Mówił — odpowiedziała Młoda — aż mi się już uprzykrzyło.

— No, to ja zaraz z ojcem tu przyjdę. Wszystko jedno, Kuźma Iljicz i tak zaraz wstanie, bo to pora na herbatę...

Młoda zastanowiła się.

— Twoja sprawa...

Deniska postawił buciki na parapecie okna i wyszedł, nie wspominając już o pieniądzach. A w pół godziny później na ganku rozległ się stuk objanych ze śniegu łapci — to Deniska powracał z Szarym, który nie wiadomo dlaczego przewiązał kaftan na biodrach czerwonym pasem. Kuźma wyszedł do nich. Deniska i Szary długo żegnali się, patrząc w ciemny kąt, potem potrząsnęli głowami i podnieśli twarze.

— Swat, nie swat, lecz dobry człowiek! — bez pośpiechu zaczął Szary niezwykle niedbałym i niewymuszonym tonem. — Ty masz do oddania przybraną córkę, ja syna do żeniaczki. Dla ich szczęścia pogadamy sobie w dobrej zgodzie.

— Przecież ona ma matkę — powiedział Kuźma.

— Jej matka nie jest gospodynią, a wdową bezdomną, izba jej zamknięta, a ona sama nie wiadomo, gdzie się znajduje — odpowiedział Szary niezbity z tropu. — Ty się sierotą zajmij!

I z powagą nisko się pokłonił.

Powstrzymując bolesny uśmiech, Kuźma kazał przywołać Młodą.

— Biegnij, szukaj — szeptem jakby w cerkwi rozkazał Szary Denisce.

— Ależ ja tu jestem — powiedziała Młoda, wychodząc zza drzwi od strony pieca, i ukloniła się Szaremu.

Zapanowało milczenie. Samowar, świecący w ciemnościach rozżarzoną rusztą, stał na podłodze, kipiał i bulgotał. Twarze były niewidoczne, ale wyczuwało się, że wszyscy są zmieszani.

— No cóż, córko, jakże będzie? — powiedział Kuźma.

Młoda zastanowiła się.

— Ja tam nic do niego nie mam...

— A ty, Denis?

Denis również chwilę pomilczał, a następnie rzekł:

— Cóż, ożenić się i tak kiedyś trzeba... Może, Bóg da, jakoś to będzie.

I swaci zaczęli sobie wieszować wzajemnie ubicia interesu. Samowar został wyniesiony do czeladnej. Jednodwórka, która najpierwsza dowiedziała się o nowinie i przyleciała z Cypla, zapaliła w czeladnej lampkę, posłała Koszela po wódkę i słonecznikowe ziarna, usadziła narzeczonych pod wizerunkami świętych, nałala im herbaty, a sama usiadła obok Szarego i aby przerwać zażenowanie, zaczęła wysokim i przenikliwym głosem śpiewać, spoglądając na Deniskę, na jego ziemistą twarz i długie rzęsy:

A tam u nas w ogródeczku,
Tam, gdzie wino kwitnie,
Chłopiec chodził młodziusiutki,

Swaty, Obyczaje

Piękny, bielusienki...

Kuźma zaś wałęsał się z kąta w kąt po ciemnym salonie, krzywił się i mruczał:

— Oj, Boże! Oj, co za wstyd, co za nonsens, co za ograniczenie...

Nazajutrz każdy, kto tylko dowiadywał się od Szarego o tej uczcie, uśmiechał się i doradzał: „Pomógłbyś choć trochę młodym!”. To samo powiedział Koszel: „Ich sprawa — jak to młodych, a młodym trzeba pomagać!”. Szary poszedł w milczeniu do domu i Młodej, która prasowała w przedpokoju, przyniósł dwa kociołki i motek czarnych nici.

— Masz tu, narzeczono — powiedział z zakłopotaniem. — No masz, teściowa przysłała. Może się na co przyda... Nic przecie nie mamy, ale jakby tylko co było, ze skóry bym wyskoczył...

Młoda skłoniła się i podziękowała. Prasowała firankę, którą jej Tichon Iljicz „zamiast welonu” przysłał, a oczy miała czerwone i wilgotne. Szary chciał ją pocieszyć, powiedzieć, że i jemu „niesłodko”, ale zażenował się, westchnął i wyszedł, pozostawiając kociołki na parapecie.

— Nici włożyłem do kociołka — mruknął.

— Dziękuję, ojczulku — raz jeszcze podziękowała Młoda tym samym dziwnym i do-
brotliwym głosem, jakim rozmawiała tylko z Iwanuszką.

A gdy tylko Szary wyszedł, lekko i drwiąco uśmiechnęła się i nieoczekiwanie zaśpie-
wała: „A tam u nas w ogródeczku...”.

Kuźma wyszedł z salonu i surowo popatrzył na nią sponad binokli. Młoda zamilkła.

— Posłuchaj — powiedział Kuźma — a może by tak dać spokój temu wszystkiemu?

— Teraz już za późno — odpowiedziała niegłośnie. — Już i tak wstyd mnie nie omi-
nie... Czy to wszyscy nie wiedzą, za czyje pieniądze będzie wesele? No, i wydatki już się
przecież zaczęły...

Kuźma wzruszył ramionami. Prawda, równocześnie z firanką Tichon Iljicz przysłał
dwadzieścia pięć rubli, worek mąki pszennej, jagiel i chudą świnię... Ale przecież dlatego,
że świnię zakłuto, nie mogą się ludzie zmarnować!

— Och — powiedział Kuźma. — Jak wy mnie męczycie! „Wstyd, wydatki...” . Cóż
ty myślisz, żeś tańsza od świni?

— Tańsza, nie tańsza, ale jak kto umarł, to go pochowają — twardo i z prostotą
odpowiedziała Młoda i westchnąwszy, złożyła starannie wyprasowaną i jeszcze ciepłą
firankę. — Czy pan będzie zaraz jadł obiad?

Twarz jej przybrała wyraz spokoju. „Basta, z tego nic już nie będzie!”, pomyślał Kuźma
i rzekł:

— No, jak chcesz, jak tam sobie chcesz...

Zjadłszy obiad, zapalił papierosa i patrzył w okno. Ciemniało. Wiedział, że w cze-
ladnej upiekli już kołacz z żytniej mąki, „ozdobny pieróg”. Szykowali się do uwarzenia
dwóch kotłów galarety z nówek, kotła łazanek, kotła barszczu, kotła kaszy, a wszystko na
mięsie zabitej świni. Szary już krzątał się wokół zasp pomiędzy stodołami i spichrzami.
Na wzgórk, w sinawym zmroku buchała pomarańczowym płomieniem słoma, którą
przysypało zarżniętą świnię. Wokoło ognia siedziały owczarki w oczekiwaniu zdobyczy,
a ich białe mordy i piersi wyglądały jak różowawy jedwab. Szary brnął po śniegu, biegał,
poprawiał coś ustawicznie przy ognisku, ganiał psy. Podniósł i wysoko zatknął za pas
poły kaftana, a prawą pięścią, w której błyszczał nóż, ciągle zsuwał czapkę na tył głowy.
Oświetlana przelotnie i jaskrawo to z jednej, to z drugiej strony postać Szarego rzucała
na śnieg ogromny, tańczący cień, cień poganina. Po ścieżce wiodącej do wsi przebiegła
obok stodoł jednodwórka i skryła się za wzgórzem: szła zapraszać weselnice i pożyczyć od
Domaszki choinkę, przechowywaną w piwnicy od jednego dziewczęcego wieczoru do dru-
giego. Kuźma, uczesawszy się i zmieniwszy marynarkę z podartymi łokciami na ulubiony
długopół surduta, ubrał się i wyszedł na ganek ubielony padającym śniegiem. W mięk-
kich, szarych ciemnościach pod oświetlonymi oknami kuchni czerniała już duża gromada
dziewcząt, parobków i chłopaków; rozlegał się hałas i dźwięk rozmów; słychać było mu-
zykę trzech harmonijek, grających równocześnie każdą inną melodię. Kuźma, zgarbiwszy
się, przebierając palcami i wyłamując je, podszedł do gromady, przepchał się i pochylony

Dar, Obyczaje, Ślub, Wesele

Kondycja ludzka

Wesele, Obyczaje, Jedzenie

wszedł w ciemności sieni. Tutaj również było ciasno i tłumnie. Chłopaki płątały się pod nogami, a gdy ich wyrzucano za kark, włożyły z powrotem...

— Puśćcie, na miłość boską! — powiedział ściśnięty w drzwiach Kuźma, ale ściśnięto go jeszcze silniej i ktoś szarpnął drzwi.

W kłębach pary Kuźma przestąpił próg i zatrzymał się zaraz za nim. Skupiali się tutaj ludzie „lepsi” — dziewczęta w barwnych chustach, parobczaki w nowym odzieniu. Czuć było zapach bławatnych towarów, półkożuszków, nafty, machorki i jedliny. Na stole stało malutkie zielone drzewko przystrojone skrawkami perkalu i rozpościerało gałązki ponad mętną, blaszaną lampką. Wokół stołu, pod mokrymi, odtajałymi okienkami, wzdłuż czarnych, wilgotnych ścian siedziały wystrojone weselnice z ordynarnie uszminekowanymi twarzami i roziskrzonymi oczami; wszystkie miały na sobie jedwabne lub wełniane chusteczki, a we włosach na skroniach zatknięte nastrzępione tęczowe piórka z ogona kaczora. Właśnie w chwili, gdy Kuźma wchodził, Domaszka, kulawa dziewczyna o ciemnej, złej i mądrej twarzy, o czarnych przenikliwych oczach i ciemnych, zrosniętych brwiach, zaczęła śpiewać ordynarnym i silnym głosem staroświecką weselną pieśń:

Jak to u nas z wieczora, z wieczora...
Kiedy wieczór już kończył się, kończył się...
W dziewiczy ten wieczór Awdotii...

Wesele, Zabawa, Obyczaje,
Muzyka, Śpiew

Dziewczęta zgodnym, lecz nieharmonijnym chórem podchwyciły ostatnie słowa i wszyscy spojrzeli na narzeczoną — siedziała według obyczaju pod piecem, nieprzystrojona, przykryta wraz z głową dużą, ciemną chustą i w odpowiedzi na piosenkę powinna była wybuchnąć głośnym płaczem i skargami: „Ojcze mój rodzony, matko ma rodzona, jakże to ma być, jak w zamęściu żyć?”. Ale narzeczone milczała. Dziewczęta, skończywszy pieśń z niezadowoleniem popatrzyły na nią z ukosa. Następnie, poszeptawszy pomiędzy sobą, z wolna i przeciągle zaśpiewały pieśń dla „sieroty”:

Rozgrzej się, łaźni, rozgrzej się,
Uderź, dźwięczny dzwonku, uderź!...

Wówczas Kuźmie zadrzały silnie zaciśnięte szczęki, dreszczyk przeszedł mu po głowie i udach, jakoś słodko załupało w kościach policzkowych i oczy zmętniały od napływających łez. Narzeczone owinęła się szalem i nagle buchnęła takim szlochem, że obecni popatrzyli na siebie z trwogą.

— Dosyć, dziwki! — krzyknął ktoś.
— Dosyć, kochana, dosyć! — złażąc z ławy, mówiła jednodwórka. — Nie wypada. Ale dziewczęta nie słuchały:

Uderz, dźwięczny dzwonię,
Zbudź ojczulka mego...

Łzy, Sierota

A narzeczone, zachłystując się łzami, kryła twarz to na kolanach, to w dłoniach... Drżąc, chwilejąc się i chwilami krzyczącą jakby z przejmującego bólu wyprowadzono ją wreszcie na drugą, „zimną” stronę chałupy, aby ją przystroić.

Potem Kuźma narzeczoną pobłogosławił. Narzeczone zjawił się z Waską, synem Jakowa. Ubrany był w Waśki buty, włosy miał ostrzyżone, a szyja, obramowana kołnierzem błękitnej koszuli z koronką, była wygolona do czerwoności. Umył się mydłem i wyglądał dziś znacznie młodziej; nawet był przystojny i wiedząc o tym, skromnie i z powagą opuszczał ciemne rzęsy. Waśka, drużba, miał na sobie czerwoną koszulę i niezapięty romanowski półkożuszek²⁴⁰: jak zwykle był ostrzyżony, dziobaty, silny i przypominał aresztanta. Wszedł, zasępił się i z ukosa popatrzył na weselnice.

— Dość tych wrzasków! — powiedział ordynarnie i surowo. — Wyłazić. Wyłazić.
Dziewczęta odpowiedziały chórem:

²⁴⁰romanowski półkożuszek — tradycyjny rosyjski kożuch wykonany ze skóry specjalnej rasy owiec Romanow. [przypis edytorski]

— Bez belki nie buduje się domu — nie ma chaty bez czterech kątów. Połóż po rubelku w każdym kąciuku, piętego pośrodku, a jeszcze na dodatek butelkę wódki.

Waśka wyciągnął z kieszeni półlitrowkę wódki i postawił ją na stole. Dziewczęta zabrały butelkę i wstały. Zrobiło się jeszcze ciasniej. Znowu otworzono drzwi, buchnęła para i chłód. Roztrącając tłum, weszła jednodwórka z pozłocistą ikoną, a za nią panna młoda w niebieskiej sukni z baskiną. Była tak biała, pokorna, spokojna i piękna, że wszyscy aż stanęli zdumieni. Waśka z rozmachem trzasnął po łbie tęgiego chłopaka o olbrzymiej głowie i nogach krzywych jak u jamnika, po czym rzucił na słomę pośrodku izby czyjś stary półkożuszek. Stanęli na nim państwo młodzi. Kuźma, nie podnosząc oczu, wziął od jednodwórki ikonę i naraz zrobiło się tak cicho, że słysząc było świszczący oddech zaciekawionego chłopaka o dużym łbie. Państwo młodzi zgodnie padli na kolana i pokłonili się Kuźmie do samej ziemi, po czym wstali i znowu ukłękli. Kuźma spojrzał na narzeczoną; oczy ich spotkały się na chwilę i mignęło w nich przerażenie. Kuźma zbłądł i ze strachem pomyślał: „Zaraz rzucę ikonę na podłogę...”. Lecz ręce jego machinalnie nakreśliły świętym obrazem znak krzyża w powietrzu i Młoda zaledwie dotknąwszy go ustami, odszukała wargami rękę Kuźmy, a następnie nieśmiało podsunęła mu do pocałunku twarz. On zaś, oddawszy komuś z boku ikonę, z ojcowskim bólem i tkliwością ujął w ręce głowę Młodej i całując jej nową, pachnącą chustkę, słodko się rozplakał. Potem, oślepiiony łzami, odwrócił się i rozpychając tłum, wyszedł do sieni, gdzie już było pusto. Uderzył go w twarz wiatr ze śniegiem. W ciemnościach białął zaśniewiony próg, a dach trzeszczał. Za progiem szalała nieprzenikniona zamieć; światło bijące z okien poprzez grube zwalę śniegu podobne było do słupów dymu...

Wesele, Obyczaje, Obrzędy

Rankiem wciąż jeszcze trwała zawierucha. Poprzez szarą, pędzącą kurzawę nie widać było ani Durnowki, ani młyna na na Cyplu. Chwilami się przejaśniało, lecz chwilami zdawało się, że to już zmierzch. Sad cały zbiegał, a szum jego drzew zlewał się z szumem wichru, w którym ciągle brzmiał niby oddalony dźwięk dzwonów. Drobnym pyłem dymły ostre grzbiety zasp. Z ganku, na którym, mrużąc oczy, siedziały oblepione śniegiem owczarki, węszące poprzez chłód zawieruchy ciepły, smaczny zapach z komina czeladnej, Kuźma zaledwie rozróżniał ciemne postacie chłopów, zarysy koni i sani, pobrzękiwanie dzwoneczków. Dla pana młodego zaprzęgli parę koni, dla panny młodej — pojedynek. Sanie pokryte czerwonymi kazańskimi²⁴¹ wojskami z czarnymi krajkami. Baby ubrały się w watowane szubki, okryły szalami i włożyły do sań z obawą, drobnymi kroczkami, wciąż ceremonialnie powtarzając: „Jezu, toż świata bożego nie widać!”. Rzadko kto miał na sobie własne odzienie — wszystko było pożyczone od sąsiadów lub sąsiadek i dlatego wskazana była wyjątkowa ostrożność i możliwie najwyższe podkasanie brzegów ubrań, aby nie upaść. Pannie młodej zarzucono i szubkę, i błękitną suknię aż na głowę, tak że siadła w saniach wprost na białą halkę. Głowę, przybraną papierowymi kwiatami, miała okręconą chustami i szalami. Łzy ją osłabiły, toteż jak przez sen widziała ciemne postacie wśród zawiei, słyszała jej wycie, słyszała rozmowy otaczających, święteczny brzęk dzwoneczków. Konie tuliły uszy, odwracały mordy przed śnieżnym wichrem, który rozpraszał słowa, głużył krzyki, rozkazy, oślepiał oczy, bielił wąsy, brody i czapki, tak że weselnicy ledwo z trudem rozpoznawali się wzajemnie pośród tumanów zamieci.

Strój, Obyczaje

— Ech, mać twoja!... — mruczał Waśka, pochylając głowę, zbierając lejce i sadowiąc się obok pana młodego.

I prostacko, obojętnie zawołał gdzieś przed siebie:

— No, jaśnie państwo, błogosławcie narzeczonego na drogę po narzeczoną!

Ktoś odpowiedział:

— Niech Bóg błogosławi...

I zajęczały dzwoneczki, zaskrzypiały płozy, ryjąc zasy, które dymły i kurzyły, a czupryny, grzywy i ogony końskie pęd raptownie porwał w bok...

We wsi, w chacie zakrystiana, gdzie w oczekiwaniu popa poszli się rozgrzać, wszyscy prawie zaczadzieli. Pachniało czadem także w cerkwi, gdzie było zimno i mroczno od śnieży, od niskich sklepień i od krtek w oknach. Świece paliły się tylko w rękach

Ślub, Ksiądz, Obrzędy,
Świątynia

²⁴¹ kazański — pochodzący z Kazania, rosyjskiego miasta, stolicy Tatarstanu. [przypis edytorski]

narzeczonego i oblubienicy oraz w ręku czarnego popa z dużymi łopatkami, schylonego nad książką zakapaną woskiem i czytającego szybko przez okulary. Na ziemi stały kałuże (butami i łapiami naniesiono dużo śniegu), w plecy dmuchał wiatr z ciągle otwieranych drzwi, a pop surowo spoglądał to na nie, to na młodą parę, na te wyprężone i jakby zrezygnowane postacie, na twarze zastygłe w wyrazie pokory i uległości, rozjaśnione od dołu złocistym blaskiem świec. Z przyzwyczajenia wymawiał niektóre słowa jak gdyby z uczuciem, podkreślając głosem ich wzruszające błaganie, ale nie myślał przy tym zupełnie ani o słowach, ani o tych, do których były skierowane.

— Boże przeczysty, stwórzycielu wszelkiej istoty — mamrotał śpiesznie, to zniżając, to podnosząc głos — któregoś pobłogosławił niewolnika Twego Abrahama²⁴² i pobłogosławił łono Sary²⁴³... Któryś darował Izaakowi²⁴⁴ Rebekę²⁴⁵... Któryś połączył Jakuba²⁴⁶ z Rachelą²⁴⁷... Daruj tym tutaj dzieciom Twoim... Imiona? — surowym szeptem, nie zmieniając wyrazu twarzy, przerywał sam sobie, zwracając się do diaka, i w locie schwyciwszy odpowiedź „Denis i Awdotia”, ciągnął z uczuciem. — Daruj tym tu obecnym dzieciom Twoim, Denisowi i Awdotii, życie spokojne, dostatnie i czyste... Pozwól im oglądać wnuki i prawnuki. Pobłogosław ich rosą Twą niebiańską... Napelnij domy ich pszenicą, winem i olejem... Wywyższ ich jako cedry libańskie...

Ale obecni, gdyby go nawet rozumieli, pamiętaliby tylko o zamieci, o cudzych koniach, o powrocie do Durnowki w mroku, o domu Szarego (a nie Abrahama i Izaaka!) i uśmiechnęliby się tylko, słysząc porównanie Denisa do cedru libańskiego...

On zaś, krótkonogi, w cudzych butach i w starym kaftanie, zażenowany się czuł, że jest niższy od narzeczonej; niewygodne mu było i jakoś straszne trzymanie na nieruchomej głowie korony — ogromnej miedzianej korony z krzyżem na czubku, a nasadzonej głęboko na uszy. Ręka Młodej, jeszcze piękniejszej w koronie i jakby zmartwiałej, drżała, a wosk topiącej się świecy kapał na falbanki jej niebieskiej sukni...

Powrót był łatwiejszy. Zamieć o zmierzchu wydawała się jeszcze bardziej sroga, lecz krzepiła świadomość, że ciężar spadł z karku — dobrze czy źle, ale skończone! Poganiano więc konie zawzięcie i prawie na ślepo, zawierzając się tylko mglistym zarysom drogowskazów. W przednich saniach stała krzykliwa żona Czerwonego Wańki, przytupywała, machała chusteczką i wrzeszczała pod wiatr, w gęsty, ciemny mrok, w śnieg lecący jej prosto w usta i głuszący jej wilczy głos:

Gołąb szary, gołąb siwy,
Główkę złotą ma...²⁴⁸

²⁴²Abraham — według *Biblii* pierwszy z hebrajskich patriarchów. [przypis edytorski]

²⁴³Sara — postać biblijna, bohaterka *Księgi Rodzaju*, żona Abrahama i matka Izaaka. [przypis edytorski]

²⁴⁴Izaak — patriarcha biblijny, syn Abrahama i Sary, ojciec Jakuba i Ezawa. [przypis edytorski]

²⁴⁵Rebeka — żona Izaaka, patriarchy biblijnego, matka Ezawa i Jakuba. [przypis edytorski]

²⁴⁶Jakub — patriarcha biblijny, syn Izaaka, jego dzieje przedstawia *Księga Rodzaju*. [przypis edytorski]

²⁴⁷Rachela — postać z *Biblii*, żona patriarchy Jakuba. [przypis edytorski]

²⁴⁸Gołąb szary, gołąb siwy, Główkę złotą ma... — fragment popularnej rosyjskiej piosenki ludowej. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bunin-wies/>

Tekst opracowany na podstawie: Iwan Bunin, *Wieś*, tłum. Zofia Petersowa, Wydawnictwo J. Przeworski, Warszawa 1934.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki (www.wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska, Zofia Ochędzan.

ISBN 978-83-288-8117-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.